PO USUNIĘCIU PIOSENKI KAZIKA

Afera w radiowej Trójce – Ziemkiewicz przestrzega PiS

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 22/375 25–31 MAJA 2020

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Odsłaniamy kulisy wyboru papieża Franciszka

KRZYSZTOF MASŁOŃ O BLEDNĄCYM MICIE MARKA HŁASKI

Kto wydał bezpiece rotmistrza Pileckiego

ESEJ LESZKA ŻEBROWSKIEGO

KŁAMSTWO BEZ KARY

W książce o granatowej policji Jan Grabowski znów zarzuca Polakom udział w Holokauście

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 22>

Nakład: 59 000 egzemplarzy

Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ

Spotka.pl/a71f128f2c

Sprawdzaj wiarygodne źródła: www.pfr.pl/tarcza

KPRM

U fryzjera, w restauracji

Zasady bezpieczeństwa w lokalach usługowych

Wszyscy za tym tęskniliśmy. Od kilku dni możliwe są już wizyty w zakładach fryzjerskich, salonach kosmetycznych oraz spotkania w restauracjach, barach i pubach. Poniżej przedstawiamy najważniejsze zasady bezpieczeństwa obowiązujące w tych lokalach zarówno pracowników, jak i klientów.

ZAKŁAD FRYZJERSKI I KOSMETYCZNY

- Przyjmowanie klientów po umówieniu wizyty na konkretną godzinę, telefonicznie lub online.
- Klient nie może oczekiwać na usługę w poczekalni, czyli tylu klientów ile stanowisk pracy.
- Obowiązek noszenia przez klientów maseczek i rękawiczek (jeśli zabieg na to pozwala)
- Obowiązek noszenia przez obsługę zakładu: maseczek/przyłbic oraz rękawiczek jednorazowych i gogli (niewymagane w wypadku noszenia przyłbicy).
- Używanie ręczników jednorazowych.
- Zalecane co najmniej 2m dystansu między stanowiskami pracy.
- Umieszczenie w pomieszczeniach płynów do dezynfekcji w celu odkażenia każdej dotykanej powierzchni co najmniej 2-3 razy dziennie i na koniec każdej zmiany.
- Zalecany zakaz używania telefonów komórkowych w trakcie wykonywania usługi - zarówno przez pracownika, jak i klienta.
- Zalecany pomiar i rejestrowanie temperatury ciała pracowników za pomocą termometru bezdotykowego przed rozpoczęciem pracy.

RESTAURACJA PUB BAR

- Limit osób w lokalu - na 1 osobę muszą przypadać co najmniej 4 m2.
- Zachowanie 2m odległości między stolikami.
- Obowiązkowa dezynfekcja rąk przez klientów przy wejściu do lokalu.
- Goście restauracji mogą zdjąć maseczki, kiedy usiądą przy stolikach.
- Liczniej przy jednym stoliku może przebywać rodzina lub osoby mieszkające razem.
- Obowiązkowa dezynfekcja stolika po każdym kliencie.
- Obowiązkowe noszenie maseczek oraz rękawiczek przez kucharzy oraz obsługę lokalu gastronomicznego.
- Należy wyłączyć z użycia przestrzenie samoobsługowe - bary sałatkowe, bufety oraz dozowniki do samodzielnego nalewania napojów.
- Umieszczenie informacji o maksymalnej liczbie gości przy wejściu do lokalu.

otwarte

Więcej informacji na: **gov.pl/tarczaantykryzysowa** oraz na stronie internetowej Twojego banku.

KPRM PFR Polski Fundusz Rozwoju

eprasa.pl a711128f2c

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wreszcie będzie Europa

Wymieniając Małgorzatę Kidawę-Błońską na Rafała Trzaskowskiego, Platforma uniknęła w ostatniej chwili rozpadu. Gdyby to obecna wicemarszałek Sejmu wzięła udział w wyborach prezydenckich – co zakończyłoby się sromotną porażką – pierwszą i najważniejszą konsekwencją byłaby zmiana układu sił po stronie opozycji. Teraz, zakładając, że prezydent Warszawy zajmie drugie miejsce, do przewrotu w PO zapewne nie dojdzie. Cała historia jednak pokazuje – który już raz zresztą – niedającą się wręcz opisać hipokryzję lewicowo-liberalnych elit. Sprowadza się ona do jednego – byle było jak w Europie.

Od lat PO próbowała przekonywać Polaków – pardon, dziś mówi się: Polki i Polaków – do tezy, że w polskiej polityce jest za mało kobiet. Idea nie jest nowa, za to europejska. To jeden z tych wytworzonych na Zachodzie miazmatów łykanych bez zmrużenia oka przez wszystkich, którzy aspirują do europejskości i postępu. W związku z tym od kilku lat musiałem wysłuchiwać, jak kolejne awatary postępowości opowiadały, że obecność kobiet w polityce oznacza więcej profesjonalizmu, łagodności, rozsądku, spokoju, że polityka pod wpływem kobiet stanie się mniej plemienna, zaborcza, wroga. Itd., itp. Ogłupieni własną propagandą politycy PO wystawili zatem do walki o prezydenturę kobietę, mimo że ani wcześniejsze dokonania, ani wypowiedzi pani wicemarszałek do tego jej nie predestynowały. Zachód wie lepiej, wierzono. Kobiety zagłosują na kobiety. Wszyscy chcemy, żeby było jak w Europie. Skończyło się katastrofą, poparcie dla kandydatki od tygodni szorowało po dnie. Wreszcie, kiedy przyszedł coup de grâce, potraktowano ją jak zdezelowany mebel wyrzucony na śmietnik. Nikt lepiej nie wyraził tego bezbrzeżnego cynizmu niż rzeczniczka lewicy, skądinąd jeszcze całkiem niedawno sojusznika PO w ramach Koalicji Europejskiej, która – przepraszam za obcesowość – nazwała nieszczęsną wicemarszałek „łajzą". To wdzięczne określenie oddaje, jak sądzę, lewicową wrażliwość i pozytywny stosunek do zaangażowania kobiet w polityce.

Skoro nie udało się kupić zaufania Polaków, tj. Polek i Polaków, stawiając na polityczkę łajzę, to liderzy PO poszli po rozum do głowy i wystawili w to miejsce mężczyznę co się zowie, czyli Rafała Trzaskowskiego. Żeby było jak w Europie, podpisał się on wcześniej pod kartą LGBT, w której to promuje się, sprzeczną z polskimi przepisami, zasadę pozytywnej dyskryminacji. Trudno jednak powiedzieć, czy w Warszawie już jest jak w Europie, bo Rafał Trzaskowski najwyraźniej nie do końca rozumiał, co podpisał, i nie wiadomo, czy karta działa, czy nie. Tak czy inaczej biedak jeszcze niedawno zarzekał się, że nie opuści Warszawy, że stolicy oddał swe serce i umysł, że wszystko dla niej zrobi, a pałac prezydencki na Krakowskim Przedmieściu budzi co najwyżej jego lekceważenie. Nawet nie chce mi się przytaczać cytatów – pokazywanie, że politycy łżą, przeczą sobie, wykręcają kota ogonem, jest odkryciem nazbyt banalnym. Teraz uśmiechnięty, młody i bojowy pan Rafał wziął na swe barki brzemię i stanął w szranki. Co zresztą najbardziej rozdrażniło innego zwolennika polityki, żeby było jak w Europie, Szymona Hołownię. Ten już witał się z gąską, już miał stanąć na czele antypisowskich hufców, a tu masz babo placek, chyba nic z tego. Teraz płaczący pan Szymon stanie do boju z pięknym panem Rafałem.

Idea, żeby było jak w Europie, żyje nadal, choć coraz to inni niosą kaganek oświaty. Wybory pokazały, że w dziele tym najwyraźniej nie sprawdził się Robert Biedroń. Wejście do gry pana Rafała będzie dla niego niczym gwóźdź do trumny. Jeszcze rok temu najbardziej znany polski gej celebryta sądził, że do niego należy przyszłość, w czym zresztą utwierdzały go na wyścigi bardzo niezależne i całkowicie wolne oraz niezaangażowane, obiektywne media. Jednak poziom głupoty, mierności i minoderii chyba nawet polskim Europejczykom wydał się przesadny i z wielkiego projektu Biedronia będą nici.

Można patrzeć na te zmiany jak na kabaret. A można poważniej. Jest w Polsce społeczna grupa, liczna całkiem, ludzi strasznie z tej swojej polskości niezadowolonych. Strasznie zakompleksionych, spragnionych, żeby im starsi i mądrzejsi coś miłego powiedzieli i pochwalili ich. To ta tęsknota pozwala pojawiać się kolejnym „liderom". Gdyby pewnego dnia któryś z nich wygrał, wesoło nie będzie. Będzie naprawdę jak w Europie. Wszyscy razem będziemy budować jedną wspaniałą przyszłość. A zamiast wolności będziemy mieli, Polki i Polacy, dużo pochwał. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl a71f128f2c

TEMAT TYGODNIA

30 LESZEK ŻEBROWSKI
PRZEKŁADANIE WINY
Jan Grabowski znów uderza w Polaków

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
POWRÓT CUDOWNEGO DZIECKA PO
Nowy kandydat w wyścigu prezydenckim

20 ROZMOWA Z GEN. ROMANEM POLKO
SAMĄ OBRONĄ WOJNY NIE WYGRAMY

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
MUREM ZA KATASTROFĄ

24 ŁUKASZ WARZECHA
WYCHODZENIE Z EPIDEMII

26 TOMASZ ROWIŃSKI
KIEDY NASTĄPI KONIEC ZABAWY W CHOWANEGO?

28 MACIEJ PIECZYŃSKI
OBRONIŁA ŻYCIE, TERAZ DRŻY O SWOJE

KULTURA

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ
PAWI OGON CZARÓW MARKA HŁASKI
Legenda pisarza przyćmiła wszystko, co stworzył

40 PIOTR GOCIEK
POD SŁOŃCEM IBIZY

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM ROSZKOWSKIM
OPOZYCJA WYKORZYSTUJE WIRUSA
Czy ktoś widział „mesjasza" płaczącego nad konstytucją?

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KULISY WYBORU PAPIEŻA FRANCISZKA

HISTORIA

54 TADEUSZ PŁUŻAŃSKI
KTO WYDAŁ RTM. PILECKIEGO
Historia sowieckiego partyzanta

56 MIROSŁAW SZUMIŁO
WYPRAWA KIJOWSKA 1920 R. – STRACONA SZANSA

58 ROZMOWA Z PIOTREM BOJARSKIM
PODRÓŻE ZA WSZELKĄ CENĘ

ŚWIAT

62 ROZMOWA Z PROF. PAWŁEM KALIŃSKIM
NIE MA ZŁOTEGO ŚRODKA
Immunolog z Centrum Onkologii Roswell Park w Buffalo w stanie Nowy Jork: Szczepionka na koronawirusa na pewno będzie

66 TOMASZ CUKIERNIK
EUROPLAN MARSHALLA

EKONOMIA

68 ROZMOWA Z DANIELEM OBAJTKIEM
CHCEMY KONKUROWAĆ Z GLOBALNYMI GRACZAMI
Prezes PKN Orlen: W Polsce potrzeba multienergetycznego koncernu

72 JACEK PRZYBYLSKI
WIRUS MÓWI „SPRAWDZAM"

O ZDROWIU

76 ROZMOWA Z PROF. JAROSŁAWEM KAŹMIERCZAKIEM
TERAPIA DLA SERCA
Gdy pompa gorzej działa

FELIETONY:
SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (60), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), NOWAK (82)

eprasa.pl a71f128f2c

Drodzy Czytelnicy!

Zachęcamy do przesyłania korespondencji. Pocztę elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl

„Niespokojny maj", Sebastian Ligarski, „DRz" 20/2020

Szanowna Redakcjo,
w interesującym artykule Sebastiana Ligarskiego „Niespokojny maj" [„Do Rzeczy" 20 (373) 11–17 maja 2020 r.] pojawiły się błędy.

1. Skrót PPS-RD to Polska Partia Socjalistyczna-Rewolucja Demokratyczna nie zaś PPS-Ruch Demokratyczny, jak napisał Autor.

2. Autor opisuje m.in. próbę wywołania demonstracji Polskiej Partii Socjalistycznej na Starym Mieście w Warszawie, która w rzeczywistości odbyła się 1 maja 1988 r., a nie rok później, jak napisał Autor (1 maja 1989 r.). Także wzmiankowane przez Autora wystąpienie Tadeusza Rachowskiego i Andrzeja Malanowskiego w imieniu PPS pod kościołem św. Stanisława Kostki było tego samego dnia.

Będąc członkiem PPS (w latach 1987–1990), brałem udział w tej próbie demonstracji na Starym Mieście. Zostałem zatrzymany, zanim zdążyliśmy się zgromadzić, i doprowadzony przez funkcjonariuszy SB na komendę przy ul. Jezuickiej. Zostali też wtedy zatrzymani inni działacze PPS: Grzegorz Ilka, Piotr Ikonowicz, Jan Tomasiewicz (wówczas rozpoznawalny w opozycyjnej Warszawie jako „Jaś Ulotka"). Po spisaniu nas i przeszukaniu (zatrzymano mi m.in. transparent z napisem: „1 maja naszym świętem PPS") odwieziono nas na dołek (w moim wypadku był to posterunek MO przy ul. Waliców) na mniej więcej 48 godz. 3 maja postawiono mnie przed Kolegium ds. Wykroczeń, które w moim przypadku orzekło karę grzywny. Różnej wysokości grzywnami ukarano też innych zatrzymanych uczestników tej próby.

Nadmieniam, że posiadam protokół przeszukania z wyraźną datą 1 maja 1988 r. To wydarzenie jest też opisane w pracy „To były piękne dni. Polska Partia Socjalistyczna 1987–1990 dzień po dniu", Warszawa 2007, wyd. Stowarzyszenie Wolnego Słowa.

3. Pisząc o zatrzymanych w dniu 3 maja 1989 r. we Wrocławiu w mieszkaniu Czesława Borowczyka, Autor przesunął o rok datę tego wydarzenia – Józef Pinior, Czesław Borowczyk, Aleksandra Sarata i Barbara Chyćko zostali zatrzymani 3 maja 1988 r. Potwierdza to ww. broszura. W przypadku Aleksandry Saraty chodzi o kobietę; ponieważ Autor napisał „SB weszła do mieszkania [...] i zabrała z niego: Czesława Borowczyka, Aleksandra Sarata...", może powstać mylne wrażenie, że zatrzymanym był nieznany Aleksander Sarat.

Z poważaniem
Tomasz Szczepański

Od autora

Dziękuję za uwagi. Sebastian Ligarski.

„Msza (wciąż) po sarmacku się odprawia", Tomasz Rowiński, „DRz" 20/2020

Szanowni Państwo,
[...] w numerze 20/2020 w artykule redaktora Rowińskiego „Msza (wciąż) po sarmacku się odprawia" trafiamy na cytat, jak możemy się domyślać za prof. Kowalskim: „Czy Sarmaci naprawdę wydobywali szabel podczas Mszy świętej?". Chcę wierzyć, że to tylko pomyłka korekty, a nie błąd w przywoływanej książce, bo nie podejrzewam o taką pomyłkę Pana Profesora. W naszym języku wydobywa się węgiel lub rudy żelaza z ziemi, natomiast Sarmaci dobywali szabel.

Z wyrazami szacunku
Natalia Radzka

Od autora

Szanowna Pani,
dziękuję za zwrócenie uwagi na błąd w tekście. Profesor Jacek Kowalski w swojej książce napisał oczywiście „dobywali szabel", a odpowiedzialnym za usterkę jest autor recenzji.

Z poważaniem
Tomasz Rowiński

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Brukselа)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **NAC, Dawid Żuchowicz/Agencja Gazeta; oprac. graf. JAN**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKIE WYDAWNICTWA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

FIRMA RODZINNA

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 59 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl a71f128f2c

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

W centrum Sopotu

Zatoka Sztuki – lokal nagłośniony przez film „Nic się nie stało" Sylwestra Latkowskiego – znajduje się w najlepszym punkcie Sopotu. Dzięki filmowi Latkowskiego zobaczyliśmy, że był to ekskluzywny lokal-restauracja z klubem The Roof i małoletnimi „hostessami" na piętrze. To tu królował „Krystek", człowiek oskarżany o łowienie i szantażowanie dziewczynek marzących o „światowym życiu".

Latkowski zrobił film nierówny, mający wiele słabych stron. To, czego w nim zabrakło, to próba odpowiedzi na pytanie: Kto skutecznie bronił w sporze z miastem Sopotem klubu, wobec którego zarządców było aż tyle bulwersujących zarzutów? I jak działał mechanizm utożsamiania się z Zatoką Sztuki tak dużej liczby celebrytów: znanych aktorów, gwiazd muzyki i showmanów telewizyjnych? Ludzi, którzy uważali właścicieli klubu za przyjaciół sprawdzonych na tyle, że dali swoje twarze akcji obrony ulubionego lokalu przed próbami jego likwidacji przez miasto? Kim był adwokat „Krystka" i „Turka"? Jaką pozycję zajmował w trójmiejskim środowisku prawników? Na jakiej zasadzie umarzano śledztwa w sprawie „Krystka"? Nie dowiedzieliśmy się, dlaczego prezydent Sopotu wydał zgodę na stworzenie Zatoki Sztuki. W czym go oszukano? Jaki kapitał stał za tym projektem? Jakie kroki podjął Karnowski, aby wywłaszczyć dwóch groźnych typów z atrakcyjnego adresu nad morzem? Niełatwo jest o rzetelne odpowiedzi na takie pytania, ale próbować trzeba. Lepsze to niż rzucanie nazwiskami celebrytów z dość naiwną wiarą, że sami ujawnią, co widzieli w trakcie szalonych balang w sopockim klubie.

Oglądając film „Nic się nie stało", zastanawiałem się nad sytuacją ofiar księży i ofiar celebrytów. Większość przestępstw kapłanów (choć nie wszystkie) to sprawy sprzed wielu lat, gdy chronieni byli swoim autorytetem i zaufaniem wiernych. Dzisiaj są raczej gonioną zwierzyną dziennikarskich śledztw. O ile wiem, nikt w Kościele nie wynajmuje adwokatów, aby walczyli w sądach o odszkodowania za zniesławienie. Już bardziej można mówić o mocnej pozycji biskupów, którzy przenosili księży pedofilów z parafii do innej parafii.

Jednak ofiary aktualnych celebrytów nie są bynajmniej w lepszej sytuacji. Gwiazdy telewizji czy sceny muzycznej stać na najlepszych adwokatów, którzy albo klienta obronią, albo pomogą załatwić sprawę sowitym odszkodowaniem pod stołem. Ponadto celebryci nie molestują zazwyczaj wprost. Korzystają z takich postaci jak „Krystek", które podsuwają im szantażowane lub zdemoralizowane małolatki w zamian za status przyjaciół gwiazd. Na podobnej zasadzie w filmie „Sztos" o rzekomo romantycznym świecie sopockiego półświatka z lat Gierka znani aktorzy wystąpili obok autentycznej postaci „Nikosia" – jednego z trójmiejskich gangsterów. Aktorów ekscytowała gra razem z prawdziwym gangsterem. Gdyby nie byli znanymi aktorami i przypadkowo potrąciliby „Nikosia" w korytarzu dyskoteki, jego goryle skatowaliby ich do krwi. Skoro jednak zaprosili gangstera do filmu, to ten był dumny, że gwiazdy traktują go jako kumpla.

To samo zjawisko stało za lokalem Zatoka Sztuki. I to jest problem, a nie to, czy film Latkowskiego ma przykryć reportaż Sekielskiego. ©℗

FOT. EWA DUNIN/EAST NEWS.

JESZCZE BLIŻEJ NORMALNOŚCI

Od 1 czerwca planowane jest wznowienie krajowych połączeń lotniczych, wstrzymanych w związku z epidemią koronawirusa – zapowiedział wiceminister infrastruktury Marcin Horała. Pasażerowie będą mieli obowiązek noszenia maseczek i zachowania odległości z innymi podróżnymi. Przy wejściu na pokład samolotu będzie zaś mierzona temperatura pasażerów. Rząd ma też dobrą wiadomość dla zakochanych: w ramach kolejnego etapu odmrażania gospodarki wkrótce ma być możliwa organizacja wesel do 50 uczestników. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Łojenie

Mądrość etapu", jak nazywał to klasyk, jest obecnie w Platformie taka, że trzeba wrócić do ostrej polaryzacji. Strategia „przytulania", której uosobieniem miała być kandydat-kobieta, poniosła spektakularną klęskę – Kidawa-Błońska nie tylko nie pozyskała dla PO elektoratu politycznie niezorientowanego, lecz także utraciła ten „żelazny", głównie na rzecz równie „przytulaśnego" Hołowni. PO wraca więc do swej starej strategii, zresztą z radością PiS, który też polityczną wojnę uwielbia i też uważa, że na niej wygrywa.

Rafał Trzaskowski usiłuje rozruszać emocje ostrymi atakami, szczególnie na państwowe media, które stratedzy PO uważają za cel najłatwiejszy. Nie radzi sobie jednak z tym najlepiej, bo cały czas wychodzi z niego salonowy „chłopiec do bycia", z natury ugrzeczniony (i to nie tylko kiedy „myśli po francusku"), na dodatek partia, mając wciąż niejakie nadzieje na zwycięstwo z urzędującym prezydentem, narzuciła mu retorykę „nowej solidarności" i udawanej empatii wobec „ludu", a to słabo ma się do emocji wojny z PiS jako partią „hołoty kupionej za pińćset".

Dlatego do pomocy dano Trzaskowskiemu sprawdzonych „pokładowych brutali" Platformy, panów Kierwińskiego i Nitrasa. Podchwycili oni taktykę wymyśloną przez „opozycję uliczną", która od dłuższego już czasu próbuje rozbijać konferencje prasowe PiS, podszywając się na nich pod dziennikarzy (niestety, zgodnie z naszym kulawym prawem: wystarczy parę wpisów w necie, mikrofon z logo i już mamy „dziennikarza"). Z tego wzoru korzystał już eurodeputowany Sikorski, wbijając na konferencję kandydata Bosaka. A teraz wspomniani panowie przyszli rozwalić konferencję wiceministra zdrowia i zamienić ją w oskarżycielski, antypisowski wiec.

Co prawda, wyszło im to cienko, bo wiceminister Cieszyński najpierw zgasił krzykaczy klasą, a potem zaorał SMS-em ich partyjnego kolegi, ale przykład został dany. Możemy być pewni, że zwyczaj wciskania się na konferencje prasowe przeciwników spodoba się politykom, którzy tylko węszą za okazją do awantur. Do wyborów miesiąc i przez ten miesiąc „nie będzie wersalu", jak mówił śp. Lepper. Będzie łojenie. I niech państwo nie mówią, że mają już dość agresji i wrzasku, bo protagoniści naszej sceny politycznej nie mają tego dosyć nigdy. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Tak „wyciekał" PESEL

Wiele było hałasu po lewej stronie sceny polityczno-medialnej, gdy resort cyfryzacji przekazał Poczcie Polskiej dane Polaków ze zbioru PESEL. Usta oburzonych zostały zamknięte, gdy na portalu DoRzeczy.pl ujawniliśmy, że te same dane kilka lat wcześniej Poczcie przekazał bliski współpracownik Donalda Tuska, ówczesny szef MSW Bartłomiej Sienkiewicz.

To jednak dopiero wierzchołek góry lodowej. Rozrzutne dzielenie się danymi Polaków ze zbioru PESEL było w okresie rządów koalicji PO-PSL praktyką powszechną. Szerokim strumieniem płynęły z ówczesnego MSW do prywatnych, komercyjnych firm.

Jak wynika z kwerendy przeprowadzonej w MSWiA na wniosek „Do Rzeczy", dane obywateli ze zbioru PESEL udostępniane były m.in. prywatnej firmie walutowej Cinkciarz.pl, a także powiązanej z kontrowersyjnym GetBack prywatnej firmie windykacyjnej – EGB Investments SA. Miała do nich także dostęp parabankowa instytucja pożyczkowa specjalizująca się w tzw. chwilówkach – Axcess Financial Poland. Wcześniej, jesienią 2018 r., „Rzeczpospolita" pisała, że wgląd w dane PESEL Polaków mieli także ludzie z GetBack SA.

Można oczywiście tłumaczyć sobie, że nie obowiązywały wówczas przepisy RODO, ale to zaklinanie rzeczywistości. A ta skrzeczy – z danych, do których dotarliśmy, wynika, że ochrona danych osobowych w Polsce była i zapewne nadal jest pełna luk, w które bez problemu wchodzą rozmaici komercyjni pożyczkodawcy, windykatorzy, specjaliści od ofert, które sprawią, że życie stanie się lepsze. Ich życie. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

Kraków

RMF Classic

kbf

fmf ON—LINE

13. FESTIWAL MUZYKI FILMOWEJ

26.05—1.06.2020 r.

SŁUCHAJ W RMF CLASSIC

CODZIENNIE O 21.00

26.05 | CINEMA CHORALE (2019)

27.05 | CINEMATIC PIANO: LION. DROGA DO DOMU – HAUSCHKA & DUSTIN O'HALLORAN (2018)

28.05 | CINEMATIC PIANO: JEAN-MICHEL BERNARD (2017)

29.05 | ALL IS FILM MUSIC: GALA JUBILEUSZOWA 10. FMF (2017)

30.05 | MIĘDZYNARODOWA GALA SERIALI (2015)

31.05 | GALA MUZYKI FILMOWEJ: ANIMACJE (2016)

1.06 | KONCERT SPECJALNY Z OKAZJI DNIA DZIECKA

SPRAWDŹ PROGRAM KONCERTÓW ONLINE NA **RMFCLASSIC.PL**

OGLĄDAJ NA: /rmfclassic @rmfclassic /rmfclassic

eprasa.pl a71f128f2c

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O dziobie pingwina

Moja małżonka od 20 lat środkiem Decis Energy O-TEQ mordowała szkodniki na roślinach na tarasie. Taras jest naszą dumą głównie dlatego, że dzięki pięknemu widokowi na kopułę bazyliki św. Piotra znacznie wzrosła nasza atrakcyjność towarzyska. Od czasu, gdy mimo koronawirusa można się w Italii nawzajem odwiedzać, urywają się u nas telefony. Znajomi dzwonią, pytając, kiedy wreszcie otworzymy sezon tarasowy. No ale jak tu z insektami na roślinach przyjmować gości?

Żona postanowiła jak zwykle zamówić specyfik w Internecie. Niestety, okazało się, że teraz, aby go kupić, trzeba posiadać licencję. Jak ją zdobyć? Proste. Należy zgłosić się do odpowiednich władz lokalnych i zapisać na organizowany tam kurs o środkach owadobójczych, ich szkodliwości etc. W sumie 20 godzin, a potem egzamin. Tanio jak barszcz: 36 euro. Ci, którzy zdadzą, otrzymają piękny certyfikat ze zdjęciem i odpowiednimi pieczęciami. Po pięciu latach trzeba licencję odnowić, czyli przejść kolejny kurs, zdać egzamin i zapłacić.

Nieco podobnie w Italii sprawa ma się z grzybobraniem. Też trzeba mieć licencję, ale w każdym regionie obowiązują inne zasady. W jednych są kursy i egzamin pisemny (w moim Lacjum 16 godzin, 25 euro), w innych tylko egzamin ustny, a w jeszcze innych, tak jak w Piemoncie, po prostu płacisz 5 euro dziennie i basta. Licencja obowiązuje tylko na terenie regionu, który ją wydał. Jeśli zbierasz grzyby w innym, to musisz przedtem wykupić dodatkowe pozwolenie.

To jednak jeszcze nic. Włoski rząd, aby pomóc przedsiębiorcom, którym z powodu pandemii grozi upadłość, zagwarantował im bankowe kredyty. Żeby je otrzymać, należy w banku przedstawić 19 dokumentów i złożyć kilkanaście oświadczeń. Jednak banki część podań odrzucają, a kiedy kredytu w końcu udzielą, to jeśli spłacasz inny kredyt, to przemieniają oba w jeden, bo w razie czego państwo zwróci wszystko. Premier Conte, autor całej idei, poprosił banki o litość, a te pokazały mu dziób pingwina (dla młodszych: „Tu się zgina...”). ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Marzenia demokratów

Zmiana kandydatów w wyborach prezydenckich do najłatwiejszych rzeczy nie należy. Sam proces, organizowany na ostatniej prostej, potrafi być jednak zaskakująco zabawny. Przenieśmy się do twitterowego sztabu Platformy i przeżyjmy te emocje raz jeszcze. „Za Sikorskim przemawia doświadczenie. Za Trzaskowskim przemawia młodość. I bądź tu człowieku mądry” – zastanawiał się Mikołaj Wróbelek. „Zarząd PO jest mądry. Cierpliwości” – uspokoiła go Beata_Ka.

„Nie możemy stracić Warszawy ani Senatu, dlatego naszym kandydatem powinien być Radosław Sikorski, bo jest do tego przygotowany” – zadeklarowała niespodziewanie Hanna Gronkiewicz-Waltz. „Tak, jestem gotów stanąć do demokratycznej rywalizacji” – zameldował Radosław Sikorski.

Najwierniejsi wyborcy Kidawy-Błońskiej nadal nie dowierzali jednak, że pani marszałek może zostać wymieniona. „Jestem pewny, że za operacją »Kidawa musi odejść« stoją ludzie zawodowo zajmujący się dezintegracją środowisk politycznych. Na ochotnika dołączają skretyniali dziennikarze. Ciekawe, kto w tej grze jest pułkownikiem Lesiakiem?” – pytał Wojciech Czuchnowski. „Kto? Pewnie ktoś, kogo zaniepokoiły rosnące szybko sondaże Kidawy-Błońskiej” – odpowiedział mu Piotr Semka.

Gdy się okazało, że postawiono na włodarza stolicy, a Sikorski kolejny raz został kandydatem na kandydata, spory wewnątrz KO ucichły. Ich miejsce zajęły marzenia. „Wszyscy kandydaci demokratyczni usuwają się i wzywają do poparcia Trzaskowskiego jako kandydata największej partii opozycyjnej. Pierwsza tura: Bosak, Duda, Trzaskowski. W debacie wygrywa Bosak. W drugiej rundzie Trzaskowski rozkłada Ostry Cień Mgły, czy jakoś tak...” – wyznał prof. Wojciech Sadurski.

I gdy Rafał Trzaskowski ogłosił, że w pierwszej kolejności zlikwiduje publicystykę w TVP, rozmarzyli się również niektórzy dziennikarze. „Zamknąłbym TVP Info, żeby po kilku tygodniach otworzyć nowy kanał informacyjny w TVP. Skasowałbym Wiadomości, żeby po dwóch tygodniach wystartować z nowym, normalnym programem informacyjnym, który możnaby pokazać Polskom i pokazywać na świecie” – zadeklarował Tomasz Lis (pisownia oryginalna). Piękna wizja, prawda? ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Jacek Bartosiak o geopolitycznej ekspansji Moskwy!

Piotr Zychowicz – **Z Wehrmachtu do Andersa**
Ryszard Kaczmarek – **Polacy w armii Hitlera**
Tomasz Stańczyk – **Morderstwo krakowskiego mecenasa**
Sławomir Cenckiewicz – **Realiści kontra romantycy**
James Willey – **Lubieżne kochanki nazistów**
Tomasz Kornaś – **Nagonka na Józefa Mackiewicza**
Marian Zacharski – **Polacy w sieci Abwehry**
Nikołaj Iwanow – **Dlaczego Stalin pokonał Hitlera**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a71f128f2c

Otwarte restauracje, i kosmetyczne – o czym

FOT. ADOBE STOCK

Weszliśmy w trzeci i przedostatni etap znoszenia obostrzeń związanych z koronawirusem. Od 18 maja możemy pójść do restauracji, skorzystać z usług w salonie fryzjerskim lub kosmetycznym, a autobusem może podróżować większa liczba pasażerów. Dla wszystkich był to długo wyczekiwany moment. Pamiętajmy jednak, że walka z pandemią trwa. Dlatego musimy być odpowiedzialni i przestrzegać obowiązujących zasad. Co powinieneś wiedzieć, kiedy wybierasz się do restauracji? Jak wygląda wizyta w salonie fryzjerskim czy kosmetycznym w nowej rzeczywistości? Ile osób może podróżować komunikacją publiczną? Odpowiedzi na te i inne pytania znajdziesz w tekście!

eprasa.pl a71f128f2c

salony fryzjerskie powinniśmy pamiętać?

RESTAURACJE: OGRANICZONA LICZBA GOŚCI I WIĘKSZE ODSTĘPY MIĘDZY STOLIKAMI

Spotkania ze znajomymi i spędzanie czasu poza domem – za tym z pewnością tęskniliśmy wszyscy. Pamiętajmy jednak, że wraz z otwarciem restauracji obowiązywać zaczynają nowe zasady w tego typu lokalach. Tylko gdy będziemy ich przestrzegać, spędzanie czasu poza domem stanie się bezpieczne dla nas i innych gości. Jak to wygląda w praktyce? Oto kilka najważniejszych zasad.

1. Restauracje nie mogą być przepełnione, dlatego obowiązuje limit osób. Informację o tym, ilu gości może wejść do lokalu, znajdziesz przy wejściu.
2. Wewnątrz restauracji zachowaj dystans od innych osób. Również stoliki muszą być ustawione w bezpiecznych odległościach.
3. Goście, którzy siedzą przy osobnych stolikach, muszą zachować odległość 1,5 m od siebie.
4. Dla wspólnego bezpieczeństwa stoliki w restauracji powinny być dezynfekowane po każdym kliencie.
5. Zakrywanie nosa i ust w przestrzeni publicznej jest bardzo ważne. Jednak kiedy siedzisz przy stoliku w restauracji, nie musisz tego robić.
6. Kiedy wchodzisz do lokalu, pamiętaj o zdezynfekowaniu rąk. Kiedy czekasz w kolejce, zachowaj bezpieczną odległość minimum 2 m od innych osób.
7. Cukier, serwetki lub inne dodatki dostaniesz od obsługi bezpośrednio do każdego zamówienia. Nie znajdziesz ich na stole.

SALONY FRYZJERSKIE I KOSMETYCZNE: JEDNORAZOWE OKRYCIA I OBOWIĄZKOWE MASECZKI

Trzeci etap znoszenia ograniczeń to także wznowienie działalności salonów fryzjerskich i kosmetycznych. I w tym wypadku musimy przestrzegać nowych zasad bezpieczeństwa. Zanim wybierzesz się do fryzjera czy kosmetyczki, sprawdź, co się zmieniło.

1. Noszenie maseczek jest obowiązkowe zarówno przez obsługę, jak i klientów. Kiedy nie musimy tego robić? Tylko podczas zabiegów kosmetycznych, które wymagają odsłonięcia tej części twarzy.
2. Salony muszą stosować jednorazowe okrycia, ręczniki, peleryny itp. dla każdego klienta. Co jeśli nie mają takiej możliwości? Wtedy materiały wielorazowe muszą zostać uprane w odpowiedniej temperaturze po każdym kliencie.
3. Obowiązkowa zasada to jeden fryzjer z zestawem czystych narzędzi dla jednego klienta (grzebienie, nożyczki, spinki, szczotki itd.).
4. Pamiętaj, że warto jest wcześniej umówić się na wizytę, np. telefonicznie lub on-line. Aby uniknąć gromadzenia się ludzi, poczekalnie są nieczynne.

KOMUNIKACJA PUBLICZNA: WIĘCEJ PASAŻERÓW W POJAZDACH

W komunikacji publicznej nadal obowiązują ograniczenia co do liczby pasażerów. Jednak od 18 maja autobusem, tramwajem czy metrem może jeździć więcej osób równocześnie. Ostateczna decyzja o podwyższeniu limitu pasażerów należy do zarządzających transportem. Ile osób wejdzie na pokład? Istnieją dwie możliwości:

1. Tak jak obecnie – tyle, ile wynosi połowa miejsc siedzących, lub
2. Tyle, ile wynosi 30 proc. liczby wszystkich miejsc siedzących i stojących (w tym wypadku jednak połowa miejsc siedzących musi pozostać wolna).

Co to znaczy? Jeżeli w autobusie jest 30 miejsc siedzących i 70 stojących (czyli w sumie 100), to równocześnie może nim jechać 30 osób. Przy czym połowa miejsc siedzących musi pozostać wolna. Do tej pory do takiego autobusu mogło wejść 15 osób.

BĄDŹ ODPOWIEDZIALNY. DBAJ O SIEBIE I INNYCH

Stopniowe znoszenie ograniczeń nie oznacza, że walka z koronawirusem została zakończona. Kiedy stopniowo wracamy do normalności, musimy pamiętać o odpowiedzialnym zachowaniu i przestrzeganiu podstawowych zasad bezpieczeństwa.

- Zachowuj bezpieczną, 2-metrową odległość od innych osób.
- W miejscach publicznych zasłaniaj usta i nos.
- Jeśli możesz – zostań w domu.
- Przestrzegaj zasad sanitarnych.
- Unikaj dotykania oczu, nosa i ust.
- Często myj ręce wodą z mydłem lub używaj środka dezynfekującego.

Pamiętaj, tylko razem możemy pokonać koronawirusa!

Korzystaj ze sprawdzonych źródeł informacji. O aktualnych zasadach bezpieczeństwa przeczytasz na: www.gov.pl/koronawirus.

eprasa.pl a71f128f2c

EFEKT GŁODU

Celebrytka Blanka Lipińska, która zasłynęła książkami erotycznymi wzorowanymi na „50 twarzach Greya", opowiedziała na Instagramie o swoich sposobach na piękną sylwetkę i nie tylko. W udzielanych wywiadach Lipińska nie ukrywa, że kiedyś ważyła ponad 80 kg, a jej twarz wyglądała całkiem inaczej. Przyznała, że wycięła sobie z policzków torebki tłuszczowe (cokolwiek to znaczy) oraz że powiększyła sobie usta i biust. – Nie będę udawać, że mam dietę zmieniającą rysy twarzy. Jestem zrobiona na tyle, na ile było mnie stać. Na tyle, ile uznałam, że będę wyglądać jeszcze w miarę naturalnie, by nie przypominać „kobiety-kota" – wyznała kiedyś w „Dzień dobry TVN", w wywiadzie, który niedawno przypomniał serwis Pudelek. Jedna z fanek zapytała teraz Blankę o to, skąd ma determinację, by trzymać dietę. – Próżność mi pomaga – odpowiedziała celebrytka. – Wolę wyglądać, niż być najedzona – stwierdziła. To by wiele tłumaczyło. Te jej wszystkie dotychczasowe wywiady i mądrości to zwyczajnie efekt głodu! Dać jej się najeść, a może okaże się całkiem do rzeczy?

PRAWIE SIĘ UDAŁO

Anna Wendzikowska, zanim została dyżurną celebrytką z TVN, próbowała swoich sił także w aktorstwie. No dobra, może nie tyle w aktorstwie, ile w serialu „M jak miłość". Teraz została zapytana, czy przypadkiem nie planuje wrócić do aktorstwa. Odpowiedziała – na szczęście – że absolutnie nie. – Nie wrócę do serialu. Moje doświadczenia aktorskie i historie z tym związane mam za sobą. To było moje marzenie od dziecka, chciałam je w jakimś stopniu zaspokoić, ale chyba inna droga była dla mnie pisana. Fajnie mi się w tym serialu grało – odpowiedziała Wendzikowska w rozmowie z portalem JastrząbPost. Dodaje też, że gra w serialu odbywała się kosztem jej życia rodzinnego i dlatego zrezygnowała. – Finalnie okazało się, że to nie było tego warte, bo moja postać nie rozwijała się na tyle ciekawie – podsumowała. Finalnie więc udało się uniknąć Wendzikowskiej aktorki, ale nie udało się uniknąć Wendzikowskiej celebrytki. Czyli jak w życiu, nie można mieć wszystkiego.

NA CZYM ZNA SIĘ EDZIA?

Dziennikarka Katarzyna Bosacka postanowiła odpowiedzieć na mądrości Edzi Górniak, która stwierdziła niedawno, że pandemia koronawirusa to światowy spisek i jeśli powstanie szczepionka, to nigdy w życiu nie da się zaszczepić. – O szczepionkach, bakteriach i wirusach trzeba rozmawiać ze specjalistami, a nie z celebrytami, którzy często są ekspertami od wszystkiego – stwierdziła Bosacka. – Od wielu lat w mediach, a zwłaszcza w Internecie, znane twarze sieją zamęt w kwestiach szczepień i mamy to, co mamy, czyli ogromny wzrost zachorowań chociażby na odrę. Chorobę, która dzięki szczepieniom właśnie przez lata nie była notowana w naszym kraju – mówi. – Edyta Górniak może się wypowiadać w kwestiach muzycznych, ale nie medycznych! – dodaje na koniec. Dość odważne stwierdzenie! Cała kariera Edzi pokazuje bowiem, że na kwestiach muzycznych nie zna się tak samo jak na medycznych. Niestety.

FOT. PAWEŁ GROMADA

WALKA Z REŻIMEM

Tymczasem Monika Richardson-Zamachowska postanowiła odnieść się do politycznego zamieszania wokół radiowej Trójki, nawiązując do swoich doświadczeń pracy w TVP. – W politykę się nie bawię, bo od tego wątroba gnije, jak mawiał Jurek Iwaszkiewicz. Ale dzisiaj coś napiszę politycznie. Nie będę zadziorna ani agresywna. Parę lat w pisowskiej telewizji odsłużyłam, myśląc, że może wystarczy robić swoje, bez deklaracji. Nie wystarczyło – stwierdziła pani Zamachowska. – A najgorsze jest to, że ja tych wszystkich ludzi zarządzających dzisiaj w TVP i Polskim Radiu znam. Nie wszyscy są idiotami, nie wszyscy są podli. A jednak zachowują się strasznie. Co poszło nie tak? Nie wstyd Wam? – zapytała. Najstraszniejsze zachowanie, z którym osobiście zetknęła się pani Monika, to zwolnienie jej z TVP. Ponoć słabo wypadała w badaniach popularności wśród widzów TVP. Zna ktoś większą podłość?

NARODOWA TOŻSAMOŚĆ WESELNA

Celebrytka Izabela Janachowska, która świetnie odnalazła się w biznesie ślubnym i w doradzaniu parom, jak zorganizować ślub i wesele marzeń, narzeka, że rząd odmrażając kolejne gałęzie gospodarki, zupełnie zapomniał o jej branży. Wystosowała nawet własny apel do rządu, który zamieściła na swojej stronie internetowej. „Jeśli rząd szybko nie podejmie działań, które pozwolą złagodzić skutki obecnej sytuacji, to obawiam się, że przyjdzie nam się zmierzyć nie tylko z gospodarczym kryzysem, lecz także tym o wiele bardziej niebezpiecznym – kryzysem tożsamości narodowej" – wieszczy. „Co jeżeli już niedługo obraz tradycyjnej rodziny będziemy znali z książek i opowiadań?" – pyta Iza. „Jeśli obecny stan utrzyma się dłużej, to za chwilę dojdziemy do wniosku, że właściwie kultywowanie przekazywanych z pokolenia na pokolenie wartości nie jest nam potrzebne. Siła nas jako społeczeństwa, narodu polskiego tkwi właśnie w naszej tradycji – podsumowuje Janachowska. Co też ta pandemia robi z ludźmi! O narodowej tożsamości, wartościach i tradycji przypominają sobie nagle ci, których nigdy wcześniej byśmy o to nie podejrzewali! Nie wiadomo tylko: śmiać się czy płakać. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, po miażdżącym zwycięstwie w debacie przedwyborczej Małgorzata Kidawa-Błońska postanowiła nie robić wstydu konkurencji politycznej i zrezygnowała z samcopozytywnego wyścigu o fotel prezydencki.

Przy tej okazji musimy zwrócić uwagę na sformułowanie „wyścig o fotel". Jest ono bowiem wprost wyjęte z tradycyjnego podkarpackiego modelu rodziny, gdzie osoboojciec-patriarcha-wyzyskiwacz po pracy (zapewne na czarno) wraca do domu i jedyne, o czym myśli, to aby zalegnąć w fotelu z puszką harnasia w nieumytej dłoni z wrośniętymi paznokciami i oglądać polskie kabarety.

W tym czasie jego osobożona jest zmuszana do rodzenia dzieci i pracy w polu jednocześnie. Nic więc dziwnego, iż osobokidawa nie odnalazła się w takim towarzystwie, a co więcej – dała wyraźny sygnał, iż czas najwyższy zredefiniować nawet te idiomatyczne sformułowania, które rzutują na jakość debaty publicznej w tym kraju.

Jak nam zaimponował Rafał Trzaskowski! Otósh powiedział, iż jeśli zostanie prezydentem tego kraju, to będzie „namawiał usilnie prezydenta stolicy z opozycji, który zajmie jego miejsce, żeby wystąpił z inicjatywą stworzenia w Warszawie ulicy Lecha Kaczyńskiego". Bardzo nam się to podoba, iż Trzaskowski potrafi rozgraniczyć własne sympatie i poglądy od działalności politycznej. Jesteśmy bowiem w stanie sobie wyobrazić, iż osoba prywatna Rafał Trzaskowski takiej ulicy chce, ale jednocześnie wstydzi się zagadać prezydenta Rafała Trzaskowskiego, iżby wyjść z taką inicjatywą.

To zresztą tym lepiej w świetle tego, jak taka ewentualna decyzja może rozsierdzić pisowców, którzy roszczą sobie wyłączne prawo do nazywania ulic i obiektów imieniem Lecha Kaczyńskiego. Rafał Trzaskowski nie chce po prostu dopuścić do eskalalacji napięć i nastrojów, więc tym bardziej szanujemy go za to w... opór.

Jak nam zaimponował prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski! Otósh powiedział, iż jeśli zostanie prezydentem tego kraju, to będzie „namawiał usilnie prezydenta stolicy z opozycji, który zajmie jego miejsce, żeby wystąpił z inicjatywą stworzenia w Warszawie ulicy Lecha Kaczyńskiego"

Jaka siara. Jak wiecie, jedną z największych uciążliwości w czasie home office'u jest konieczność przeprowadzania wideokonferencji i wiążąca się z tym potrzeba posprzątania przestrzeni domowej, która jest objęta kamerą. W związku z tym wydzieliliśmy sobie fragment pokoju, w którym nie gromadzimy sterty ubrań, butelek po piwerku i sprajcie, a na ścianie powiesiliśmy modną mandalę i plakat niszowego twórcy, który w sumie nie wiemy, co przedstawia, ale im bardziej czegoś nie rozumiemy, tym bardziej to szanujemy (z wyjątkiem religii i matematyki).

No więc wyobraźcie sobie, że mamy taką wideokonfę trójstronną: nasz team sprzedażowy, centrala korpo z Niemiec i Nowy z Tarnowa. Widzicie niepasujący element? No właśnie.

Otósh Nowy usadził się pod ścianą, na której wisiały: krzyż, flaga biało-czerwona i portret Jarosława Kaczyńskiego. W trakcie rozmowy żona podała mu talerz z pierogami, a Nowy jak gdyby nigdy nic się przeżegnał i zaczął jeść. Of kors okrasa była z cebulką. Trochę się przez dwa miesiące home office'u odzwyczailiśmy od takich widoków, więc to, co zobaczyliśmy, do tej pory trzyma nas w szoku, chyba musimy iść to rozbiegać czy coś :(©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Niech odchodzą

Krzysztof, o co chodzi z tą Trójką? Bo słyszę, że podobno jakaś katastrofa, że właściwie już nie ma kto programu prowadzić...
Jarku, nie wierz w te bzdury. Jakieś tam małe problemy były, ale nic się wielkiego nie dzieje. Po prostu czyszczenie ze złogów robimy.

A, to dobrze. Bo wiesz, ja radia właściwie nie słucham, a tego to już w ogóle.
Wiem, ale zapewniam cię, że mam nad wszystkim kontrolę.

No dobrze, ale to prawda, że wszyscy odeszli?
Nie wiem, jak to jest konkretnie w tym momencie, ale nawet, gdyby się pojawił tego typu problem, to nic takiego.

No jak to nic takiego? Ja się tam nie znam za bardzo, ale przecież nie może być chyba ciszy na antenie?
Oczywiście, że nie, ale żadnej ciszy nie będzie. Ja mam procedurę awaryjną opracowaną. Jakby co, to Asia poprowadzi rozmowy z politykami, ja wezmę audycje muzyczne... albo odwrotnie zresztą.

A wiadomości? Ma kto czytać?
Oczywiście, zrobiłem nawet taki mały casting. Znaczy – przesłuchanie. Andruszkiewicz wygrał.

To ten, co tak zaciąga?
Właśnie dlatego wygrał. Pokażemy, że jakaś tam wielkomiejska wymowa nie będzie rządzić! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Pamiętam, kiedy mówił to słynne kazanie o kremówkach..."

BORYS BUDKA, *przewodniczący Platformy Obywatelskiej, wspominając na antenie RMF FM papieża Jana Pawła II*

eprasa.pl a71f128f2c

Z całego kraju płyną do nas pytania, jak na to, co się ostatnio dzieje, reaguje duży pałac, czyli prezydent Andrzej Sebastian i jego sztab. Sprawdziliśmy. Odpowiedź brzmi: „Z niedowierzaniem". Nie, nie chodzi jedynie o wymianę Małgośki na Rafcia. Także o rozmaite działania Zjednoczonej Prawicy. Niestety, w samym sztabie są kłopoty, gdyż o jedność tam trudno.

Od jednej z wiewiórek usłyszeliśmy, że jedyną osobą w Zjednoczonej Prawicy, której w 110 proc. zależy na wygranej prezydenta Andrzeja Sebastiana, jest Naczelnik Państwa. Po namyśle wiewiórka dodała też: „No i premier Mateusz staje na głowie, żeby pomóc". A co z resztą? No cóż, jak by tu powiedzieć, rozglądacie się przecież dookoła i możecie sami się domyślić, skąd opisane wyżej niedowierzanie.

Ciekawy związek z powyższym ma fakt ponownego uaktywnienia się w okolicach Nowogrodzkiej frakcji, która sufluje, by to Naczelnik Państwa, znany też jako Kaczor Dyktator vel Kaczafi, został premierem. Kiedy? Ano po wyborach prezydenckich, znaczy na jesieni. Naczelnik jednak wielce ceni samotnego młodzieńca, którym jest premier Mateusz. Nie chcielibyśmy psuć rozrywki wszystkim domorosłym Machiavellim, ale najpierw to by jednak trzeba te wybory prezydenckie wygrać.

Liczne są jednak siły twardogrodu, które podpowiadają, że czas, aby premier Mateusz został zepchnięty w otchłań Hadesu. Współczesny Hades to stanowisko superwicepremiera do spraw gospodarki na czas kryzysu. Czyli coś takiego jak Balcerowicz, którego wszyscy chwalili, a nikt go nie popierał.

Są jednak w Zjednoczonej Prawicy tacy ludzie, którzy twierdzą, że przesunięcia Mateusza sobie nie wyobrażają. I że wtedy zabiorą swoje zabawki z piaskownicy, to znaczy, wróć… Zabiorą swoje głosy z sali sejmowej. Co oznaczałoby, że w ramach Zjednoczonej Prawicy zamiast Porozumienia będzie ogólne nie-Porozumienie.

Teraz o Eine Totalopposition. Jacek Rostowski, Radek Sikorski, Anne Applebaum, Hanna Suchocka, Andrzej Olechowski, Aleksander Kwaśniewski… Tak sobie wyliczamy potencjalny skład komitetu honorowego poparcia kandydata Rafcia Trzaskowskiego. Na razie zastosowaliśmy tylko jedno kryterium: kto był zaproszony na spotkanie grupy Bilderberg, z którego to zaproszenia Rafcio jest niesłychanie dumny.

Nas najbardziej wzruszyła deklaracja Rafcia, że gdy zostanie prezydentem Polski, będzie zachęcał prezydenta Warszawy, by upamiętnić Lecha Kaczyńskiego. Widocznie na razie Rafcio nie jest w stanie dojść do ładu sam ze sobą i zachęcić do tego kroku aktualnego prezydenta Warszawy, czyli Rafcia.

Liczymy na to, że Rafcio prezydent Polski zachęci też prezydenta Warszawy do upamiętnienia np. Bronisława Geremka. A nie, przepraszamy, przecież już go upamiętnił – skwerem, który jesienią 2018 r. w trakcie kampanii odsłonili Rafcio, Hanka Bufetowa i Ewka Malinowska-Grupińska. Rafcio upamiętnił także osobną aleją w Warszawie Pawła Adamowicza. Cóż, Lechem Kaczyńskim nie interesowały się CBA (jak Adamowiczem) ani IPN (jak Geremkiem), więc co tu upamiętniać, prawda?

Drugim powodem naszego wzruszenia w kwestii deklaracji programowych Rafcia jest jego oficjalne poparcie związków partnerskich. Proponujemy, by w pierwszej kolejności zajął się związkiem partnerskim łączącym Platformę Łobywatelską oraz Małgorzatę Kidawę-Błońską. Naszym zdaniem doszło tam do nielichej przemocy w rodzinie.

FOT. ROBERT GARCZYŃSKI

dwaj panowie g

Jak donoszą nasze wiewiórki z wyższych sfer (mamy i takie), były minister spraw wewnętrznych, Bartłomiej Bart Simpson Sienkiewicz, bardzo pilnie szuka roboty. Ostatnio nagabywał w tej kwestii jednego z najbogatszych Polaków. Niestety najbogatsi Polacy mają poważne obawy, że Bart umie niewiele poza sprawianiem dobrego wrażenia. Więc z roboty nici.

Powyższe oznacza, że Bart Sienkiewicz jest człowiekiem małej wiary i chyba nie bardzo wierzy w szanse Rafcia Trzaskowskiego na żyrandol prezydencki. No bo gdyby wierzył, to przecież liczyłby na to, że zostanie u nowego prezydenta jakimś nowym Wujcem albo Lityńskim, a nie nerwowo szukał innej roboty.

Są i tacy, co w Rafcia wierzą – co ciekawe, spoza partii. Do sztabu Trzaskowskiego ma podobno dołączyć niejaki Szymon Milczanowski. Osobnik ten aktualnie doradza zarządowi portalu Wirtualna Polska. Tylko patrzeć, jak wirtualne parówki zaczną wychwalać Rafcia, a obrzydzać prezydenta Andrzeja Sebastiana. Tak przynajmniej podejrzewają wiewiórki.

Tymczasem na froncie chińskim. Polskie służby nagle dostrzegły, że służby Państwa Środka bardzo się u nas zaktywizowały i na potęgę zaczęły wydawać kasę nad Wisłą. Kilka think tanków, które przez lata ledwo wiązały koniec z końcem, nagle dostały szwungu, a ich szefowie i pracownicy zmienili wytarte garniturki na stroje, za które odpowiada Ermenegildo Zegna. I pod niebiosa zaczęli wychwalać chińską drogę.

Powyższe zjawisko jest o tyle ciekawe, że heroldzi supremacji i dobrego serca Chin zachłystują się jednocześnie przewagami Niemców i wyrażają zachwyt nad Angelą Merkel. Panowie G. są jednak obeznani nie tylko z Konfucjuszem i Rainerem Marią Rilkem, lecz także ze sztukami Carlo Goldoniego. Pamiętają więc, że jedna z nich nosi tytuł „Sługa dwóch panów".

Jesteśmy też biegli w Nowym Testamencie. Słowo zaś brzmi: „Nie można dwóm Bogom służyć – Bogowi i mamonie". I tu siurpryza. Otóż wyżej wymienieni nie służą dwóm bogom, tylko jednemu – Mamonowi. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

Kryzys, który można przekuć na szansę

Tydzień temu pisałem o potrzebie budowy silnej klasy średniej. Chodzi o stworzenie warunków do eksplozji potencjału, który tkwi w Polakach. Trzeba zbudować warunki, aby ów potencjał znalazł miejsce do swojej realizacji. To zaś zasadnie zgoła niełatwe, bo wymagające głębokich zmian prawnych i mentalnych. Nie jest to jednak cel nie do zrealizowania.

Warto zastanowić się nad konkretami. Jako przedsiębiorca wiem, że kiedy chcę przeprowadzić jakieś przedsięwzięcie, potrzebuję planu. Aby osiągnąć sukces

Piotr Hofman, prezes Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

w biznesie, muszę brać pod uwagę dostępne zasoby oraz umiejętnie je wykorzystać. Powinienem także zdiagnozować słabe strony, punkty wrażliwe, które mogą osiągnięcie celu utrudnić, a nawet uniemożliwić.

W naszym kraju takich barier jest niestety dosyć dużo. Jedną z nich jest skomplikowany i nieefektywny system podatkowy. Nie chodzi nawet o wysokość stawek, problemem jest samo ustalenie podstawy opodatkowania tak, aby fiskus decyzji przedsiębiorcy w tym zakresie nie zanegował. Co paradoksalne, dla firm niejednokrotnie trudnością są przyznawane im ulgi. Te bowiem są tak sformułowane, że po wnikliwej lekturze przepisów i ministerialnych interpretacji w dalszym ciągu nie wiadomo, czy z preferencji można skorzystać, czy też nie. To jak gra w rosyjską ruletkę: uda się albo się nie uda, ale pewności nie ma.

W postpandemicznej rzeczywistości ten feler najpewniej z nami zostanie. A warto zrobić porządek z niejasnymi przepisami, które wymagają wyjaśnień, a następnie wyjaśnień do wyjaśnień i tak dalej. Dla początkującego przedsiębiorcy, członka klasy średniej in spe, to rów trudny do przeskoczenia. Nic dziwnego, że wielu zwyczajnie rezygnuje, etat jest dla nich wyborem optymalnym, bo bezpieczniejszym. Ludzie ci chowają do pudełka swój potencjał, tracą oni, traci też państwo. Różne programy wspierające start-upy czy innowacje nie pomogą w sytuacji, w której murem nie do przebicia dla przedsiębiorcy okazuje się gmatwanina paragrafów. Jeśli dodamy do tego nieefektywne i działające w żółwim tempie sądy, mamy odpowiedź na pytanie, dlaczego jesteśmy – jeśli chodzi o przedsiębiorczość – w tym, a nie innym miejscu.

Zatem pierwszy postulat to uproszczenia. Niech przyznawane firmom ulgi to będą prawdziwe ulgi. Bez setek wyłączeń, wyjątków czy odwołań do innych ustaw. Szczególnie teraz warto, aby prawo było dla człowieka, a nie człowiek dla prawa.

Kolejna trudność, z którą spotykają się przedsiębiorcy, to papierologia. Funkcjonujemy w warunkach permanentnej podejrzliwości, gdzie nikt nikomu nie ufa, brak nam, jak mówią socjologowie, kapitału społecznego zaufania. A to właśnie zaufanie jest punktem wyjścia do dalszej współpracy. Filarem i budowniczym tego zaufania powinno być państwo. Tymczasem to ono wiedzie prym w sprawdzaniu: Czyż kontrola nie jest najwyższą formą zaufania? To podejście, które wymaga korekty. Mniej zaświadczeń, więcej oświadczeń. Mniej sprawdzania, więcej zaufania. Mniej kontroli, więcej dobrej woli. To jednak wymaga także zmiany mentalności, zarówno po stronie rządzących, jak i urzędników. Wygląda na to, że w tej kwestii coś zaczyna się powoli zmieniać. „Powoli" oznacza, że może być szybciej, a szybciej w tym wypadku to lepiej.

Przed nami trudny okres, polska gospodarka w tym roku skurczy się pierwszy raz od wielu lat. W tym kontekście pojawi się pokusa ze strony władzy, aby przykręcić fiskalną śrubę. Budżet nie jest z gumy, to jasne. Jednak reakcje nie mogą być nerwowe, państwo musi patrzeć i planować dalej niż w perspektywie jednego roku budżetowego. W biznesie nazywa się to strategią, takiej strategii na lata po koronawirusie potrzebujemy jak najszybciej. Prace nad nią warto zacząć już teraz. Zobaczmy, gdzie leżą nasze mocne strony, zdiagnozujmy słabe punkty i oceńmy, co w najbliższym czasie możemy poprawić. Niewykluczone, że obecne bariery staną się szansami, a kryzys punktem zwrotnym na drodze do budowy silnej klasy średniej.

Autor jest prezesem Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa
www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl a71f128f2c

FOT. TADEUSZ POŹNIAK/POLITYKA/REPORTER

Powrót cudownego dziecka PO

Piotr Semka

Zwolennicy Rafała Trzaskowskiego chcą w nim widzieć polityka z klasą. Ci, którzy z niepokojem obserwują, jak ulega hasłom rewolucji obyczajowej, obawiają się jego skłonności do ideowej mimikry. Kto jest bliżej prawdy?

Wybór Rafała Trzaskowskiego na następcę Małgorzaty Kidawy-Błońskiej w wyścigu prezydenckim według polityków Platformy miał być wynikiem sondaży. Liderom Platformy wyszło z badań, że tylko Tusk z wynikiem 30 proc. i Rafał Trzaskowski (18 proc.) mają szansę w starciu z Andrzejem Dudą. W wyborze Trzaskowskiego jest jednak tęsknota za kimś, kto coś wygrał dla PO. A platformersi nie zwyciężyli w żadnych ogólnopolskich wyborach dokładnie od sześciu lat.

Wiele osób mówi, że w Rafale Trzaskowskim jest coś chłopięcego, mimo że na początku roku skończył 48 lat. Co to konkretnie jest? Ujmujący uśmiech? Żywe spojrzenie? Tym bardziej rzucają się w oczy nagłe przemiany w jego zachowaniu, gdy wykrzykuje swojej postulaty. Kiedy parę dni temu zapowiadał likwidację „Wiadomości" czy kanału TVP Info – nieprzypadkowo w Internecie krążyły zdjęcia jego twarzy zmienionej chwilową złością. Ten kontrast między marketingowym wizerunkiem „babyface" a chwilami irytacji dobrze opisuje jego problem: dylemat kogoś, kto ma potencjał do robienia rzeczy raczej dobrych niż złych, ale który wskutek ambicji daje się pchać ku walkom wymagającym bezwzględności.

I to powoduje też podział opinii na temat obecnego prezydenta Warszawy. Jego przyjaciele i zwolennicy chcą w nim widzieć polityka z klasą. Ci, którzy z niepokojem obserwują, jak ulega hasłom rewolucji obyczajowej – obawiają się jego skłonności do ideowej mimikry. Kto jest bliżej prawdy?

GŁADKĄ DROGĄ

W 1972 r. Stanisław Bareja nakręcił kultowy potem film „Poszukiwany, poszukiwana". W tym samym 1972 r. przyszedł na świat Rafał Trzaskowski. Dorastał w posępnych czasach rządów Jaruzelskiego, a nie w kolorowej epoce konsumeryzmu Gierka. A jednak mojemu rozmówcy – absolwentowi warszawskiego XI Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Reja w Warszawie, do którego chodził Trzaskowski – bohater tego tekstu kojarzy się po latach ze sportretowanym w kultowej komedii Antosiem, synem zamożnych państwa Góreckich, granym przez Filipa Łobodzińskiego.

„Rafał był znany w szkole jako syn »tego Trzaskowskiego« – wyjaśnia absolwent szkoły. – Ojciec, Andrzej Trzaskowski, jeden z mistrzów jazzu lat 50., a następnie bardzo popularny w latach 70. i 80. kompozytor muzyki rozrywkowej i filmowej, był wtedy »kimś«. Dbał, by Rafał miał wszystko, co najlepsze. W domu stykał się ze znanymi muzykami i aktorami. Wychowanie w takich warunkach mocno wpłynęło na chłopaka. In plus, bo przełożyło się na jego ciekawość świata, dobrą znajomość języków i szerokie horyzonty intelektualne. Minusem tego wychowania pod kloszem była słaba zdolność do radzenia sobie z konfliktami, irytacja w razie zderzenia się z innym sposobem myślenia i oczekiwanie, że wszystko dostanie się od losu na tacy".

Czy pogląd ten jest tylko echem stereotypowego postrzegania dzieci znanych rodziców, czy kluczem do zrozumienia psychiki kandydata na prezydenta Polski?

Od początku „znał wszystkich". Z liceum Reja wywodziło się wielu późniejszych celebrytów. Reja ukończyli dziennikarz Marcin Meller, muzycy, tacy jak Kazik Staszewski i Robert Brylewski, czy wreszcie znani aktorzy – Ewa Błaszczyk i przyjaciel Rafała Trzaskowskiego jeszcze z podstawówki Michał Żebrowski. Przyrodnim bratem kandydata Rafała (choć starszym o 19 lat) jest artysta Piotr Ferster, dyrektor Piwnicy pod Baranami, co dawało Trzaskowskiemu liczne znajomości także w krakowskich elitach.

W czerwcu 1989 r. na fali ogólnego wolnościowego entuzjazmu 17-letni Trzaskowski zdążył otrzeć się o wielką historię, pomagając w kampanii wyborczej Solidarności. Jako 17-latek dobrze znający angielski został poproszony, by asystować

eprasa.pl a71f128f2c

senatorowi z Michigan, który przybył do Warszawy obejrzeć pierwsze półwolne wybory w bloku sowieckim. Senator odwdzięczył się za pierwszorzędne przyjęcie stypendium w USA, gdzie Rafał doszlifował swój angielski. Na tyle, by jeszcze dekadę temu chwalić się, że myśli o napisaniu powieści po angielsku w stylu amerykańskiego postmodernizmu.

Jego życiorys po powrocie do Polski to wybory kogoś, kto wszedł w latach 90. na drogę dążenia Polski do Europy, z wiarą, że tworzy się kadry nowego państwa. Te ambicje wyrazi po latach, w 2009 r.: „Nadchodzi czas naszego pokolenia, pora przejmować pałeczkę, jesteśmy do tego dobrze przygotowani".

Realizacja tych marzeń była tym łatwiejsza, że jego mistrzami byli ludzie mający spore wpływy w latach 90. Tacy jak Bronisław Geremek, z którym młody Rafał zetknie się w Collegium Civitas, czy później szef delegacji polskiej w europarlamencie Jacek Saryusz-Wolski, którego asystentem był w Brukseli w pierwszej dekadzie XXI w.

„Miał zadatki na bycie dobrym naukowcem, ekspertem z zakresu polityki zagranicznej. Bardzo sprawny intelektualnie, pracowity, gdy na czymś mu zależało, i znający języki" – mówi Jacek Saryusz-Wolski. Jednak gdy w 2012 r. Donald Tusk postanowił odebrać Saryusz-Wolskiemu funkcję szefa delegacji polskiej – szybko zmienił front. „Odwrócił się do mnie plecami i wybrał obóz, który kojarzył mu się z większymi profitami" – dodaje.

Trzaskowski pasował do stylu ekipy Tuska. Młodzi, przebojowi „fajnopolitycy" szybko zaoferowali mu miejsce do europarlamentu, które zdobył w 2009 r.

Do grupy Platformy w europarlamencie wszedł bardziej w roli posła speca od polityki unijnej niż polityka partyjnego. Chociaż w wypowiedzi z 2009 r. cytowanej przez „Politykę" objawia już cechy polityka, a nie eksperta. „Polityka" pisała: „Wielu ma go za zarozumialca. – Jeśli sądzę, że tak trzeba, to nie waham się sam przedstawić własnych zalet, co w Polsce jednak ciągle nie jest przyjęte". Niedawno na antenie Radia TOK FM Trzaskowski mówił o swojej przyszłej pozycji w Unii Europejskiej. – Gdziekolwiek się znajdę, tam będę dobry".

Platforma uznała, że będzie dobry jako szef kampanii Hanny Gronkiewicz-Waltz w 2010 r. Trzaskowski nie odmówił, choć każdy, kto w stolicy miał uszy i oczy otwarte, wiedział, że wokół procederu prywatyzacji kamienic i polityki ratusza w tej kwestii – delikatnie mówiąc – śmierdzi.

Tusk z uznaniem przyjmuje udział Trzaskowskiego w kampanii H.G.W. i w 2013 r. nagradza go funkcją ministra administracji i cyfryzacji. Z niej przeskakuje potem na stanowisko wiceszefa MSZ. Jednak od jesieni 2014 r. na pięknym gmachu Platformy pojawiają się rysy. Tusk wyjeżdża do Brukseli, a pozostawiona sama sobie PO pod rządami Ewy Kopacz usuwa się ku klęsce.

W 2018 r. pogrążona tekstami dziennikarskimi o nieprawidłowościach w ratuszu Hanna Gronkiewicz-Waltz rezygnuje z ponownego kandydowania. Do walki o fotel prezydenta stolicy zostaje skierowany Trzaskowski.

PiS jest przekonany, że dynamizm kampanii Patryka Jakiego pozwoli przełamać trwającą od 2006 r. dominację Platformy w stolicy. Partia Jarosława Kaczyńskiego liczy, że ukształtował się już elektorat miejski wdzięczny za „500+", który może przechylić szalę. Sam Trzaskowski popełnia liczne gafy – do historii kampanijnych kiksów przeszło zalepianie taśmą klejącą wybitej szyby w mieszkaniu jednej z odwiedzanych wyborczyń. Jednocześnie kandydat PO nie potępia najazdów bojówek KOD na wiece Jakiego. W dniu wyborów 21 października 2018 r. Trzaskowski wygrywa w pierwszej turze. Warszawa okazuje się polityczną twierdzą platformersów. Kiedy jednak cichną fanfary po wyborczej wiktorii – nowego włodarza stolicy dopadają problemy z rządzeniem miastem. Z wielu obietnic się wycofuje. Awarię oczyszczalni Czajka udaje się okiełznać tylko za pomocą rządu Mateusza Morawieckiego. Trzaskowski bardzo świadomie stawia na hasła rewolucji obyczajowej. Wprowadza kartę LGBT, uczestniczy w paradzie równości, za jego rządów Agata Diduszko-Zyglewska, nowa przewodnicząca komisji kultury i promocji w Radzie Warszawy likwiduje tradycję zapraszania księży na przedświąteczne opłatki. Żona Trzaskowskiego, Małgorzata, ogłasza w wywiadzie, że nie będzie posyłać dzieci na religię w sytuacji, gdy „Kościół nie zdał egzaminu, gdy PiS atakował sądy czy prawa kobiet, gdy protestowali niepełnosprawni czy mamy dzieci ze specjalnymi potrzebami edukacyjnymi".

KAMPANIA OD NOWA

Michał Żebrowski pytany przez „Politykę" o Trzaskowskiego komplementuje go tak: „W domu rodzinnym Rafała panował klimat szlachecko-inteligencki, a przy stole wdzięk i poczucie humoru, a nie zapyziała nuda polskich wizyt. Gadało się tam o wszystkim, a najwięcej o kulturze. Była też otwartość poglądów, na którą załapywałem się bez trudu, chociaż pochodziłem z rodziny ultrakatolickiej".

Od wdzięku do przerysowania droga niedaleka. Doświadczył tego Trzaskowski, gdy w 2015 r. Platforma zadecydowała, że będzie kandydował do Sejmu nie z macierzystej Warszawy, lecz z Krakowa. Jego klip wyborczy, w którym zdaje egzamin z krakowskości z łaskawą akceptacją jednego z kapłanów podwawelskich elit, w odczuciu wielu osób przekroczył granice śmieszności. Jeszcze gorzej było z klipem z kampanii Trzaskowskiego do europarlamentu z 2009 r., w którym przyjaciel kandydata, wspomniany już Michał Żebrowski, ustylizowany został na rozstrzeliwanego powstańca krzyczącego: „Za Rafała!". W tym wypadku ochota na zgrywę okazała się silniejsza niż poczucie dobrego smaku. Trzaskowski oba klipy zaakceptował.

Problemem nowego kandydata jest to, że polityka pcha go ku zgrywie lub ryzykownym pomysłom, a nie pasuje to do kogoś, kto podkreśla swoje szlachecko-inteligenckie korzenie. Zmagała się z tym już Małgorzata Kidawa-Błońska. U Trzaskowskiego dochodzi dodatkowo zbyt jawnie okazywane poczucie wyższości. Spytany o możliwość debaty z Andrzejem Dudą po angielsku – pyszałkowato odparł: „Nie wiem, czy byłbym tak okrutny".

Jego agresywne komunikaty – o likwidacji publicystyki w TVP czy o odmowie łaski dla skazanych polityków PiS – pokazują, że PO chce najpierw zbrutalizować, a potem spolaryzować kampanię. Chodzi o stworzenie kolejnego plebiscytu „za czy przeciw" rządom PiS. A jednocześnie wciąż zmienia role. Gdy zapowiada likwidację „śmieciówek" i głosi hasło „nowej solidarności" – łania się lewicy. Kiedy indziej zapowiada, że jak wygra prezydenturę Polski, to przeforsuje nadanie imienia Lecha Kaczyńskiego jednej z ulic w Warszawie. To już zakrawa na rozdwojenie jaźni. Przecież od pół roku mógł to zrobić jako prezydent Warszawy.

Trzaskowski staje się ostatnią nadzieją Platformy. Jeśli wygra, to otworzy drogę do demontażu politycznego znaczenia PiS. Jeśli przegra prezydenturę – to Platforma może szybko wyzionąć ducha jak niegdyś Unia Wolności. Czy w tej sytuacji może kogoś dziwić, że PO sięga po swoje cudowne dziecko?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Z dr. Romanem Polko, generałem dywizji Wojska Polskiego
rozmawia Wojciech Wybranowski

Samą obroną wojny nie wygramy

FOT. ARCHIWUM ROMANA POLKO

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Najwyższa Izba Kontroli wskazała liczne błędy w zarządzaniu armią, m.in. stwierdziła, że polscy żołnierze są źle szkoleni. MON ripostuje, że NIK zbadała tylko wycinek większej materii.

GEN. ROMAN POLKO: Raport jest bardzo ogólny i niewiele faktów z niego wynika. Przyznam się, że mam duży dystans do rozmaitych raportów NIK dotyczących polskiego wojska, a bierze się to z moich doświadczeń z kontrolerami NIK i obserwacji... hm... nazwijmy to: poziomu profesjonalizmu i wiedzy o wojsku, którą oni dysponują. Sam byłem kontrolowany przez NIK, kiedy dowodziłem 6. Batalionem Desantowo-Szturmowym w Niepołomicach, i raport, który wówczas przygotowano, nie odzwierciedlał stanu faktycznego. Był to dokument wręcz humorystyczny. Dlaczego? Kontroler NIK zakopał się w dokumentach, a nie patrzył na to, co się dzieje w praktyce. I tak w raporcie pokontrolnym napisano wtedy na przykład, że moi żołnierze się nie myją. (śmiech) Dlaczego? Ponieważ nie było grafiku kąpieli. A my zachęcaliśmy żołnierzy, żeby kąpali się nie według grafików raz w tygodniu, bo tyle wtedy „przysługiwało", tylko wtedy, gdy tego potrzebują, najlepiej codziennie.

Wracając jednak do bieżącego raportu NIK. Pokazuje on problem, o którym mówił pan już wcześniej. Brak nowoczesnego sprzętu, programów współczesnego pola walki...

Nasza armia ma wiele problemów i zapóźnień, które sięgają wielu lat wstecz, a nie kontrolowanych dwóch. I tak jednak, jeśli się spojrzy, jak nasza armia wyglądała jeszcze kilkanaście lat temu, a jak wygląda teraz, to jest mimo wszystko olbrzymi progres, także generacyjny. Również w kwestii podoficerów zaczęto wreszcie dostrzegać ich rolę w budowie morale wojska. Raport NIK nie uderza w sedno problemu, którym w mojej ocenie nie są braki sprzętowe, bo wszyscy wiemy, że Marynarka Wojenna jest w rozsypce, że lotnictwo wymaga modernizacji; tu potrzebna jest diagnoza, do czego armia jest nam potrzebna i do jakich wyzwań ma służyć. Odnoszę wrażenie, że NIK chciałaby mieć armię gotową do prowadzenia takich wojen, jakie już minęły, a szef MON – co widać w działaniach, choćby w tym, w jaki sposób rozbudowywane są Wojska Obrony Terytorialnej – przygotowuje armię jednak do wyzwań przyszłości. W dużej mierze nie są to wyzwania wyłącznie militarne; taki WOT np. świetnie zastępuje obronę cywilną, radzi sobie także w elementach logistycznych, informatycznych, medycznych nie gorzej od zawodowej armii. Entuzjazm, chęć działania i profesjonalizm żołnierzy WOT, który nie łączy się wyłącznie z wyszkoleniem wojskowym, dają dobrą jakość.

Świetnie wyszkoleni harcerze nie sprostają jednak, dajmy na to, rosyjskiej armii.

A to niewłaściwe podejście. Wiele razy mówiłem, także w rozmowach z panem: Przestańmy wreszcie demonizować rosyjskich żołnierzy. Na jakiej podstawie uważamy, że zawsze są od nas lepsi? Co to jest ten osławiony specnaz? Żołnierze WOT mają dziś w swoich szeregach profesjonalistów, którzy doświadczenie zawodowe wykorzystują na potrzeby armii, są więc multitaskami. Są tam i pilot dreamlinera, i pielęgniarka, nauczyciel z pasją, menedżer na co dzień zarządzający dużymi zespołami ludzkimi. Mają świetnych informatyków, których normal-

eprasa.pl a71f128f2c

nie armia nie byłaby w stanie pozyskać, bo nie byłaby w stanie im zapłacić tyle, ile zarabiają w cywilu. WOT daje możliwość, by ten potencjał na rzecz armii wykorzystać: zapaleni ochotnicy po godzinach chcą coś zrobić dla Polski i w formule służby terytorialnej jest to możliwe. Tabloidy piszą, że w trzy dni armia rosyjska dojdzie do linii Wisły. To nonsensowne podejście. Dzisiaj wojna odbywa się na wielu płaszczyznach, niedawno NATO dodało także obszar cyberprzestrzeni, w którym w mojej ocenie taki WOT będzie sobie lepiej radził niż armia zawodowa. Elastyczność tej organizacji pozwala na niestandardowe, przynajmniej jak na armię, działania, choćby powołanie z dnia na dzień w swoje szeregi paramedyków, dawnych żołnierzy wojsk specjalnych i wysłanie ich na te kierunki, na których są dzisiaj potrzebni.

NIK stwierdziła też, że brakuje amunicji dla wojska. To jest niestety problem, z którym nasza armia boryka się od lat. Można to przykrywać, mówiąc o produkcji kolejnych krabów, zakupie karabinków Grot. Świetnie, ale wojsko nie ma czym strzelać.

Racja, tu rzeczywiście jest problem. Minister Mariusz Błaszczak jako powód do dumy podaje, że zwiększył stan osobowy wojska. Jednak warto by było najpierw doposażyć żołnierzy, którzy są. I o to mam pretensje do wojskowych dowódców. Zbyt często na odprawach widziałem takie „stukanie obcasami" w stylu: „Tak jest, panie ministrze / panie generale, damy radę, co prawda nie mamy spadochronów i zasobników, żeby zrzucać żołnierzy, ale będą wyskakiwać z samochodu Star 266 i tak działać jak po desantowaniu w powietrzu, nic nie straci to na walorach bojowych". Otóż straci i to poważnie. Częste są takie absurdy i trzeba nauczyć dowódców meldować o problemach i te problemy rozwiązywać. Kiedyś słyszałem jednego z polskich polityków mówiącego, że „polski komandos to butelką z benzyną czołg rozwali". Nie rozwali, bo współczesny czołg jest trochę inaczej zbudowany niż w czasie pierwszej czy drugiej wojny światowej, z czego chyba politycy nie zdają sobie sprawy. Natomiast to, co mnie cieszy, to fakt, że w końcu powstała Strategia Bezpieczeństwa Narodowego. W minionych latach zdewastowano system dowodzenia, co mocno odbiło się na wojskach specjalnych, teraz – z tego, co wiem – ten system jest odbudowywany.

Brakuje nam sprzętu, za to ambasador USA pani Mosbacher, w dyskusji z ambasadorem Niemiec, jako pewnego rodzaju argumentu retorycznego użyła stwierdzenia sugerującego, że skoro Niemcy nie chcą potencjału nuklearnego, to może przyjęłaby go Polska. Przydałaby się nam broń jądrowa?

Kiedyś minister Parys mówił, że Polska powinna dążyć do posiadania własnej broni jądrowej. To, co jest kluczem do naszego bezpieczeństwa, to wiarygodność i siła sojuszu. Państwa ościenne, w tym przypadku Niemcy, domagając się wyjścia amerykańskich jednostek dysponujących takim arsenałem, przez nieprzemyślane działania osłabiają siłę NATO i siłę obronną Europy. W sytuacji zagrożenia ze strony tak nieprzewidywalnego państwa jak Rosja, które też dysponuje zasobami broni jądrowej, w naszym najlepszym interesie byłoby, żeby te jednostki stacjonowały u nas. Obecność amerykańska w Europie stabilizuje kontynent, szczególnie teraz, gdy Europa ma mnóstwo deficytów, gdy państwa kluczowe nie dbają o bezpieczeństwo militarne. Przypomnę, że tylko państwa bezpośrednio zagrożone, takie jak Polska, Litwa, Estonia, zwiększają wydatki na wojsko w taki sposób, by budować własne bezpieczeństwo obronne.

Z Niemcami w NATO jest problem nie od dziś. Niedawno, podczas organizowanych w Polsce ćwiczeń „Anakonda", Niemcy robiły problem z przepuszczeniem transportów NATO przez swój teren.

I to jest rzeczywisty problem. Dobrze by było, gdyby takie państwa jak Niemcy czy Francja mocniej zaangażowały się w spójność sojuszu, nie mówiąc już nawet o zwiększaniu zdolności obronnych. Wypowiedzi w rodzaju: „Nie powinniśmy przepuszczać transportu amerykańskiego" czy prezydenta Francji mówiącego, że Europa ma budować zdolności obronne także przeciwko Stanom Zjednoczonym, mimo sporego potencjału, który NATO posiada, w praktyce nas osłabiają. Do tego dochodzi problem z Turcją, która wyłamuje się ze wspólnej polityki bezpieczeństwa, kupując chociażby zestawy przeciwrakietowe S-400 od Rosjan.

Wspomniał pan o Strategii Bezpieczeństwa Narodowego, którą kilkanaście dni temu zatwierdził prezydent Andrzej Duda. Rosja nadal jest w niej definiowana jako nasze największe zagrożenie.

Warto zauważyć, że Rosja świetnie rozgrywa wszystkie podziały, które występują w Europie, czy to jeśli chodzi o Turcję, czy wewnętrzne konflikty w państwach członkowskich UE. Pierwsza opanowała cyberprzestrzeń i jest mistrzem w prowadzeniu wojny informacyjnej. Działa w sposób ofensywny, a państwa NATO, także my, zbyt często chowają się za poprawnością polityczną, która nie pozwala mówić otwarcie o problemach w relacjach z Moskwą, choć wszyscy wiedzą, że te problemy są. Przy czym nie obawiałbym się ze strony Rosji takiego ataku, o którym niekiedy mówią publicyści – że ich wojska wejdą, że zajmą rubież Wisły. Zagrożenie widzę w ofensywie informacyjnej, próbie wywoływania chaosu, podważaniu zaufania do władz państwowych, szerzeniu wewnętrznych podziałów i waśni w społecznościach lokalnych. W naciskach ekonomicznych. A także we wprowadzaniu na wysokie urzędy tzw. agentów wpływu i ludzi podatnych na ich propagandę.

Trzeba się jednak liczyć z działaniami tzw. zielonych ludzików. Na przykład w konflikcie o przekop Mierzei Wiślanej.

Oczywiście, tradycyjne zagrożenia nie mijają, należy się liczyć z możliwością naruszania granic państwowych pod pozorem ochrony mniejszości narodowych czy pomników i cmentarzy z czasów drugiej wojny światowej. Stąd inwestycje w nową, tzw. Żelazną 18. Dywizję, która jest formowana na wschodniej flance NATO.

W podpisanej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego mowa jest też o wojnie w cyberprzestrzeni i wojnie informacyjnej. Zastanawiam się tylko, czy jesteśmy w stanie wygrać taką wojnę informacyjną, jeśli nawet duże portale informacyjne w Polsce bezkrytycznie powtarzają kremlowską narrację, o ile jest ona niekorzystna dla rządu PiS.

Naszym problemem jest to, że my wciąż działamy defensywnie. A wojnę informacyjną można wygrać jedynie wtedy, gdy przejmie się inicjatywę i narzuci swoją narrację. Bitwy nie wygra się przez obronę, ale jedynie przez atak. Wiem, że mówię jak „jastrząb", ale jeśli Rosja dzisiaj używa fake newsów, by burzyć opinię publiczną w Polsce, by wywoływać chaos, to powinniśmy również podobnie oddziaływać na tamtym kierunku. Budować polskie ośrodki wpływu wspierające naszą linię informacyjną. Rosji nie stać dziś na otwarty konflikt.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Protest słuchaczy przeciwko polityce programowej pod siedzibą Polskiego Radia, 17 maja 2020 r. FOT. RAFAŁ GAGLEWSKI/REPORTER

Murem za katastrofą

Rafał A. Ziemkiewicz

Jeśli PiS zatracił społeczny słuch, to powinien popularność piosenki Kazika wziąć sobie poważnie do serca i podziękować mu za ostrzeżenie

Kompromitacja w Radiowej Trójce to poglądowa lekcja niedomagań „PiS-owskiego rozumu". Obóz rządzący ma do wyboru: potraktować ją jako dzwonek alarmowy, przemyśleć i wyciągnąć wnioski albo „zewrzeć szeregi i dać odpór". W tym drugim przypadku taka sama katastrofa powtórzy się za jakiś czas w innym obszarze życia publicznego, być może dużo ważniejszym dla państwa i systemu władzy, a więc i z dużo poważniejszymi skutkami dla rządów PiS.

Mój śp. Ojciec uczył mnie przed laty, by – jeśli zdarzy mi się zrobić coś złego albo głupiego – przyznać się i wycofać od razu, a nie brnąć w zaprzeczenia i krętactwa. W tym drugim przypadku i tak bowiem wszystko w końcu się wyda, tylko wstydu i szkód będzie znacznie więcej. Reakcja rządzących na sukces piosenki Kazika Staszewskiego „Twój ból jest lepszy niż mój" może służyć za modelowy przykład słuszności tej nauki.

Piosenka zapewne ani muzycznie, ani tekstowo nie należy do najwybitniejszych dokonań artysty, ale kontynuuje charakterystyczną dla niego i lubianą przez jego fanów formułę śpiewanej publicystyki, komentującej głośne wydarzenia polityczne. „Wałęsa, dawaj moje sto milionów", „Łysy jedzie do Moskwy", a zwłaszcza poświęcony obaleniu rządu Jana Olszewskiego „Lewy czerwcowy" z refrenem: „Panie Waldku, pan się nie boi", to były akurat utwory, które sympatykom PiS bardzo się podobały. To, że po pięciu latach rządów PiS Kazik z podobną pasją „przejechał się" po Jarosławie Kaczyńskim, nie powinno dziwić nikogo, kto zna jego credo wyłożone w piosence „Idę prosto". Fakt, że „przejechać się" miał za co, powinien skłonić do refleksji.

AKCJA I REAKCJA

Nie skłonił. Przeciwnie, piosenka punktująca wizerunkową katastrofę, którą był wjazd prezesa PiS kawalkadą służbowych limuzyn i z liczną świtą na warszawskie Powązki 10 kwietnia, w szczycie kwarantanny i związanych z nią obostrzeń, najwyraźniej dyrektora radiowej Trójki, Tomasza Kowalczewskiego, przeraziła.

Czy jej wygrana, z wielką podobno przewagą, w plebiscycie „Listy przebojów Programu Trzeciego" była skutkiem zmowy zwolenników opozycji, którzy w piosence zobaczyli bliski im manifest „przywracający nadzieję" i „dający młodemu pokoleniu odwagę"? Jest to prawdopodobne, „Trójka", podobnie jak inne media państwowe, postrzegana

eprasa.pl a71f128f2c

jest przez oba polityczne plemiona jako instytucja frontowa. Akcja głosowania na piosenkę Kazika – miejsce na podium dawało nieco ponad tysiąc głosów – prawdopodobnie nie miała wiele wspólnego z jej walorami artystycznymi, zwolennicy opozycji skrzyknęli się, aby przypomnieć niewygodną dla władzy sprawę wizyty prezesa na cmentarzu.

Pomijając to, że nie było w ich akcji niczego niedozwolonego – podobne emocje działały i po stronie zwolenników PiS, gdy lansowali jako „swoją" piosenkę o „Lewym czerwcowym" – ze zwycięstwa „Twój ból jest lepszy niż mój" w tygodniowym notowaniu listy przebojów radia mającego dziś słuchalność na poziomie 5 proc. rynku nie wynikłoby wiele, poza czysto niszową satysfakcją zagorzałych wrogów Kaczyńskiego.

Dopiero histeryczna szarpanina kierownictwa stacji – usunięcie notowania ze strony internetowej radia kilka minut po rozstrzygnięciu, a potem pogrążanie się w sprzecznych zaprzeczeniach – zrobiła z piosenki przebój. „Ocenzurowanie" Kazika stało się na kilka dni głównym „newsem" opozycyjnych mediów, trafiło też do serwisów światowych, które, w ślad za polskimi, zaczęły kreować Kazika na drugiego Salmana Rushdiego. W ciągu kilku dni oficjalny teledysk piosenki zyskał ponad 5 mln odsłon, a kolejne odejścia ostatnich dziennikarzy z dawnego składu Trójki, wzajemne oskarżenia i ogłaszane przez solidaryzujących się z nimi artystów bojkoty stacji postawiły sprawę „Listy przebojów" w centrum publicznego sporu, a wraz z nią pozwoliły przypomnieć nieskończoną ilość razy rujnujący dla wizerunku partii „zwykłych Polaków" obraz nieszczęsnej kawalkady Kaczyńskiego wjeżdżającej na cmentarz.

SPRAWA NARODOWA

Trudno odmówić racji Jarosławowi Gowinowi, który tę nieudolną i krańcowo przeciwskuteczną próbę zrzucenia piosenki z topu listy przebojów nazwał wręcz „sabotażem" przeciwko kampanii wyborczej prezydenta Dudy. Nietrudno się też jednak domyślić, że rozpętując aferę, dyrektor Tomasz Kowalczewski nie myślał o daleko idących konsekwencjach polecenia, by „coś zrobić z tym Kazikiem", które ponoć wydał, dowiedziawszy się o wynikach głosowania. Powodowały nim zachowania typowe dla biurokratów: strach przed „opeerem" za brak „czujności" oraz troska o zapewnienie sobie, jak nazywają to urzędnicy, „d…chronu".

Problem nie w sabotażu, tylko w samobójczej gorliwości polityków i pracowników mediów obozu rządzącego, którzy w większości poczuli się w obowiązku „stanąć murem" za dyrektorem Trójki i udzielającym mu pełnego poparcia szefem Rady Mediów Narodowej, Krzysztofem Czabańskim. A że argumenty mieli wątłe (powodem unieważnienia notowania miało być najpierw to, że piosenka w ogóle nie mogła brać udziału w plebiscycie ze względów formalnych, a potem już tylko, że należało się jej czwarte miejsce, a nie pierwsze), zareagowali frontalnym kontratakiem według przećwiczonych wzorów.

Niedźwiecki został, na podstawie jakichś mocno wątpliwych wpisów w Internecie, oskarżony o wieloletnie fałszowanie listy i przyjmowanie łapówek, wypomniano mu też współpracę z SB, choć wcześniej nikomu ona w PiS i zarządach mediów państwowych nie przeszkadzała. Przy okazji kibice władzy przejechali się i po samej Trójce. Niekiedy z sensem – przypominając rządy Magdaleny Jethon, czekoladowego orła Bronisława Komorowskiego i ówczesny zakaz grania piosenek Pawła Kukiza – a niekiedy bez, np. odkrywając, że Program III PR był „propagandową tubą" reżimu PRL.

Nie warto jednak wdawać się w szczegóły nawalanki sprowadzającej wszystko do tych samych obelg i emocji. PiS, pocieszając się, że wykazał jedność, nie dał się opozycji zakrzyczeć i obronił – we własnych oczach – dyrektora Trójki, wydaje się kompletnie nie rozumieć, że szkodzi mu nie Kazik, nie bojkoty czy krytyki, ale sam fakt uporczywej obrony stanowiącej tu praprzyczynę wizyty Kaczyńskiego na Powązkach w rocznicę tragedii w Smoleńsku.

Nie wiem, czy to zacietrzewienie, czy paniczny strach przed narażeniem się „Naczelnikowi", który tam, gdzie chodzi o pamięć brata i matki, potrafi zatracić racjonalność i panowanie nad sobą, jak dowiodło tego skuteczne sprowokowanie go w Sejmie do wykrzyczenia „bez żadnego trybu" obelg o „mordach zdradzieckich". Politycy i pracownicy mediów PiS nie potrafią więc głośno przyznać, że wizyta na grobie matki w czasie epidemii była błędem, a krytyki, które spowodowała, są czymś zupełnie innym niż blokowanie przed kilku laty Kaczyńskiemu przez barbarzyńców z KOD dostępu do grobu brata i bratowej. Brną za to w narrację, że „godne uczczenie ofiar" ze Smoleńska było wielkim obowiązkiem, moralnym obowiązkiem liderów państwa – sam premier Morawiecki w odpowiedzi na sprawę Kazika uderzył w takie patetyczne tony, sugerując, że gdyby Jarosław Kaczyński nie poszedł tego dnia na Powązki, przestalibyśmy być narodem.

PODZIĘKUJCIE KAZIKOWI

Dla przeciętnego Polaka to śmieszne. Przeciętny Polak widzi tu tyle, że rządzący nie stosują się do praw, które narzucają rządzonym. Rocznicę tragedii można było uczcić stosownie do czasu – bez tłumnej świty, limuzyn i cmentarza, sądzę nawet, że widok prezesa samotnie składającego jeden wieniec pod głównym pomnikiem byłby równie wymowny jak samotność papieża na pustym pl. św. Piotra. Władza PiS zaraziła się już jednak bizantynizmem i arogancją poprzedników: musi być pompa, muszą też wszyscy dworzanie „pokazać się", że są przy władcy i gorliwie dzielą jego żałobę. Z perspektywy wyborcy wygląda to właśnie tak, jak uchwycił to Kazik: „my", rządzący, pokazujemy, że jesteśmy lepsi niż „wy". To przecież przekaz, który zgubił wszystkie poprzednie ekipy! Jeśli PiS zatracił społeczny słuch, jeśli tego nie rozumie, to powinien popularność piosenki Kazika wziąć sobie poważnie do serca i podziękować mu za ostrzeżenie.

„Ocenzurowanie" Kazika zapewne nie odbije się na bieżących sondażach – ludzi bardziej obchodzą walka z epidemią, zarobki i stabilność życiowa niż martyrologia artysty, któremu „szlaban" w medium państwowym wynagrodziły z nawiązką pozostałe. To może utwierdzić PiS w przekonaniu „możemy wszystko" i sprawić, że otrzymany sygnał postępującej degradacji swych kadr – nawiasem mówiąc, podobnej do bliskiej PiS przedwojennej sanacji – zlekceważy, jak wcześniej zlekceważył skandal ze zniszczeniem konkursu na Książkę Historyczną Roku. To będzie wielki błąd. Złe emocje nie znikają, kumulują się, a PiS nie powinien zapominać, że doszedł do władzy jako partia „zwykłych ludzi", w kontraście do partii zajadających ośmiorniczki elit. Kiedy kadry znowu dadzą podstawy do oskarżenia o „arogancję władzy" i złe emocje „zwykłych ludzi" wykipią, może już być za późno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

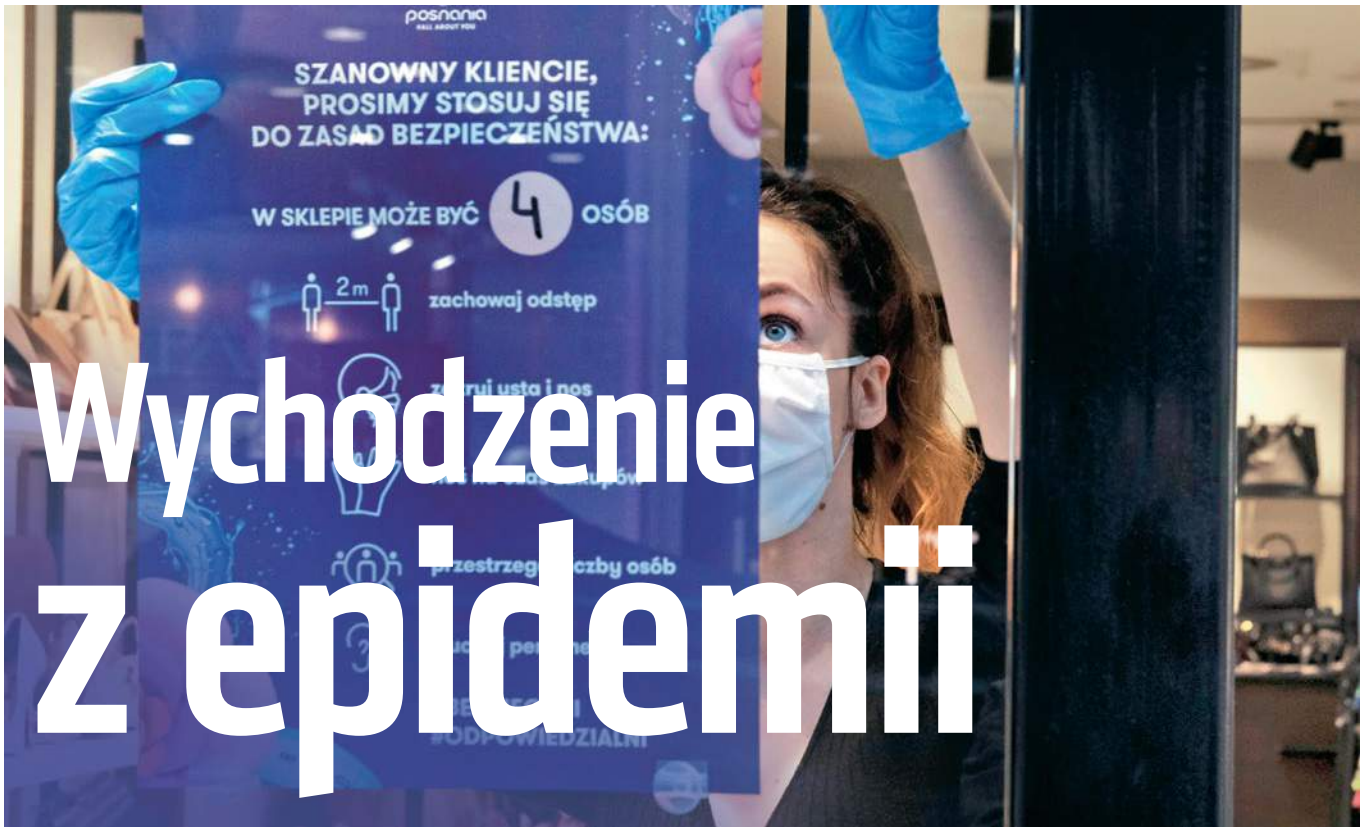

FOT. PIOTR SKORNICKI/AGENCJA GAZETA

Wychodzenie z epidemii

Łukasz Warzecha

Skala tego, co się wydarzyło, chyba wciąż do nas nie dociera. Zamknięta w większości gospodarka, pozrywane łańcuchy dostaw, zamierające eksport i zamówienia od zagranicznych wykonawców dla polskich podwykonawców. Ogromna część ludzi wyjdzie z epidemicznego kryzysu poobijana finansowo i psychicznie

Ekonomiści znają zjawisko trwałego wyjścia z rynku pracy. Był to zresztą jeden z zarzutów pod adresem programu „500+". Jeśli stworzy się sytuację, w której jakiejś części pracowników opłaca się rzucić pracę, to trudno będzie im na rynek powrócić, nawet gdyby radykalnie zmieniły się okoliczności. Na przykład gdy podrosną dzieci i świadczenia się skończą. Wyłączeni z aktywności na długi czas stracą doświadczenie, kontakt z dziedziną, którą się zajmowali, oraz po prostu umiejętność szukania zajęcia. Nikt jednak chyba nie przeanalizował, czy podobne zjawisko, przy zachowaniu proporcji, nie pojawi się po epidemii.

Skala tego, co się wydarzyło, chyba wciąż do nas nie dociera. Zamknięta w większości gospodarka, pozrywane łańcuchy dostaw, zamierający eksport i zamówienia od zagranicznych wykonawców dla polskich podwykonawców. W ważnej dla klasycznego liberalizmu książce „Co widać i czego nie widać" XIX-wieczny francuski ekonomista Frédéric Bastiat zawarł słynną historyjkę o wybitej szybie. Tłumaczył w niej, że jeśli komuś wydaje się, że wybita szyba daje jakiś zysk, bo zarobi szklarz, to się myli. Wydatek na zastąpienie wybitej szyby nową pociąga za sobą cały łańcuszek zdarzeń, który w sumie odbija się na gospodarce negatywnie, nie pozytywnie. Nie jest więc – tłumaczy Bastiat – dobrym pomysłem masowe tłuczenie szyb.

W wypadku epidemicznego zamrożenia gospodarki mamy do czynienia z podobnym negatywnym łańcuszkiem, którego nie równoważy to, że przez moment kilka branż zarobi więcej niż zwykle, ani tym bardziej nie czyni tego rządowa pomoc. Weźmy jako przykład zakaz organizowania przyjęć weselnych – sprawę pozornie marginalną. Tymczasem rynek ślubny jeszcze w 2019 r. był w Polsce wart prawie 10 mld zł! Teraz kończy się kolejny miesiąc, gdy ta branża jest praktycznie martwa. Cierpią na tym: wizażyści, krawcy, branża odzieżowa, gastronomiczna, wynajmujący sale, fotografowie czy filmowcy, muzycy – a pewnie nie wszystkich wymieniłem. Biznesy są zamrażane albo zamykane. Nawet tam, gdzie już można ponownie prowadzić działalność, niektórzy właściciele stają przed dylematem, czy przy wciąż słabych przychodach wydawać niemałe pieniądze na sprostanie zaleceniom, które mogą zniknąć za dwa miesiące, czy może lepiej po prostu czekać dalej, zwalniając pracowników. O ile oczywiście nie wiązałoby się to z naruszeniem wcześniej przyjętych warunków skorzystania z tarczy antykryzysowej.

OPUSTOSZAŁE BIUROWE ZAGŁĘBIA

Można jednak założyć, że ci, którzy po prostu nie będą mieli z czego żyć, chętnie wrócą do pracy – jeśli taka będzie. Optymistyczne prognozy mówią dzisiaj o kilkunastu procentach bezrobocia w drugiej połowie tego roku. Co natomiast z tymi, którzy przywykli do innego modelu pracy podczas epidemii, ale ten model wpływa na jakość ich działalności? Czy będą chcieli i potrafili wrócić do poprzedniej wydajności i metod funkcjonowania?

eprasa.pl a71f128f2c

Opustoszały wielkie biurowe zagłębia w największych miastach, bo ci, którzy wciąż zajęcie mają, zostali w większości przerzuceni na pracę zdalną. W tym wypadku również widzimy długi i niepokojący łańcuszek zależności. Po pierwsze – pod znakiem zapytania pozostaje zapotrzebowanie na powierzchnie biurowe. Za moment może się okazać, że tam, gdzie był na nie największy boom, ich ceny pikują, bo można firmę prowadzić taniej, trzymając ludzi w domach. Tyle że powierzchnia biurowa w już stojącym budynku to nie jest namiot, który można łatwo zwinąć, kiedy nie jest potrzebny. Biurowce, postawione w innych warunkach rynkowych, zostaną i będą straszyć pustymi powierzchniami – chyba że właściciele wymyślą dla nich inne zastosowanie. Tego na razie nie wiemy.

Po drugie – ucierpią branże wyposażenia biur, gastronomiczna (w biurowych zagłębiach było wiele punktów obsługujących pracowników), sprzątająca (pustych biur nie ma sensu codziennie sprzątać). I – po trzecie – może ucierpieć jakość wykonywanej pracy, a także ogólnie jakość relacji społecznych. Z korposzczurów i ich świata można się śmiać, nic jednak nie zastąpi spotykania się z żywymi ludźmi. Dla firm zdalna praca to bezpośredni zysk, ale z czasem może się okazać, że to pośrednia strata, bo spotkania na Zoomie czy Microsoft Teams nie zastąpią burzliwych i owocnych narad twarzą w twarz. Co więcej, jakaś grupa ludzi, siedzących od miesięcy w domach, może zacząć cierpieć na łagodną postać agorafobii. To nie żart – psychologicznymi skutkami epidemii na razie nikt się nie przejmuje, ale one nie są czczym wymysłem.

Agorafobia może mieć też związek z obawą przed zakażeniem – choć tutaj tendencja nie jest jasna. Badanie przeprowadzone przez Kantar tuż po odmrożeniu centrów handlowych pokazało, że najczęściej wymienianą przyczyną, dla której klienci nie zamierzają do nich na razie wracać, jest właśnie strach przed koronawirusem (43 proc.). Na drugim miejscu (31 proc.) znalazły się epidemiczne restrykcje sanitarne. Te czynniki nie muszą być jednak trwałe. Im bardziej koronawirus będzie powszednieć, tym mniej będą znaczyć.

Bardziej wymiernym i trwałym zjawiskiem będzie natomiast niechęć do wydawania pieniędzy lub po prostu ich brak. Widać to po wskaźniku optymizmu konsumentów, który sygnalizuje, mówiąc w uproszczeniu, ile pieniędzy ludzie gotowi są wydawać. W kwietniu badany przez GUS bieżący wskaźnik ufności konsumenckiej wyniósł –36,4, co oznaczało spadek w stosunku do marca aż o 37,7 pkt. Rok do roku zaś to mniej o 43,6 pkt, a to już spadek druzgocący. Co gorsza, składa się na niego przede wszystkim skłonność do dokonywania ważnych zakupów (spadek miesiąc do miesiąca aż o 58,8 pkt). Jeszcze gorzej wygląda wyprzedzający wskaźnik ufności konsumenckiej, czyli ten, który pozwala przewidywać przyszłe zachowania kupujących. W kwietniu wyniósł on –47,7 i był to spadek miesiąc do miesiąca o 45,4 pkt. Według badań aż 95,4 proc. badanych deklarowało, że sytuacja epidemiologiczna miała wpływ na udzielane odpowiedzi. Te liczby nie zaskakują: gdy sytuacja ekonomiczna jest niepewna, zakupy ograniczają nawet ci, którzy mają pracę, a ich zarobki nie spadły.

ABSURDALNIE DROGIE WAKACJE

Wszystko to każe postawić pytanie o powrót do normalności. Nie do tego, co demagogicznie bywa nazywane także przez polskich polityków „nową normalnością", a w gruncie rzeczy żadną normalnością nie jest, ale do normalności faktycznej. Nie tylko jeśli chodzi o zachowania konsumentów, nie tylko w kwestii odbudowania poszarpanych więzi i kontaktów społecznych, lecz także w kwestii naszej wolności. Poważne obiekcje budził rządowa aplikacja ProteGO Safe, którą początkowo zalecano w centrach handlowych, uzależniając od tego wejście do galerii dodatkowych osób, a przy której rząd nadal się upiera jako przy instrumencie kontroli zakażeń. Fundacja Panoptykon rozłożyła ją pod koniec kwietnia na czynniki pierwsze, wskazując, że mimo wprowadzanych zmian wciąż występowało niebezpieczeństwo odtworzenia przez administrację sieci powiązań użytkownika. Wypowiedzi m.in. pracujących przy aplikacji programistów, które można znaleźć w sieci, każą podchodzić do niej z maksymalną nieufnością. Jej instalacja nie jest wprawdzie obowiązkowa, a Ministerstwo Cyfryzacji pracuje wciąż nad kolejnymi wersjami, ale jej inwigilacyjna istota pozostanie przecież taka sama. Ostatecznie może się okazać, że bez niej nasze możliwości robienia zakupów albo wyjazdu za granicę są ograniczone.

Stan epidemii, którego trwanie nie jest w żaden sposób limitowane przepisami i zależy wyłącznie od rozporządzenia ministra zdrowia, ogranicza m.in. prawo do zgromadzeń, uznawane przez konstytucjonalistów za jedno z tych kilku podstawowych, które można zawiesić jedynie w razie wprowadzenia stanu nadzwyczajnego (podobnie jak wcześniejszy zakaz przemieszczania się). Protesty zorganizowane przez Pawła Tanajno w Warszawie pokazały już, że jest to przyczyna konfliktów (niezależnie od oceny samych protestów). Kolejne przypadki wykorzystywania epidemicznych przepisów do karania uczestników zgromadzeń – nawet jeśli ci zachowują odstępy i są w maseczkach – coraz bardziej niepokoją. Taka sytuacja miała miejsce dopiero co w Piasecznie, podczas całkowicie pokojowego zgromadzenia upamiętniającego zamordowaną nastolatkę. Sprawa wygląda tym gorzej, że policja, której było dwa razy więcej niż zgromadzonych, jest w sprawie 16-letniej Kornelii oskarżana o nieudolność.

Można postawić tezę, że faktycznie zaskakująca samodyscyplina Polaków, którą widzieliśmy w ciągu pierwszych tygodni ograniczeń i która trwała niemal do końca kwietnia, opierała się na przekonaniu, że gdy „to się skończy", sprawy po prostu wrócą do dawnego biegu. A co, jeśli będzie inaczej? Pierwszym momentem otrzeźwienia będzie ten, gdy biznesy zaczną na dobre wychodzić z hibernacji, ale ludzi nie będzie stać na to samo co przed epidemią. Już dzisiaj widać, że w wielu miejscach wzrosły wyraźnie ceny. Fryzjerzy dodają do swoich „opłatę sanitarną", a cenniki poszły w górę przynajmniej o 5–10 zł. Właściciele kwater turystycznych, którzy muszą zainwestować niemałe pieniądze w utrzymanie reżimu sanitarnego, również ceny podnoszą. Dodatkowo przyczynią się do tego bon wakacyjny oraz brak możliwości wyjechania gdzieś dalej za granicę. Ostatecznie może się okazać, że tegoroczne wakacje w Polsce będą absurdalnie drogie.

To nie będzie powrót do zwykłej, czyli bezprzymiotnikowej, normalności – ani społecznej, ani ekonomicznej – nawet jeśli na razie tego jeszcze w pełni nie widzimy. Ogromna część ludzi wyjdzie z epidemicznego kryzysu poobijana finansowo i psychicznie, ale konsekwencje tego dostrzeżemy dopiero za rok, dwa, trzy, gdy o histerycznych relacjach o „trumnach wywożonych ciężarówkami" nikt już nie będzie pamiętał.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Tomasz Rowiński

Twarz ortodoksyjnego katolicyzmu nie może być twarzą obrony przestępców, którzy wykorzystują zaufanie do kościelnych struktur. Nie można milczeć, gdy pojawiają się twarde oskarżenia

FOT. SEKIELSKI/YOUTUBE

Kiedy nastąpi koniec zabawy w chowanego?

Zabawa w chowanego", czyli drugi film braci Sekielskich o przestępstwach seksualnych w polskim Kościele, wbrew temu, co mówią o nim jego krytycy, jest pracą boleśnie potrzebną katolikom w naszym kraju. A także przynajmniej części biskupów zainteresowanych oczyszczeniem Kościoła. I to niezależnie od tego, jakie ci autorzy mają intencje. Jasno na taki obrót spraw wskazuje błyskawiczna reakcja abp. Wojciecha Polaka w sprawie bp. Edwarda Janiaka. Jaki będzie jej watykański finał – zobaczymy. Jak jednak widać, dla prymasa świadectwo reporterów było wystarczającym dowodem na to, aby zainterweniować. Wymowę filmu, w porównaniu z „Tylko nie mów nikomu", zmienia także udział w nim w roli komentatorów ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego i Tomasza Terlikowskiego, których dobre intencje w sprawach kościelnych po prostu nie mogą być kwestionowane.

Po pierwszym filmie ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski zwracał uwagę, że bracia Sekielscy przemilczeli to, iż większość antybohaterów ich dokumentu była uwikłana we współpracę ze służbami PRL. Inni komentatorzy wskazywali, w jaki sposób podkręcany był klimat mający powodować niechęć widza do kościelnych instytucji. Jednak niezależnie od tych zarzutów ks. Isakowicz-Zaleski zdecydował się w kolejnym filmie wystąpić, ponieważ – jak widać – uznał, że gra idzie o znacznie większą stawkę niż kwestie wizerunkowe. Po rozmowach, które sam przeprowadziłem z tym znanym z walki o oczyszczenie Kościoła kapłanem, wcale się nie dziwię jego postawie. Do niego trafia wiele osób przynajmniej czujących się pokrzywdzonymi, z którymi kurialiści nie chcieli rozmawiać. A skoro sprawami nadużyć kościelnych nie zajmują się media katolickie, to uznał, że trzeba pomóc tym, którzy się nimi zajmują.

Zresztą jego żal do Sekielskich o przemilczenie wątków związanych ze współpracą jako TW przedstawionych w „Tylko nie mów nikomu" księży brzmi bardziej jako jeszcze jedno oskarżenie polskich biskupów. Po tamtym filmie mówił mi w wywiadzie dla „Do Rzeczy" (nr 22/2019): „Bracia Sekielscy pominęli, moim zdaniem świadomie, wątek współpracy molestujących księży z SB. Oczywiście tu nie można powiedzieć, że każdy pedofil to był tajny współpracownik. Mamy jednak w filmie cztery postacie, które w IPN zostały zarejestrowane. Gdy 13 lat temu pisałem książkę »Księża wobec bezpieki«, zwróciłem uwagę, że znaczna część TW to byli ludzie o skłonnościach homoseksualnych, którzy dopuszczali się skandali, w tym

eprasa.pl a71f128f2c

także molestowania dzieci i młodzieży. Byli to współpracownicy, którzy wyrządzali wielkie szkody Kościołowi. Niestety Kościół nie przeprowadził do końca lustracji, a zatem i nie odsunął tych skandalistów od dalszej posługi duszpasterskiej. To przyniosło kolejne skandale. Grzech zaniechania sprawy lustracji okazał się rzeczą bardzo złą dla Kościoła. Trzeba było to zrobić dawniej, a nie że dopiero po filmie Sekielskich następują jakieś działania".

NIE MOŻNA BRONIĆ DRAPIEŻNIKÓW

Gdy piszę ten komentarz w poniedziałkowy wieczór, po niedzielnej premierze filmu, docierają do mnie wiarygodne opisy nadużyć dokonanych przez twórców „Zabawy w chowanego". Będą one wykorzystywane do osłabienia tego, co jest centralnym problemem przedstawionym w tym filmie. Z jednej strony nie dziwię się, że nieczyste zagrywki wywołują złość. Z drugiej, choć nie są one ani nie powinny być teraz pierwszoplanowym materiałem do analizy, tak naprawdę osłabiają przekaz filmu, ponieważ mogą powodować w odbiorcach dysonans, na ile w ogóle mówi on prawdę. I owszem, szczególnie tam, gdzie bracia Sekielscy pokazują kogoś w krzywdzący sposób, powinno to zostać krytycznie opisane.

Najprawdopodobniej tak przedstawia się sytuacja siostry zakonnej z Sycowa, która nie miała, jak słyszę, związków z grupą ministrantów, a jej wypowiedź prawdopodobnie przecięto w odpowiednim miejscu dla efektu. Jeśli tak wyglądają fakty, to nie świadczy to dobrze o twórcach. Pojawiają się też pytania, w jaki sposób bracia Sekielscy weszli w posiadanie nagrań z rozprawy toczonej z wyłączeniem jawności. Jednak – jak trafnie zauważył w niepublikowanym jeszcze wywiadzie, którego udzielił mi ks. Isakowicz-Zaleski – sedno jest gdzie indziej. „Gdyby 10 lat temu zaczęto podejmować działania prowadzące do oczyszczenia szeregów kapłańskich, większość tych pedofilów by została usunięta, ofiary by zostały przeproszone i wiele artykułów, książek, filmów, choćby ten braci Sekielskich, by nie powstało. Gwałtowne ruchy niektórych biskupów mające zamaskować problem są tylko ośmieszające". Nic dodać, nic ująć.

Terlikowski i Isakowicz-Zaleski, występując w „Zabawie w chowanego", pokazali, że twarz ortodoksyjnego katolicyzmu nie może być twarzą obrony drapieżników, którzy wykorzystują zaufanie do kościelnych struktur, ani twarzą milczenia, gdy pojawiają się twarde oskarżenia. Nie ma wielkiego znaczenia, co dziś robi i jak żyje ofiara gwałtu. Homoseksualizm Andrzeja Hurnego – jednego z bohaterów filmu – nie może być usprawiedliwieniem dla żadnych działań przestępczych ani ich ukrywania. Kto wie, czy nie jest wręcz dodatkowym oskarżeniem. To Terlikowski i Isakowicz-Zaleski są dziś obrońcami wiarygodności Kościoła w Polsce. Także dlatego, że opowiedzieli oni w filmie niewygodne prawdy, takie jak te o siatce homoseksualnej w Kościele stojącej za większością przestępstw seksualnych. Przestępstwa takie bowiem dotyczą przede wszystkim nie dzieci i kobiet, ale dorastających chłopców i młodych mężczyzn. Szczegółowo pokazał to niezależny raport przygotowany swego czasu dla episkopatu USA. Wynika z niego, że 80 proc. kościelnej pedofilii miało charakter homoseksualny, według danych przedstawionych przez ks. Isakowicza-Zaleskiego w podobnym raporcie opublikowanym w Australii było to 60 proc. Nie chodzi tu o sugerowanie ogólnego związku między homoseksualizmem a wykorzystywaniem dzieci, ale o charakter tego procederu w środowiskach kościelnych. Problemem głównym Kościoła – według ekspertów – jest efebofilia, a zatem faktyczne przestępstwa seksualne na dorastającej lub dorosłej młodzieży męskiej. O tym w filmie mówią też Terlikowski i Isakowicz-Zaleski.

KOLEJNE ODCINKI SERIALU

Wreszcie trzeba napisać o mimowolnej pomocy, którą – znów niezależnie od intencji – otrzymali od braci Sekielskich biskupi, a szczególnie abp Wojciech Polak, od 2019 r. będący delegatem KEP ds. Ochrony Dzieci i Młodzieży. Pojawiły się głosy, że abp Wojciech Polak powinien reagować wcześniej na zachowanie bp Edwarda Janiaka. Sprawa nie jest prosta, biskupi nie podlegają sobie, sprawują suwerenną władzę kościelną w swoich diecezjach. Arcybiskup Polak, jak się zdaje, nie mógł wiele zrobić w sprawie bp. Janiaka, ponieważ musiałby napisać oskarżenie do Watykanu na podstawie plotek lub informacji zdobytych nielegalnie. Przypomnijmy, że sprawa z diecezji kaliskiej toczyła się z wyłączeniem jawności w sądzie zarówno kościelnym, jak i państwowym.

Mniej optymistycznym, ale też niezaskakującym wnioskiem, który można wysnuć z sytuacji zaistniałej po premierze filmu „Zabawa w chowanego", jest bezradność biskupów dobrej woli wobec swoich kolegów żyjących i funkcjonujących w poczuciu źle rozumianej suwerenności Kościoła. A przecież wystarczyłoby, by bp Janiak przyjął rodzinę molestowanych chłopców, gdy ta się do niego zwróciła, zawiesił księdza, wobec którego sformułowano zarzuty, i wszczął odpowiednie procedury, których Kościołowi nie brakuje. Dlaczego biskup nie podjął działań, które są najlepsze dla wszystkich, choć dla kapłana, który w innym przypadku może być oskarżony niesłusznie, na pewno trudne? Jakie niezdrowe relacje stały za zaniechaniem własnego prawa Kościoła?

Niestety wiele wskazuje na to, że Sekielskim nie zabraknie materiału na kolejne odcinki ich serialu. Osób mniej lub bardziej odepchniętych od kurialnych drzwi przybywa, czego świadkiem może być ks. Isakowicz-Zaleski. Czasem są to sprawy poważne, czasem drobniejsze, ale na tym polega duszpasterstwo, by przyjmować wszystkich.

Odpowiedzialnością biskupów jest także to, by brać na siebie przynajmniej część brzemienia przewin podległego im duchowieństwa, być duchowym ojcem dla swoich diecezjan każdej kondycji, a dla skrzywdzonych w sposób szczególny. Gdy zapytałem Tomasza P. Terlikowskiego, czy miał wątpliwości co do udziału w filmie „Zabawa w chowanego", odpowiedział mi, że gdyby miał wybór między produkcją dziennikarzy np. katolickiego tygodnika „Niedziela" a taką robioną przez braci Sekielskich, to mógłbym się zastanawiać, ale takiego wyboru nie miał, ponieważ po stronie kościelnej nikt nie chce mówić o tych sprawach.

WYŁĄCZNIE PR?

Tymczasem poza reakcją abp. Polaka nie słychać, by władze kościoła w Polsce podejmowały jakiekolwiek działania. Nie będzie dobrze, jeśli jedyną nauką, jaką władze kościelne wyciągną z serialu Sekielskich, będzie sprawniejsze zarządzanie sytuacjami kryzysowymi. Czyli – jak to często bywa w działaniach wizerunkowych – sprawniejsze uchylanie się od odpowiedzialności. Może od chwili, gdy oddałem ten tekst do redakcji, coś się zmieniło. Oby.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Maciej Pieczyński

Obroniła życie, teraz drży o swoje

Za uratowanie życia dziecka od ministra dostała medal, od środowisk lewicowych – groźby i życzenia śmierci. Kim jest Zuzanna Wiewiórka, młoda aktywistka ruchu pro-life?

FOT. HUBERT MATHIS/ZUMA PRESS/FORUM

Udaremniła zamiar dokonania aborcji podjęty przez 17-letnią dziewczynę. Napisała do niej, próbując odwieść ją od usunięcia ciąży. Gdy perswazja nie pomogła, o całej sprawie poinformowała ojca dziecka i rodziców nastolatki. Za ten czyn wolontariuszka fundacji Pro-Prawo do Życia otrzymała brązowy medal „Zasłużony dla Wymiaru Sprawiedliwości". Inicjatorem wyróżnienia był wiceminister Marcin Romanowski. W swojej laudacji nazwał inicjatywę Zuzanny Wiewiórki „głośnym krzykiem sprzeciwu w sytuacji, gdy najłatwiej było milczeć". Podkreślił, że została nagrodzona „za walkę o ludzkie życie i przestrzeganie prawa", za „odwagę, brak obojętności i determinację", wreszcie – za „wieloletnie zaangażowanie" w ruch pro-life.

Odznaczenie, przyznane przez Ministerstwo Sprawiedliwości za udaremnienie aborcji, wywołało falę oburzenia środowisk lewicowych. Liliana Religa z Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny w rozmowie z portalem Noizz stwierdziła, że wyróżnienie aktywistki pro-life „to najlepszy dowód na to, że państwo stoi po stronie przemocy", ponieważ Zuzanna Wiewiórka „od dawna nęka kobiety szukające informacji o aborcji", a teraz „zniszczyła życie nastolatce, przymuszając ją do kontynuowania niechcianej ciąży, okradając z prywatności".

„Jest to młoda fanatyczka religijna związana z fundamentalistami notorycznie łamiącymi prawo […], jest przestępczynią wyłudzającą dane osobowe, stalkerką, zastraszającą osoby w niechcianych ciążach" – taki opis demonicznej sylwetki Wiewiórki można z kolei przeczytać na stronie facebookowej Ogólnopolskiego Strajku Kobiet.

Działacze lewicowi zarzucają też Zuzannie, jakoby pochwalała mordowanie aborterów i postulowała „ataki terro-

eprasa.pl a71f128f2c

rystyczne". Rzeczywiście w Internecie można znaleźć screeny kontrowersyjnych wypowiedzi aktywistki. Zuzanna Wiewiórka popiera w nich burzenie klinik aborcyjnych, „jeżeli nie ma tam ludzi". – Nigdy nie opowiadałam się za agresją wobec aborcjonistów – zapewnia w rozmowie z „Do Rzeczy". Tak czy inaczej feministyczna organizacja Dziewuchy Dziewuchom na swoim profilu zainicjowała zbiórkę podpisów pod petycją do ministra sprawiedliwości o odebranie medalu Wiewiórce. Jej inicjatywę nazwano w piśmie „przemocową ingerencją w cudze decyzje reprodukcyjne". Czytając tego typu zarzuty, można odnieść wrażenie, że wolontariuszka fundacji Pro-Prawo do Życia użyła wobec nastolatki wręcz siły fizycznej. Tymczasem wiadomość, którą Zuzanna Wiewiórka wysłała do zamierzającej dokonać aborcji dziewczyny, brzmiała następująco: „Cześć kochana :-) Wiem, że siedzisz na grupie aborcyjnej. Nie mam zamiaru Cię oceniać. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że jeśli zdecydujesz się urodzić, pomożemy Ci ze wszystkim – pieniądze, wyprawka, wsparcie. Nie zostaniesz z tym absolutnie sama. Życie często się komplikuje, ale nigdy nie ma tylko jednego wyjścia. Przemyśl to i jeśli się zdecydujesz dać szansę życiu, to napisz do mnie, zajmę się wszystkim".

WZBURZYĆ LUDZI

Zdaniem poseł PiS Dominiki Chorosińskiej sama treść petycji jest wielką manipulacją. – Chodzi o wywołanie wzburzenia opinii publicznej poprzez sugestię, że Ministerstwo Sprawiedliwości nagradza osoby, których działania godzą w wolność kobiet. W rzeczywistości nagrodzono osobę, która zachęcała młodych rodziców do wybrania życia dziecka, zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem. Dzięki Bogu udało się – i nowy człowiek mógł przyjść na świat! – mówi „Do Rzeczy" Chorosińska.

Środowiska pro-life niejednokrotnie krytykowały PiS za niechęć do wprowadzenia całkowitego zakazu aborcji. Mariusz Dzierżawski, założyciel i prezes fundacji Pro-Prawo do Życia, mówi wprost: – Z pewnością nie jesteśmy pupilami władzy. Policja nieustannie nęka nas postępowaniami za rzekomo nieprzyzwoity przekaz naszych kampanii antyaborcyjnych i kieruje wnioski o ukaranie nas do sądów. Sądy prawie zawsze oddalają te absurdalne zarzuty. Interwencje w obronie naszych działaczy pojawiają się dopiero wtedy, gdy agresja wobec naszych działaczy przekracza granice i dociera do wielu odbiorców poprzez media.

Dominika Chorosińska uważa natomiast, że odznaczenie Zuzanny Wiewiórki można traktować jako wyraz uznania państwa polskiego dla wszystkich, którzy otwarcie bronią ludzkiego życia mimo wysokiej ceny, którą przychodzi im za swoje przekonania zapłacić. Zuzanna Wiewiórka płaci – odbiera mnóstwo agresywnych wiadomości. – Większość była bardzo wulgarna, ale życzono mi między innymi, żebym „zdechła", grożono mi wrzuceniem do dołów z wapnem, pisano, żebym lepiej oglądała się za siebie, w wulgarny sposób grożono mi pobiciem, „obiciem ryja", wysyłano grafiki z tekstem sugerującym, że zostanę zabita, oraz sugerowano, że padnę ofiarą gwałtu – wylicza.

Z agresją ze strony środowisk lewicowych spotykała się już wielokrotnie wcześniej. – Najbardziej zapadł mi w pamięć czarny protest, gdzie aborcjoniści rzucali w nas butelkami z wodą, wyszarpywali nam bannery, bili parasolami itd., często też w czasie pikiet przechodnie zmanipulowani przez propagandę aborcyjną wyzywali nas i życzyli mi gwałtów i żebym urodziła chore dziecko – wspomina.

WARTOŚĆ CZŁOWIECZEŃSTWA

Ma 25 lat, ale mimo młodego wieku jest już jednak bardzo doświadczoną aktywistką. Do ruchu pro-life wciągnął ją starszy brat. Zabrał Zuzannę na jedną z pikiet organizowanych przez fundację Pro-Prawo do Życia. Miała wtedy 16 lat. Pomimo wychowania w głęboko religijnej rodzinie przeżywała wówczas kryzys wiary związany z młodzieńczym buntem. Z kryzysu udało się wyjść, właśnie dzięki zaangażowaniu w ruch pro-life. Jak twierdzi Zuzanna, wiara pomaga jej wytrwać w działaniu, jednak konieczność obrony ludzkiego życia to wartość nie tylko chrześcijańska – to wartość wynikająca po prostu z człowieczeństwa. – Pochodzę z wielodzietnej rodziny, dlatego szacunek dla ludzkiego życia i świadomość, że od poczęcia mamy do czynienia z człowiekiem, była dla mnie czymś naturalnym. Wiedziałam oczywiście, że aborcja na świecie jest, że jest w Chinach, ale do tego czasu nie spodziewałam się, że dzieci zabija się legalnie również w Polsce – tłumaczy. – Ta informacja oraz zdjęcia zamordowanych dzieci wywołały u mnie poczucie konieczności przeciwdziałania temu zjawisku. Z drugiej strony widziałam wspaniałych ludzi, którzy podejmują walkę, którzy się nie boją, dla których tak jak dla mnie oczywiste jest, że złu trzeba przeciwdziałać. Ci ludzie bardzo mi imponowali i sprawili, że chciałam dołączyć do tej walki – dodaje.

Pod petycją o odebranie Zuzannie Wiewiórce medalu w kilka dni podpisało się ponad 20 tys. osób. Na inicjatywę zwolenników aborcji odpowiedzieli już obrońcy życia. Fundacja Mariusza Dzierżawskiego zorganizowała w Internecie zbiórkę podpisów pod hasłem „Wesprzyj Zuzannę".

– Celem lobby aborcyjnego jest zabijanie. W ostatnim czasie tysiące dzieci padają ofiarą pigułek aborcyjnych. Dostawcy tych trutek na dzieci jawnie reklamują się w „postępowych" mediach, mimo że jest to działalność nielegalna. Na forach internetowych piszą otwarcie o współudziale w mordowaniu dzieci. Policja i prokuratura biernie się temu przyglądają – mówi Mariusz Dzierżawski. – Zuzanna Wiewiórka podjęła skuteczną walkę o ocalenie dzieci. Dlatego jest przedmiotem nienawiści. Zresztą nie tylko ona. Wiele naszych koleżanek i kolegów spotyka się z obelgami, życzeniami śmierci lub gwałtu, a nawet atakami fizycznymi. Jeśli przyjrzymy się temu, co się dzieje na Zachodzie, zobaczymy, że jest to standardowe zachowanie „miłośników tolerancji".

– Osobiście wielokrotnie doświadczyłam hejtu i agresji ze strony przeciwników ochrony życia dzieci przed narodzeniem. Uważam jednak, że w społecznej debacie na temat ochrony życia musi być miejsce dla obydwu stron sporu – mówi Dominika Chorosińska. Zdaniem posłanki PiS przeciwnicy ochrony życia dzieci poczętych, choć wiele mówią o „wolności" i „tolerancji", sami wciąż próbują narzucać swój światopogląd społeczeństwu i usiłują eliminować z debaty publicznej osoby, które czują i myślą inaczej niż oni.

Zuzanna Wiewiórka, mimo gróźb, kontynuuje swoją działalność. Trudno też sobie wyobrazić, by Ministerstwo Sprawiedliwości uległo presji środowisk lewicowych. Nawet jeśli w obronie życia obecna władza nie jest tak stanowcza, jakby tego chciały organizacje pro-life.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Przekładanie winy

Leszek Żebrowski

Obarczając Polaków z granatowej policji nieudowodnionymi winami i odciążając Niemców, Jan Grabowski wybrał drogę na skróty, głównie umysłowe

Najnowsza książka Jana Grabowskiego pt. „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów" (Wołowiec 2020) jest kontynuacją jego wcześniejszej twórczości, kierującej uwagę czytelnika na rzekomy straszliwy konflikt dwóch narodów: polskich zbrodniarzy i żydowskich ofiar. To jakby wyższy poziom rozważania o zagładzie, gdzie ideologia niemiecka schodzi w cień, przechodząc w lokalny konflikt narodowy. Grabowski wyraża to wprost: „Tak się jednak składa (czego starałem się dowieść na stronach tej książki), że granatowa policja miała niebagatelny udział w wymordowaniu polskich Żydów i wchodzi tym samym w pole zainteresowania badaczy Holokaustu. Więcej, granatowa policja stanowiła istotny, niekiedy niezbywalny element niemieckiej strategii eksterminacji europejskich Żydów. Na dodatek polscy policjanci często mordowali Żydów na własną rękę, wykazując się przy tym ogromną inicjatywą. Żal tylko, że w sporze o polską niewinność mało kto pamięta o niepoliczonych dziesiątkach, setkach tysięcy żydowskich ofiar granato-

eprasa.pl a71f128f2c

Druga wojna światowa, Polska pod niemiecką okupacją. Polski policjant (granatowy) i żydowski policjant kontrolujący dokumenty w getcie warszawskim FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

wej policji, ludziach, którzy mogli ocaleć, którzy mieli sporą szansę na przeżycie wojny..." (s. 389). To ma być podsumowanie jego badań.

Na tym powinno się właściwie zakończyć recenzję, ponieważ ideologiczna pasja i ukierunkowana propaganda wzięły górę nad nauką, czyli próbą ustalenia, jak to właściwie było. Co to znaczy kilkaset tysięcy? To między 300 a 900 tys., czyli średnio 600 tys. ofiar „polskich policjantów". Do tego powinniśmy dodać wcześniejsze „odkrycia" tego autora, jakoby polscy chłopi zabili 200 tys. Żydów, co zresztą natychmiast zostało zakwestionowane i liczni oponenci wykazali, że są to wielkości całkowicie przez niego zmyślone. Idąc dalszym tokiem takiego rozumowania, to przecież i polskie podziemie też jest oskarżane o masowe zbrodnie w ramach zagłady. Kilka lat okupacji, kilka organizacji (prawie całe Polskie Państwo Podziemne), zatem pewnie też ze 200 tys. I już mamy 1 mln „polskich ofiar"!

Widać jednak u autora swoiste „dwojewierie". W innym miejscu Grabowski pisze bowiem (s. 111), że „od wiosny 1942 do wiosny 1943 ogromna większość polskich Żydów została wymordowana w obozach zagłady [...]". Do obozów zagłady Polacy jednak wstępu nie mieli (nawet granatowa policja) z oczywistych względów, zatem masowe zbrodnie były tam dokonywane wyłącznie przez Niemców i ich pomocników z formacji sojuszniczych, ale nie Polaków. W ogóle autor nie może się ostatecznie zdecydować w sprawie winy. I tak np. uważa, że „skala tego »współsprawstwa« była niesłychana – swoją wydajnością mordercy w granatowych mundurach potrafili dorównać kolegom, niemieckim żandarmom i szupowcom" (s. 11). Czyli winni są pół na pół: Niemcy i Polacy. I z takim emocjonalnym sposobem rozważań mamy cały czas do czynienia na kartach tej książki.

ZA TRUDNA STATYSTYKA?

Oceniając historyczną pracę autora, który ma ambicje naukowe, należy wziąć pod uwagę to, co nazywa się warsztatem, czyli umiejętność posługiwania się odpowiednimi narzędziami. Do nich należą nauki pomocnicze, w tym statystyka. Z nią Grabowski ewidentnie sobie nie radzi, traktując to narzędzie całkiem dowolnie. Konieczna jest również znajomość epoki, czyli szerokie historyczne tło. Co się dzieje w innych krajach okupowanych przez Niemców, którzy wszędzie prowadzą politykę eksterminacyjną; jakie tam są zachowania podbitej ludności i jakie wykształciły się tam formacje kolaboracyjne, jaka była ich rola z zagładzie. Zjawisko masowej grabieży dóbr, opisywane przez autora, nie było przecież przypadłością Polaków i nie powinno się tego izolować z otoczenia, pomijając w dodatku chronologię.

Niemcy z terenów wcielonych do Rzeszy już na początku okupacji wyrzucili ok. miliona Polaków, grabiąc ich mienie ruchome i nieruchome. Podobnie było pod drugą okupacją, sowiecką. Tam załadowano do bydlęcych wagonów kilkaset tysięcy Polaków i wywieziono ich na Sybir. Mogli wziąć ze sobą jeszcze mniej dobytku, niż pozwalali na to „u siebie" Niemcy. Tam obłowili się przede wszystkim niemieccy sąsiedzi i volksdeutsche. Pod Sowietami też były grabieże, ale czynili to głównie sąsiedzi żydowscy, którzy na masową skalę pomagali dekonspirować „wrogów ludu" przed NKWD i uczestniczyli w sporządzaniu odpowiednich list. Jest wystarczająco wiele zachowanych jednoznacznych przekazów o tym, mówiących, aby to zjawisko pominąć milczeniem.

Ponadto autor w ogóle nie odnosi się do zjawiska powszechnej grabieży w gettach i większych skupiskach żydowskich, dokonywanej przez pobratymców. Nie ma tu miejsca na szerszą analizę tego zjawiska, ale warto zwrócić uwagę, że nawet oficjalne instytucje w gettach, podlegające Judenratom, nastawione były nie na pomoc innym nieszczęśnikom, lecz na bezwzględny rabunek: „Sekcja żydowska Warszawskiego Wydziału Zdrowia wróciła od niemieckiego dowództwa ze ścisłym rozkazem utworzenia »jednostek higienicznych«, których celem miało być odwszenie brudnej populacji żydowskiej. Ludzie mieli być odwszawiani w publicznych łaźniach dezynfekcyjnych. Wiosną i latem 1941 r. jednostki te stały się nową plagą getta. »Dezynfektorzy« pojawiali się na danej ulicy, z pomocą policji zamykali budynek, a następnie przechodzili od mieszkania do mieszkania, zmuszając ludzi do wyjścia, po czym odprowadzali ich pod strażą do łaźni dezynfekcyjnej. Podczas nieobecności mieszkańców dezynfektorzy lub policja rabowali mieszkania, jednocześnie przeprowadzając ich dezynfekcję. Cuchnący środkiem dezynfekcyjnym, odwszeni mieszkańcy wracali z łaźni do swoich mieszkań, które cuchnęły innym środkiem i były obrabowane z większości rzeczy. Ludzie bali się policji i dezynfektorów bardziej niż epidemii tyfusu lub duru brzusznego – nie było władz, do których mogliby się zwrócić. Celem dezynfektorów były głównie duże budynki z dużą liczbą mieszkańców, gdzie można było więcej ukraść" (David J. Landau, alias Dudek, Janek and Jan, „Caged: A Story of Jewish Resistance", Sydney 2000, s. 78). Rabunki i gwałty były domeną nie pojedynczych, zdemoralizowanych osobników, ale profesjonalnie stworzonych, bezkarnych w istocie struktur, co niekiedy kończyło się nawet morderstwami popełnianymi na opornych. Warto tu wspomnieć Urząd do walki z Lichwą i Spekulacją w warszawskim getcie (którym kierował rabin

eprasa.pl a71f128f2c

Abraham Gancwajch) i jego znienawidzonych siepaczy. Urząd ten był powszechnie zwany żydowskim gestapo.

Taki sam los spotykał bogatych, od dawna zasymilowanych w swych krajach Żydów, nagle wywożonych na teren „Generalnej Guberni" (tym określeniem posługuje się Grabowski). Oni mieli prawo zabierania ze sobą całych wagonów wszelakich dóbr: mebli, dywanów, futer, wypakowanych waliz. Na stacjach końcowych ich dobytkiem bardzo pieczołowicie „opiekowali się" funkcjonariusze miejscowych Judenratów.

Tak było m.in. w Ostrowcu Świętokrzyskim: „W lutym, marcu i kwietniu 1941 r. przybyło z Austrii do Generalnej Guberni łącznie 10 transportów Żydów po 1000 osób każdy. [...] Jak wynika z zachowanych dokumentów, szczególnie smutnie osławiony Judenrat ostrowiecki przyczynił się do rychłego »pozbycia się« ze swego terenu niewygodnych wysiedleńców wiedeńskich, nie omieszkawszy przy tym zbyt pieczołowicie zaopiekować się ich dobytkiem, bagażami, walizkami (5 tys. sztuk) itd.".

Dla przedniej europejskiej inteligencji, ludzi od pokoleń zasymilowanych i zintegrowanych ze społecznościami, w których mieszkali, bez znajomości hebrajskiego i jidysz, było to przeniesienie do epoki jak ze średniowiecza, do świata, który znali być może z dawnych opisów, ale nie z autopsji.

„Mieszkańcy Wiednia znaleźli się nagle w małych mieścinach, a nawet zapadłych wioskach, w nader prymitywnych warunkach, gnieżdżąc się w izdebkach kurnych chałup wiejskich lub nawet stodołach. Utrzymywali się z zamiany przywiezionych rzeczy, zwłaszcza odzieży, na żywność. Niektórzy z nich otrzymywali w dalszym ciągu paczki żywnościowe i inne od swych »aryjskich« przyjaciół i krewnych z Austrii. Wśród wysiedleńców była też znaczna liczba przedstawicieli wolnych zawodów (lekarze, dentyści, inżynierowie itd.), a między nimi spora rzesza bardzo wybitnych jednostek: profesorów, naukowców. Nagminnym zjawiskiem była w pierwszym okresie wędrówka wiedeńczyków ze wsi i małych osad do większych miejscowości. Wprowadzało to zamęt i wyczerpywało skromne mimo wszystko zasoby nieszczęsnych wysiedleńców. [...] Na podkreślenie zasługują częste stosunkowo fakty (np. w powiecie opatowskim) występowania miejscowych chłopów w obronie »swoich« wiedeńczyków, zwłaszcza lekarzy i ich rodzin, domagających się pozostawienia ich w spokoju na miejscu. Oddawali im swoje chałupy i zaopatrywali w artykuły żywnościowe. W niektórych wsiach nawet wójtowie, pod naciskiem miejscowych chłopów, specjalnie interesowali się losem Żydów wiedeńskich, udzielając im daleko idącej pomocy" (Adam Rutkowski, „Martyrologia, walka i zagłada ludności żydowskiej w dystrykcie radomskim podczas okupacji hitlerowskiej, „Biuletyn ŻIH" 1955, nr 15–16, s. 93–94).

„Drastyczne wydarzenia miały miejsce również w małych, prowincjonalnych gettach. Oto np. niejaki Lubicz, członek żydowskiego Ordnungsdienstu (»policji«) w getcie w Międzyrzecu Podlaskim, a następnie komendant tego getta, wpadł na pomysł, aby Żydów ograbiać wcześniej, nie czekając na ich odstawienie do obozu zagłady. Dotychczas Żydzi złapani w akcjach zabierali ze sobą pieniądze i drogocenności, które mogli ze sobą ukryć. Ogałacano ich dopiero z tego wszystkiego w Majdanku i Treblince. Lubicz natomiast zaproponował Niemcom, aby ich ograbić i rozebrać do naga na miejscu, bo po co ten majątek ma wpaść w obce ręce. Żydów rozebrano do naga i tak wsadzono do wagonów. O tym, że była to jego inicjatywa, opowiadali niektórzy Niemcy, którzy nienawidzili takich zdrajców. Lubicz ograbił po tym magazyn z rzeczy lepszych, a gdy Niemcy się w tym zorientowali, zwalił winę na innych Żydów i ich rozstrzelano. Szóstą akcję [eksterminacyjną] Żydzi nazwali »małą Treblinką«" (Lejb Goldberg rel. ŻIH 301/3502).

Profesor Jan Grabowski

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

ZUPEŁNIE INNY OBRAZ

Takich przekazów, pochodzących wprost od obrabowanych, jest zbyt wiele, aby je całkowicie ignorować. Podobnie było z mieszkaniami Żydów wysiedlanych do gett i pozostawionym w nich mieniem. Tu również, gdy się poważnie traktuje źródła, pojawia się zupełnie inny obraz sytuacji. Starsze publikacje żydowskie, pozbawione jeszcze ideologicznego zacietrzewienia, opisywały to zjawisko uczciwie. I tak w Drobinie (rejencja ciechanowska): „Warsztaty rzemieślnicze i sklepy zabrane zostały Żydom, łącznie z towarami i materiałami, które się w nich znajdowały. Również z mieszkań prywatnych hitlerowcy rabowali meble, ubrania, bieliznę, pościel, a nawet naczynia kuchenne. W Makowie Mazowieckim: całe mienie pożydowskie, zgromadzone w jednym miejscu, przekazane zostało do dyspozycji ludności niemieckiej miasta".

W Sierpcu: „Do domów pożydowskich okupant przesiedlił ludność polską, a z kolei zabudowania po Polakach przekazywane były Niemcom".

Trudno sobie wyobrazić, że w innych miejscach było inaczej i polityka niemiecka nie była w tych sprawach skoordynowana na szczeblu centralnym. Niemieccy oprawcy, stosując perfidną zasadę „dziel i rządź", wykorzystywali podziały wśród nieszczęsnych Żydów i dodatkowo je tworzyli, nagradzając swych gorliwych pomocników, odraczając w nagrodę termin ich kaźni: „Smutną sławą cieszył się wśród ludności getta w Nowym Dworze Judenrat, wykonujący zawsze pilnie polecenia okupanta. Toteż hitlerowcy zrewanżowali się za świadczone im usługi. Wszystkich członków Judenratu, wraz z ich rodzinami w liczbie 42 osoby, hitlerowcy ulokowali w końcowym wagonie ostatniego transportu [12 XII

eprasa.pl a71f128f2c

(1942)], a na stacji kolejowej w Warszawie wagon ten odczepili od całego składu i wszystkich jego pasażerów odprowadzili do getta w Warszawie. Takiego traktowania, takiej »łaski« oprawców, nie dostąpił nawet prezes Judenratu w Łodzi, osławiony Chaim Rumkowski, którego hitlerowcy zawieźli razem z Żydami z getta łódzkiego do obozu zagłady w Oświęcimiu" (Michał Grynberg, „Getta w rejencji ciechanowskiej", „Biuletyn ŻIH" 1980, nr 4/116).

Dodajmy do tego jeszcze bezczeszczenie zwłok i rabunek grobów żydowskich: „Grabarze otwierają groby, wyjmują biżuterię i złote zęby. [...] Na cmentarzach dzieją się niewybaczalne rzeczy, nie do opisania. Masowe mogiły i zbezczeszczenie zwłok przez doły społeczne, które wrzucają je do grobów jak psy. To nie wszystko. Okazuje się, że w nocy otwierają groby i wyjmują trupom złote zęby i kradną całuny. Niedawno prowadzono poważne dochodzenie na temat udziału żydowskiej policji w owych rabunkach. Jednym słowem: samo dno".

To nie są opinie zatwardziałych antysemitów. To Emanuel Ringelblum, którego świadectw Grabowski nie kwestionuje, ale tych dla siebie niewygodnych już nie zauważa.

WMAWIANIE ANTYSEMITYZMU

Zło nie ma narodowości i nie da się – jak robi to Grabowski – opisać Polaków wyłącznie jako sprawców, a Żydów wyłącznie jako ofiary. Bywało różnie i trzeba pisać prawdę, inaczej dążymy do zakłamania. Grabowski sprowadza jednak ówczesną sytuację do skrajnie nieprawdziwego obrazu, jakoby był to właściwie konflikt polsko-żydowski, w którym źli Polacy rabują i mordują dobrych Żydów, oni zaś są wyłącznie ofiarami. Co więcej, widać nieuprawnione niczym twierdzenia, jakoby Niemcy zabijali Żydów praktycznie tylko „na rozkaz i pod presją" (czyli w ten sposób są jakoś moralnie usprawiedliwieni), motywy Polaków (z granatowej policji) miały zaś... „głębsze korzenie". I Grabowski je oczywiście ustalił. Miałyby to być antysemityzm, „od wieków podsycany przez Kościół katolicki", oraz „indoktrynacja nacjonalistyczna" (s. 377). I wszystko jasne? Chyba jednak nie, skoro to Polska przez kilka stuleci (!) przyjmowała Żydów, wyrzucanych praktycznie z całej Europy, nadając im bardzo szeroką autonomię, pozwalającą zachować własną tożsamość i religię, zwalniając ich z wielu powinności państwowych. Nie było też w Polsce (również pod zaborami) zjawiska przymusowej polonizacji, dobrze znanego w krajach ościennych jako germanizacja czy rusyfikacja. W II RP ogromna część ludności żydowskiej nie nauczyła się nawet polskiego języka, dzieci i młodzieży nie posyłała do polskich szkół, nie integrując się z polskimi sąsiadami. Miało to później, podczas okupacji niemieckiej (1939–1945), fatalne konsekwencje. Jednak Grabowski i tak uważa, że „wielu Żydów poradziło sobie bez polskiej pomocy, wykazując się ogromną przedsiębiorczością i samodzielnością" (s. 13).

Pamiętajmy jednak, że wszystko odbywa się w warunkach zbrodniczej niemieckiej okupacji, kiedy ruch ludności jest całkowicie kontrolowany, są godziny policyjne, sprawdzanie dokumentów, zaświadczeń i przepustek. Biurokracja niemiecka jest ogromna i skrupulatna. Żywność i prawie wszystkie towary są reglamentowane. Do tego należy uwzględnić warunki klimatyczne. W lecie pojedyncza osoba lub mała grupka jest w stanie przetrwać (np. w lesie) kilka dni bez żywności. Ale na dłużej? Bez jedzenia, ciepłej odzieży, lekarstw? Z tez Grabowskiego wynika jednak, że Żydzi mogli przetrwać właściwie bez Polaków, bo ich pomoc była wyłącznie... zagrożeniem. Tylko co to ma wspólnego z nauką historii, gdzie wnioskowanie musi być uprawnione i oparte na ustalonych faktach?

Dopiero trzecim istotnym czynnikiem według Grabowskiego miała być chęć grabieży.

Mimo że już wiemy (i potwierdza to mimochodem sam Grabowski), że ogromna część zagłady dokonała się w obozach zagłady, czyli bez udziału, a nawet biernej obecności Polaków, to jednak pozwala sobie na takie stwierdzenia, które ich udział wytwarzają. Opisując likwidację getta w Węgrowie (a są już dostępne publikacje rzetelnie to przedstawiające), pozwala sobie na zapis o udziale wszystkich mieszkańców miasteczka: „W ciągu kilku godzin na oczach wszystkich mieszkańców na ulicach miasta oraz na pobliskim kirkucie wymordowano od tysiąca do dwóch tysięcy ludzi" (s. 164). Wszyscy to wszyscy, czyli byli wszędzie i przy każdej egzekucji. Ze źródeł zaś wiemy, że ofiar było ok. tysiąca i trwało to kilka tygodni, a nie jeden dzień, w którym teoretycznie można byłoby zgromadzić część (bo przecież nie wszystkich) mieszkańców i kazać im na to wszystko patrzeć.

Trudno poruszać tak rozgałęziony temat, nie mając pojęcia o polskiej konspiracji antyniemieckiej. Autor wprawdzie wie, że nawet Niemcy uważali, iż co najmniej 30 proc. granatowych policjantów było związane z polskim podziemiem. Jeden z kolejnych komendantów – Aleksander Reszczyński (lepiej zorientowany, bo sam był współpracownikiem kontrwywiadu KG ZWZ-AK) – szacował, że było to nawet 50 proc. Granatowych na terenie całej Guberni było maksymalnie ok. 15 tys., zatem na tle „policji żydowskiej" było ich kilkakrotnie mniej (a przykładowo tylko w Paryżu – zupełnie inaczej okupowanym – było ok. 20 tys. policjantów francuskich). W dodatku „policja żydowska" według świadectw tych, którzy przeżyli, była na ogół jeszcze bardziej okrutna i bezwzględna niż Niemcy. Oto np. wstrząsające świadectwo Chila Rozenfelda z Ostrowca Świętokrzyskiego o zagładzie tamtejszych Żydów (A ŻIH, 301/4428, relacja z 1 lutego 1950 r., a więc zaledwie kilka lat po opisywanych wydarzeniach). To był bezpośredni świadek, który dożył końca wojny dzięki Polakom. Takie – typowe przecież – relacje żydowskie Grabowski pominął:

„Policja żydowska – od momentu jej powstania byli gorliwsi od Gestapo; Nieszczęśliwi zmęczeni i spragnieni picia prosili żydowskich policjantów, by ci się zlitowali i podali im troszkę wody, policjanci żądali za wodę po 100 i 200 dolarów. Wodę dostali tylko ci, którzy dali żądaną sumę. Policjanci żydowscy krzyczeli do nieszczęśliwych: wam już wszystko jedno, pieniędzy [wam] nie trzeba; policja żydowska urządzała łapanki, a ludzi pobili do krwi; policja żydowska nadal znęcała się nad ofiarami hitlerowskiego terroru, w wielu wypadkach swoim sadyzmem przekroczyli samych gestapowców".

Nie jest to przypadek wyjątkowy, jest dla danych wydarzeń typowy i powszechny. To też była policja, tyle że miała stały i bezpośredni dostęp do nieszczęśników, w przeciwieństwie do policji granatowej. Bez szerokiego tła, bez rozumienia, co i jak się wtedy działo, wszelkie wnioskowanie jest co najmniej ułomne i może być uznane za skrajnie nieobiektywne.

ZAKŁAMANIE A ZBADANIE

Wbrew pozorom Grabowski nie korzysta z bardzo szerokiej bazy źródłowej. Jest ona dość ułomna i nastawiona wyłącznie na wyłuskiwanie zdań

eprasa.pl a71f128f2c

JAN GRABOWSKI „NA POSTERUNKU" WYDAWNICTWO CZARNE 2020

i fragmentów, mogących służyć za podparcie jego tez, pochodzi z kilku czy kilkunastu miejscowości, z pominięciem innych, o wiele bardziej licznych. Przez odrzucanie źródeł przeczących jego twierdzeniom jest jednostronna i prowadzi donikąd. W dodatku widać jego nieporadność (czasem zaś ewidentnie złą wolę) – w 1941 r. nie było AK; brane na poważnie gazetowe „informacje", jakoby w niektórych oddziałach partyzanckich odbywały się specjalne okresowe „schwanzparady", polegające na rzekomym obnażaniu się, w celu poszukiwania osobników... obrzezanych, choć do partyzantki nikt przypadkowy nie trafiał (bo to była kwestia nie tyle zaufania, ile wprost życia i śmierci). Przeglądy czasem faktycznie robiono, ale wyłącznie z powodów higienicznych.

Zakłamał, a nie zbadał sprawę Marcelego Handelsmana i rzekome „listy proskrypcyjne" NSZ, podobnie jest ze sprawą ks. Trzeciaka i ks. Pudra. Nie potrafi właściwie opisać udostępnionych fotografii – tam, gdzie są wyłącznie granatowi, Grabowski dostrzegł Niemca, w dodatku dorobił mu w opisie mundur żandarmerii (s. 145). Na innym – fakt, że zdjęciu dziwacznym – osobnik w masce to „być może to ktoś schwytany przez pozujących dumnie do zdjęcia niemieckich i polskich policjantów" (s. 152). Nie wzbudza jego wątpliwości fakt, że wygląda bardziej na zbratanego z Niemcami niż ich ofiarę. Niemcy są zadziwiająco blisko, wprost się o niego ocierają, a u jego stóp leży spokojny policyjny pies...

No i osławione „sierpniówki" jako źródło wiedzy. Były to procesy komunistyczne, na podstawie zbrodniczego dekretu PKWN z 31 sierpnia 1944 r. (o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców narodu polskiego). Wszystkim oskarżanym na jego mocy o cokolwiek groziła kara śmierci. Nie było wówczas normalnego państwa, a stosowanie komunistycznego „prawa" urągało pojęciu praworządności. Dokumenty tam zgromadzone nie mogą być zatem jednoznacznym źródłem historycznym, powinny być weryfikowane z należytą starannością. Grabowski tak jednak nie uważa.

Złóżmy to wszystko na karb jego nieporadności i nieznajomości realiów okupacyjnych. To i tak aż nadto, aby jego opracowanie traktować jako wątpliwe i w sumie nieprzydatne. Jednak według niego nawet porównywanie roli policjantów żydowskich i polskich to już „teren negacjonizmu Zagłady" (s. 386) – jedni są bowiem katami, a drudzy... ofiarami.

Ma on w swym dorobku wiele odkryć: „... polscy policjanci niejednokrotnie mordowali Żydów (często swoich sąsiadów, ludzi dobrze im znanych z lat przedwojennych) w tajemnicy przed Niemcami. [...] Niemcy, bezpośredni przełożeni granatowych policjantów, najczęściej nie mieli najmniejszego pojęcia o mordach dokonywanych przez polskich podwładnych" (s. 11). W ten sposób drastycznie kurczy się przestrzeń do obwiniania sprawców, czyli Niemców, przez redukowanie liczby ich ofiar (gdy już milion można zrzucić na karb Polaków); ich „usprawiedliwianie" wykonywanymi rozkazami; czy wprost „jedynie nadzór niemiecki działał w pewnym sensie hamująco [...] na zakres samowolnych działań polskich policjantów" (s. 359). Oczywiście to nie jest negowanie zagłady, tylko podmiana sprawców, zatem jej zafałszowanie. Teraz lepiej i wyraźniej widać, czemu miała służyć kilka lat temu światowa nagonka na polskie państwo, aby nie dopuścić do jakiejkolwiek penalizacji oczywistych kłamstw z tego zakresu. Mają bowiem pozostawać bezkarne.

Ciekawe, czy Grabowski zna stanowisko prof. Andrzeja Żbikowskiego z ŻIH w sprawie krytycznego podejścia do źródeł (fakt, że pojawiło się ono dopiero przy opisach kolaboracji Żydów z Niemcami podczas okupacji, ma tu drugorzędne znaczenie). Otóż, recenzując jedną z prac (zob. Alicja Jarkowska-Natkaniec, „Wymuszona współpraca czy zdrada? Wokół przypadków kolaboracji Żydów w okupowanym Krakowie", Kraków 2018), Żbikowski tak ocenia wykorzystanie materiałów śledczych i procesowych, dotyczących kolaboracji Polaków i Żydów z Niemcami:

„Tego typu materiały są bardzo trudne do analizy historycznej, szczególnie w sytuacji dużego dystansu czasowego, gdy żaden z przesłuchiwanych nie może swoich zeznań odwołać bądź uzupełnić. Pułapki czekające na badacza są zatem liczne. Jak z tego wybrnąć i czy autorka podołała temu zdaniu? Moim zdaniem tak, gdyż wybrała jedyną prawidłową metodę badawczą: brać za pewnik tylko te informacje, które znajdują potwierdzenie w kilku, całkowicie odrębnych źródłach. A że wynik będzie wówczas mniej imponujący, mniej będzie przestępców i ich dowiedzionych zbrodni – cóż, taka dola uczciwego historyka".

Nie ma wątpliwości, że stosując się do tego zalecenia, Grabowski popadłby w swoistą niedolę i z jego książki „Na posterunku" pozostałoby bardzo niewiele. Chcąc być historykiem uczciwym, musiałby wykonać gigantyczną pracę na wielostronnych i wszechstronnych źródłach i dopiero na nich oprzeć swoje wnioskowanie. Wybrał jednak drogę na skróty, w tym głównie umysłowe. Do tego trzeba zauważyć atmosferę grozy, w której musiał pracować w archiwach IPN: „Osobne podziękowanie należy się archiwistom z Instytutu Pamięci Narodowej, którzy w ciągu lat sprawili, że mogłem wydajnie pracować w czytelni przy pl. Krasińskich w Warszawie. Z oczywistych względów wolę nie wymieniać ich nazwisk i niniejszym składam im podziękowania zbiorowe" (s. 8). Co zaś im groziło za wykonywaną w ramach obowiązków pracę – nie podaje, ale można sobie wyobrazić komentarze i uwagi czytelników zagranicznych. Oto nawet niektórzy urzędnicy państwowi, ci uczciwi, ale zagrożeni (a takimi są archiwiści IPN, pomagający Grabowskiemu) pracują w warunkach terroru, prawie w podziemiu, ryzykując... no właśnie, czym?

W USA i w ogóle na świecie historią lat 1939–1945, głównie zagadnieniem zagłady Żydów w Europie, zajmują się przede wszystkim autorzy żydowscy. Redukują prawie wszystko do zagłady, a nie wojny jako takiej, bo ta jest tylko tłem. Jest to w jakiś sposób (dla nich) zrozumiałe, bo to jest „ich" historia, a nie powszechna. Mówił o tym w 1997 r. historyk amerykański Peter Novick (w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej"): „Być może w USA istnieje kilku nieżydowskich historyków zajmujących się holokaustem, ale to wyjątki – zdecydowana większość z nas to Żydzi".

W obecnej Polsce jest podobnie. Pozycje wyjątkowe, oparte na poważnej bazie źródłowej – jak choćby wydana rok wcześniej pionierska praca prof. Bogdana Musiała: „Kto dopomoże Żydowi..." (Poznań 2019) są dla Grabowskiego niewidoczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Miejsce na Twoje pomysły.

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl a71f128f2c

FOT. ADAM MOTTL/PAP

Krzysztof Masłoń

Któregoś pięknego dnia ze zdumieniem stwierdziłem, że choć momentami, niekiedy wciąż mnie Marek Hłasko porywa, to znacznie częściej denerwuje, złości i śmieszy. A najdziwniejsze było to, że ten pisarz, który stał się symbolem walki w literaturze ze schematyzmem i z socrealizmem, sam bywał socrealistą wzorcowym

Pawi ogon czarów Marka Hłaski

eprasa.pl a71f128f2c

Który to już raz piszę o Marku Hłasce, nie bez powodu przecież, bo właśnie ukazało się kolejne wydanie jego „Pięknych dwudziestoletnich", którą to książkę prawie pół wieku temu czytałem niczym Listy Apostolskie, a dziś myślę sobie, że legenda pisarza zdecydowanie przyćmiła wszystko, co stworzył, z „Pięknymi dwudziestoletnimi" włącznie. Co nie zmienia tego, że Hłasko jest wciąż czytany, a Iskry, po opublikowaniu pięć lat temu wyciągniętego z dna szuflady i nieprzeznaczonego (!) przez Hłaskę do druku „Wilka", niespiesznie dorzucały kolejne Hłaskowskie tomiki, a to z jego bardzo wczesnymi opowiadaniami, to znów z nieznanymi wcześniej listami, by wreszcie wznowić „Pierwszy krok w chmurach", a teraz „Pięknych dwudziestoletnich". Teraz już oficyna z ulicy, chciałoby się napisać, Smolnej, ale nie, już przecież od lat z wciąż jakby obco brzmiącej alei Wyzwolenia musi kontynuować edycję i niewykluczone, że doczekamy się „Dzieł zebranych" autora „Ósmego dnia tygodnia", co zresztą nie jest wcale tak dziwne, zważywszy, że mitotwórstwo wokół postaci Hłaski nie ustaje.

Naturalną koleją rzeczy w balonik legendy Hłaski dmuchają teraz ci, którzy teoretycznie mogli na niego spoglądać z perspektywy wózka dziecięcego. Ostatnio na przykład wyróżniła się na tym polu córka Tadeusza Kubiaka, wspominając twórcę „Pięknych dwudziestoletnich" z tego powodu, że w tej „prawdziwie zmyślonej" powieści (?) wymienił jej tatę w następującym ustępie, charakteryzującym żywot, który wówczas wiódł: „Kiedyś Tadeusz Kubiak przyprowadził ze sobą jakiegoś karła, którego kupił na prezent dla swojego syna; i poprosił, abym przechował u siebie karła do następnej Gwiazdki; było to zdaje się w lutym; chodziło o to, aby dzieci Tadzia Kubiaka otrzymały niespodziankę w Wigilię; ale na szczęście karła odkupił od Kubiaka kolega Janicki i odszedł z nim w sobie tylko wiadomym kierunku. Na dole dzieci śpiewały; a ja płakałem, a koledzy chodzili do restauracji »Esplanada« mieszczącej się o dwie ulice dalej i przynosili wódkę".

O co chodziło w tej historii z karłem poza tym, że na pewno o gorzałę, możemy się jedynie domyślać, bo i Małga Kubiak niewiele tu rozjaśnia, poza sprostowaniem płci, gdyż jako żywo owym „synem" z opowieści Hłaski miała być ona, nie ktokolwiek inny.

Nawiasem mówiąc, Iskry musiały wydać „Pięknych dwudziestoletnich", Hłasko bowiem wspominał to wydawnictwo, pisząc: „Wróciłem do Warszawy. Miałem już w tym czasie umowę wydawniczą z Iskrami. Kierowniczka Iskier Celina Milska, wiedząc, że jestem nałogowym żebrakiem, wysłała mnie do Władysława Broniewskiego, abym dokonał wraz z nim wyboru wierszy, przeznaczonego dla młodzieżowego czytelnika. Iskry były bowiem domem wydawniczym nastawionym na czytelnika młodzieżowego. Również i w tym wypadku nie używam świadomie cudzysłowu. Oczywiście, że można po prostu napisać »Czytelnika młodego«. Ale pisząc to wszystko, pragnę zachować język tamtych czasów: ową dziwną mieszaninę slangu, komunikatów urzędowych, języka używanego na wiecach partyjnych i na ulicy".

À propos tego, co jest, a co nie jest młodzieżowe, to Marek Hłasko wypowiedział się jeszcze w „Pięknych…" odnośnie do filmu zrealizowanego według „Następnego do raju" (chodzi o „Bazę ludzi umarłych" Czesława Petelskiego), który – zdaniem pisarza – nie udał się, a mógłby być dobry – „wypadki samochodowe, bicie po pysku, eksplozje, bohaterce filmu robią się na tyłku odciski, gdyż tak ją tam bez przerwy rżną – dobry film dla młodzieżowego widza".

No tak, no tak, ale wracam do swoich przygód z Hłaską.

TAM NAWET NIE MIAŁ KUMPLI

A na dobrą sprawę zaczęły się one dla mnie na samym początku nauki w liceum, kiedy to kolega pożyczył mi rocznik numerów „Po Prostu" z okresu Październikowego, skompletowany przez jego ojca. Nie minęło wiele czasu i w czerwcu 1969 r. dotarła do mnie, jak i do wszystkich, wiadomość o śmierci autora „Pierwszego kroku w chmurach". Paradoksalne, że do tak właśnie zatytułowanej jego jedynej wydanej oficjalnie w kraju książki dotarłem później, wydaje mi się zresztą, że zanim to nastąpiło, ktoś ze znajomych wypożyczył mi numer „Twórczości" z listopada 1956 r. z „Ósmym dniem tygodnia". Miałem go potem długie lata u siebie i czytałem tak często, że w końcu nauczyłem się dłuższych fragmentów opowiadania na pamięć (i to wcale nie tych niecenzuralnych).

W każdym razie na pewno dobrnąłem do matury, nie słysząc o Hłasce w szkole ani słowa. No, ale na studia trafiłem już po lekturze „Pięknych dwudziestoletnich", wydanych w Paryżu „Opowiadań" oraz „Cmentarzy. Następnego do raju", „Nawróconego w Jaffie" i „W dzień śmierci jego". „Sowę, córkę piekarza" przeczytałem jakiś czas potem. Do wszystkich tych utworów dotarłem dzięki prywatnym kontaktom z osobami, które w różny sposób weszły w ich posiadanie. Najczęściej ktoś z rodziny lub bliskich znajomych przywoził je z zagranicy.

W ogóle to sprawiał Hłasko kłopoty. Przekonałem się o tym, pisząc pracę magisterską, uczenie zatytułowaną „Czarny nurt w literaturze i filmie polskim (1956–1970)". Tu ciekawostka: dr Wojciech Wierzewski, na którego seminarium uczęszczałem, zorganizował naszej bodaj pięcioosobowej grupce maraton filmowy, na którym obejrzeliśmy interesujące nas obrazy. Poza „Ósmym dniem tygodnia", do którego musiałem dotrzeć zupełnie inną drogą.

Tak czy inaczej, magistrem w końcu zostałem, a gdy usiłowałem opublikować fragment pracy, po raz pierwszy osobiście zetknąłem się z działalnością cenzury. A prochy Hłaski od 1975 r. spoczywały już na Powązkach, sprowadzone z Niemiec. Nagrobek wystawiła matka pisarza, miejsce na Powązkach pomógł jej załatwić Jan Himilsbach, mający liczne znajomości w środowisku „cmentarno-kamieniarskim". Miał kiedyś powiedzieć: „Trzeba sprowadzić Marka do kraju. Gdzie on tam, w tych Niemczech, będzie leżał? Tam nawet nie ma kumpli. Do granicy przyjedzie pociągiem, a od granicy będziemy nieść trumnę. A za trumną będą szły te wszystkie kurwy".

SPADEK PO PRZEKREŚLONEJ EPOCE

Poczytywałem więc sobie Hłaskę w wolnych chwilach i ani się obejrzałem, a niektóre jego prozy mogłem recytować. Fascynacja „Następnym do raju" i „Nawróconym w Jaffie" nie mijała mi i w 1979 r. wzruszyłem się do łez „Fragmentem pewnego artykułu o Marku Hłasce", którym na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie zadebiutował Michał Tomczak. Któż to jeszcze pamięta:

Za wcześnie odszedłeś panie Hłasko
W jakimś obcym złym hotelu –
A przecież twoje niebo i tak wciąż nad nami
I głupich marzycieli wciąż jeszcze tak wielu…

Nawiasem mówiąc, to był ten sam festiwal, na którym Jacek Kaczmarski

eprasa.pl a71f128f2c

po raz pierwszy zaprezentował „Mury" oficjalnie zatytułowane: „Pieśń hiszpańskiego anarchisty". Ale to mi jakoś umknęło.

Mijały lata, do Hłaski sięgałem znacznie już rzadziej, aż któregoś pięknego dnia ze zdumieniem stwierdziłem, że choć momentami, niekiedy, wciąż mnie porywa, to znacznie częściej denerwuje, złości i śmieszy. A najdziwniejsze było to, że ten pisarz, który stał się symbolem walki w literaturze ze schematyzmem i z socrealizmem, sam bywał socrealistą wzorcowym. Oczywiście w swoich wczesnych, można by rzec, wprawkach pisarskich, ale takich wypracowań literackich pokrewnych sławnej „Bazie Sokołowskiej" znajdowało się w jego dorobku niemało.

A po latach sławny „Pierwszy krok w chmurach", ten sam, po którym Andrzej Kijowski nazwał Hłaskę „głosem pokolenia" (z kolei Tyrmanda, po napisaniu przez niego „Złego", ochrzcił ów krytyk mianem „Balzaca dla gówniarzy"), miażdżąco podsumował Jerzy Pilch: „Jest to, być może, jeden z najbardziej zdumiewających epizodów literatury powojennej […] Czternaście lichych opowiadań utrafiło bowiem w czas, który z debiutanta uczynił klasyka. […] Przypisanie Hłasce waloru arcydzielności jest kłopotliwym spadkiem po epoce, którą rzekomo pisarz ten przekreślał, a w której tkwił po uszy". Jakby to powiedzieć? Niesprawiedliwie, ale prawdziwie?

Możliwe, stawiał jednak Marek Hłasko sławne zdania, jak to z „Pięknych dwudziestoletnich", którzy światło dzienne ujrzeli w roku 1966: „I cóż można powiedzieć więcej o Polsce poza tym, iż przestała istnieć w dniu, w którym speaker Radia Moskiewskiego powiedział: DZISIAJ, SIEDEMNASTEGO STYCZNIA TYSIĄC DZIEWIĘĆSET CZTERDZIESTEGO PIĄTEGO ROKU NASZE PEŁNE CHWAŁY WOJSKA OSWOBODZIŁY MIASTO WARSZAWĘ. WIECZNA SŁAWA BOHATEROM ARMII CZERWONEJ POLEGŁYM W DZIELE OSWOBODZENIA OJCZYZNY. ŚMIERĆ NIEMIECKIM NAJEŹDŹCOM

STALIN.

A JEDNAK POCIĄGAŁ. BYŁ STĄD

W tych samych „Pięknych dwudziestoletnich" Hłasko popełnił znamienną pomyłkę. Otóż pisząc o Bohdanie Czeszce, stwierdził, że był on „mądrym i kochanym człowiekiem – przynajmniej dla mnie". „Nikt z nas, jeszcze jako tako młodych – kontynuował – nie potrafił pisać tak pięknym językiem jak ten miś, jego »Tren« mogę czytać, kończyć i zaczynać. Jest jedynym pisarzem młodego pokolenia, który od początku znalazł swój własny głos i pozostał sobie samemu wierny. Tego nie potrafił ani Brycht, ani Nowakowski, ani ja".

Czas pokazał, że choć Bohdan Czeszko może i pozostał wierny sobie samemu, to głos jego lepiej zapomnieć, Brycht to temat na zupełnie inną powiastkę, jeśli zaś Marek Hłasko stał się rzeczywiście – jak chciał tego w swoim czasie Andrzej Kijowski – „głosem pokolenia", to Marek Nowakowski – powiedziałbym – był „głosem wolnym wolność ubezpieczającym".

W „Dzienniku podróży w przeszłość" z 2014 r. Nowakowski pisał: „Hłaskę pochłaniałem w krótkich porcjach opowiadań drukowanych w »Po Prostu« i tygodnikach literackich. Wreszcie w wydanym przez Czytelnika »Pierwszym kroku w chmurach«. Nie był dla mnie Faulknerem, Kolumbem literatury w tamtych czasach. Drażnił sentymentalizmem i teatralną brutalnością, ale jednak pociągał. Był stąd. Czerpał z naszej codzienności. Wiele spraw tak samo widziałem".

Czy na pewno tak samo? Pomimo ZMP-owskiej przeszłości prozaika jakoś trudno mi wyobrazić sobie Marka Nowakowskiego jako autora takich opowiadań, jak np. antyamerykańskiego „Wielkiego strachu" Hłaski z 1955 r. czy o rok wcześniejszego antysanacyjnego „Targu niewolników", a i najsławniejszej w tym zestawie „Bazy Sokołowskiej". Znalazła się ona w debiutanckiej książce Hłaski „Pierwszy krok w chmurach", która – jak to już zostało powiedziane – uznana została za kamień milowy w rodzimej literaturze otrząsającej się z socrealistycznej zapaści. I tylko nikt wówczas nie zauważył, że sam autor w swoim pisarstwie tym samym socrealizmem się żywił.

WILKIEM SIĘ PRZEZYWAŁ. NIEKIEDY

Henryk Dasko słusznie kiedyś zauważył: „Pytania o nie w pełni zrozumiałą nieśmiertelność Hłaski dawno wykroczyły już poza sferę literatury i dotyczą raczej mechanizmów zbiorowej pamięci". Autor „Pięknych dwudziestoletnich" stał się niekoniecznie piękną legendą, a większość opowiadanych o nim anegdot autorstwa tych, którzy podobno go znali, przynależy do mitotwórstwa raczej niż do literatury faktu. Zwykle są one zresztą mocno wyświechtane i jeszcze mocniej ubarwione. A i przed laty wystarczyło pójść do SPATiF-u, by zaraz objawiał się jakiś miłośnik twórczości „Mareczka", i to wcale nie Himilsbach, który akurat całkiem nieźle pisarza znał i darzył go autentycznym bałwochwalczym uwielbieniem.

Z ciekawszych osób, z którymi się zetknąłem, a które o Hłasce naprawdę miały coś do powiedzenia, wymieniłbym w pierwszym rzędzie Jarosława Abramowa-Newerlego, który jednak w swoich „Lwach wyzwolonych" i „Lwach STS-u" zarówno o spotkaniach z Hłaską, jak i o przemyśleniach na temat jego pisarstwa ledwie napomknął. Sporo o autorze „Pięknych dwudziestoletnich", z jego niemieckiego okresu, opowiedziała mi też swego czasu Barbara Lewkowicz, była pracownica Radia Wolna Europa w Monachium. Amerykańską część życia Hłaski znam z relacji Henryka Grynberga, a o izraelskiej opowiadała mi Maria Lewińska z Izraela, niewątpliwie zafascynowana Hłaską także jako mężczyzną. Ale była to ciekawa rozmowa.

Kochały Hłaskę kobiety, kochali mężczyźni. Pisano o tym wielokrotnie, podobnie jak i o jego pijaństwach. Może warto jedynie przypomnieć opinię Zygmunta Hertza, podobnie jak jego żona Zofia mającego do Hłaski słabość (kto jej nie miał!), który w liście do Czesława Miłosza pisał jednak: „Patrzę z przerażeniem na to marnotrawstwo, facet jest psychopata-mitoman, hipochondryk, czort wie nie co. Nie do życia. Najdziwniejsze jego powodzenie u kobiet. Tego nie rozumiem: brudas, aż śmierdzi, neurastenik, pijak okazyjny, awanturnik też okazyjny. Myślę, że rozwija pawi ogon czarów przez krótki okres, nabierze na litość czy samotność. Co zresztą tutaj można wiedzieć".

Hertz lubił i cenił alkohol, trochę więc dziwi jego uwaga o „pijaku okazyjnym". Ale wkrótce nazwie Hłaskę najkrócej, jak to możliwe: „Bydlę wyjechało, nie zostawiło adresu, mniejsza o to".

Agnieszka Osiecka – sama dziś mitologizowana – której Hłasko był wielką miłością, po latach napisała o nim m.in. wiersz „Konieczny". Skonstatowała w nim:

Niekiedy wilkiem się przezywał.
Lecz wilkiem nie był. Raczej chciał być.
Gdy cały naród raźnie śpiewał,
Wolał zawyć.

Wył nie za długo. Dożył zaledwie 35 lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

POLSKA WALKA Z WIRUSEM ZŁA

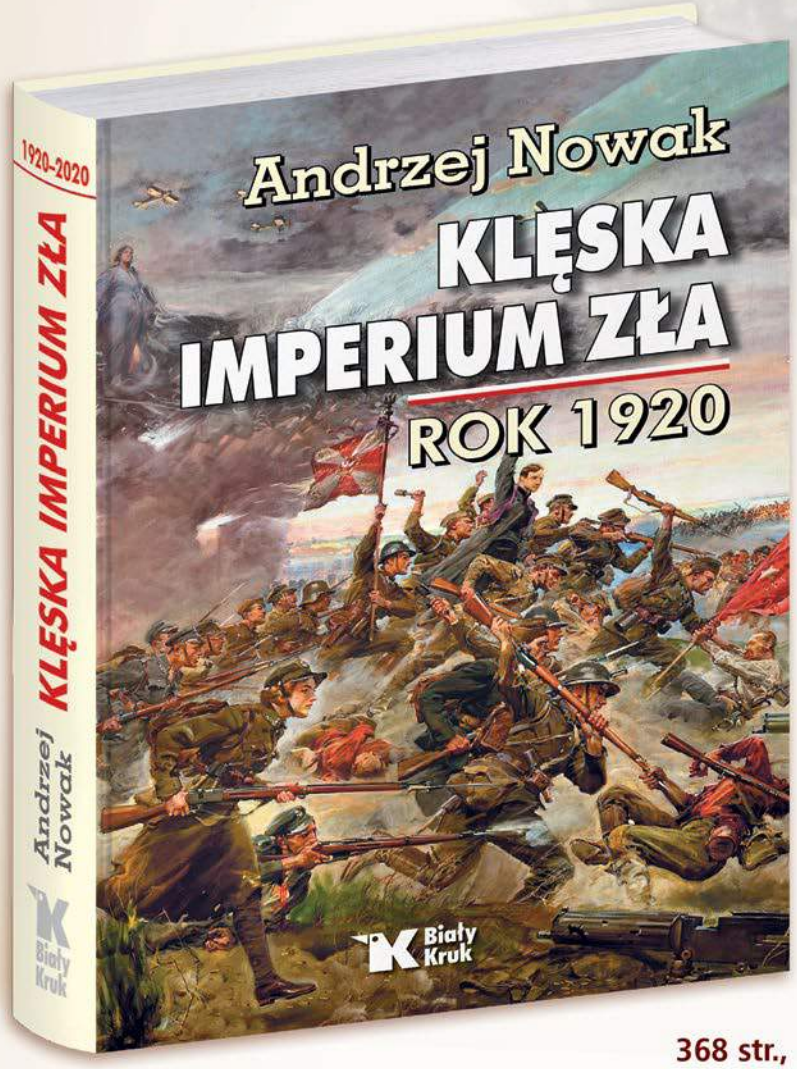

368 str.,
16,5 x 23,5 cm,
papier kredowy,
twarda oprawa

Jeden z największych erudytów XXI w. i światowej sławy znawca stosunków sowieckich, prof. Andrzej Nowak, odsłania przebieg i kulisy wojny z bolszewikami. Nie tylko militarnej, ale także politycznej i społecznej. Obala powstałe przez ostatnie 100 lat mity. Dokładnie przedstawia plany Józefa Piłsudskiego, mistrzowsko odwzorowuje przebieg Bitwy Warszawskiej. Analizuje zachowania trzech mocarstw, które – chociażby na papierze – były sojusznikami Polski: Francji, Wielkiej Brytanii i USA. Autor demaskuje ich nieraz bardzo dwulicową dyplomację, obnaża hipokryzję ówczesnych elit politycznych Zachodu, które gotowe były poświęcić Polskę dla Rosji, nieważne, czy białej, czy czerwonej. Powołuje się na najnowsze badania, a także na własne, odkrywcze kwerendy w archiwach rosyjskich (kiedy było wolno), brytyjskich i amerykańskich.

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY" **KSIĄŻKA 35% TANIEJ!** WEJDŹ NA STRONĘ **WWW.BIALYKRUK.PL** I WYKORZYSTAJ KOD RABATOWY **WPIS35**

Biały Kruk

ZAMÓWIENIA: Biały Kruk Sp. z o.o., ul. Szwedzka 38, 30-324 Kraków, tel.: 12/254 56 19, 260 32 90, 260 32 40, faks: 12/254 56 00, e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl, www.bialykruk.pl
Przy zamówieniu na kwotę powyżej 200 zł koszty przesyłki (16 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl a71f128f2c

Pod słońcem Ibizy

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

„White Lines” rozpoczynają się niczym niepokojący kryminał, by skręcić w stronę mydlanej opery. A zamiast morału oferują pochwałę beztroski

Młody, przystojny, bezczelny, utalentowany, a w dodatku z ręką do zarabiania dużych pieniędzy – taki był Axel Collins, najlepszy DJ w mieście. Przynajmniej tak było dawno temu, w roku 1996, kiedy opuścił rodzinny Manchester i przeniósł się na hiszpańską Ibizę. Po latach ulewny deszcz odsłania nieopodal Almerii jego zmumifikowane ciało. Skąd się tam wzięło? Kto go zabił? Komu zależało na tym, by przez ponad dwie dekady wszyscy byli przekonani, że brytyjski lekkoduch wyruszył w podróż do Indii, z której co prawda nie wrócił ani nie dawał znaku życia, lecz to przekonanie wystarczało, by sprawę oznaczyć jako zaginięcie, a nie jako morderstwo?

Zniekształcone zwłoki identyfikuje Zoe, młodsza siostra Axela. Dla niej to powrót koszmaru, który zdruzgotał jej życie. Po zniknięciu brata próbowała popełnić samobójstwo, potem przez lata leczyła się psychiatrycznie. Co prawda wyszła za mąż (za swego opiekuna ze szpitala) i ma nastoletnią córkę, ale bliscy wiedzą dobrze, że nie wydobrzała do końca. Teraz Zoe podejmuje impulsywną decyzję: wyruszy samotnie na Ibizę, by odkryć, co tak naprawdę stało się z Axelem.

Tak zaczyna się serial „White Lines”, nowa produkcja hiszpańskiego twórcy Álexa Piny, twórcy „Domu z papieru” („Money Heist”), który w ostatnich latach był jednym z największych przebojów serwisu. Pina dostał więc wolną rękę, większy budżet i oprócz hiszpańskich także brytyjskich aktorów do dyspozycji – w roli Zoe widzimy Laurę Haddock, w roli Axela – Toma Rhysa Harriesa, są i inni. Zmiksował to w autorski koktajl, który – jak to z drinkami bywa – im bardziej jest kolorowy, tym większym kacem może się skończyć.

REZYDENCJE, MUZYKA I SEKS

Połknięcie 10 odcinków „White Lines” idzie gładko, kaca raczej nie ma, choć może pozostać wrażenie zmarnowanego potencjału. Pierwszy odcinek jest intrygujący, tropy wiodące ku tajemnicy pozostawiono zręcznie. Ciało Axela znaleziono na ziemi należącej do bogatej rodziny Calafatów. Szybko dowiadujemy się, że choć zarabiają na legalnych biznesach (właśnie gromadzą inwestorów i pozwolenia na budowę kasyna), to umiejętnie poruszają się także poza granicami prawa. To oni decydują, kto, gdzie i na jaką skalę może

eprasa.pl a71f128f2c

sprzedawać narkotyki. Relacje członków rodu Calafatów są skomplikowane: nestor i szef wszystkich szefów Andreu (Pedro Casablanc) podejrzewa, że żona i syn próbują go okpić i odsunąć od wpływu na interesy, Conchita (Belén López) patrzy przez palce na to, że syn przejawia niezdrową fascynację swoją rodzicielką, a sam Oriol (Juan Diego Botto) gryzie się faktem, że ojciec ma go w głębokim poważaniu. Jest jeszcze córka państwa Calafatów, Kika (Marta Milans), która trzyma się z dala od rodziny i próbuje szczęścia w Stanach Zjednoczonych. Na wieść o cierpieniu ojca (stracił ukochanego psa) postanawia jednak wpaść na Ibizę na kilka dni. Ważna wiadomość – imię „Kika” miał wytatuowane na piersi świeżo odnaleziony nieboszczyk Axel. Wiemy więc, że los bogatych Calafatów i ubogiego Brytyjczyka był ze sobą spleciony.

„White Lines” zaczynają się jak niepokojący dramat kryminalny, później skręcają nieco w kierunku opery mydlanej, niemal przez cały czas będąc jednocześnie kolorową reklamówką Ibizy, która przedstawiona jest jako raj na ziemi. Krajobrazy, rezydencje, nocne kluby, cudne morze, barwne stroje, piękne kobiety i atrakcyjni mężczyźni. Cóż napędza to niezwykłe miejsce? Oprócz pieniędzy muzyka i seks, choć gdyby przyjąć obraz z serialu Piny, to seks należałoby wymienić na pierwszym miejscu. O jego terapeutycznych zaletach opowiada nie tylko jedna z bohaterek, która żyje z organizowania orgietek dla osób wysoko sytuowanych, lecz także niemal każdy, kto zachwala uroki Ibizy. Seks jest drogą do wyzwolenia, do odnalezienia własnego „ja” itd. Pamiętamy ten bełkot jeszcze z czasów rewolucji kontrkulturowej.

W serialu przenikają się dwa plany czasowe. Towarzyszymy Zoe w prywatnym śledztwie na współczesnej Ibizie, cofając się jednocześnie w czasie do roku 1996, kiedy to Axel wraz z trojgiem przyjaciół jeszcze w Manchesterze stawiał dopiero pierwsze kroki ku DJ-skiej sławie. Wielka Brytania, choć nie są to już czasy Margaret Thatcher obsadzanej w brytyjskiej popkulturze jako etatowy szwarccharakter, pokazana jest jako kraj smutny, opresyjny i zupełnie niecool. Kraj, z którego jednostki kreatywne i spragnione wolności muszą wyjechać, zwłaszcza że to Ibiza jest miejscem, gdzie „wszystko się dzieje”. Axel i jego towarzystwo odkrywają seks i narkotyki, potem wsiąkają w kulturę rave, uciekają przed policją rozbijającą nielegalne imprezy w opuszczonych fabrykach, wreszcie trafiają przed sąd, gdzie zuchwały muzyk wygłasza mowę, która jest absurdalna, lecz podawana jako poważny wykład na temat społecznych prześladowań końcówki XX w. Axel twierdzi bowiem, że liderzy clubbingu są ofiarą społecznej nietolerancji tak jak wcześniej geje czy etniczne mniejszości.

Czy to wpływ nostalgii, czy cynicznej kalkulacji Alexa Peny, tego nie wiem, ale odnotowuję z ciekawością, jak mocno zmieniły się akcenty. Pamiętam bowiem całą serię filmów fabularnych dokumentujących pustkę i zagubienie pokolenia rave, pamiętam „Human Traffic” (1997) Justine’a Kerrigana, pamiętam „Party Monster” (2003) duetu Fenton Bailey i Randy Barbato, pamiętam wreszcie film „Donikąd” („Nowhere”, 1997) Gregga Arakiego, chyba najsmutniejszy z nich wszystkich. Hedonizm nie jest w stanie wypełnić pustki, a niszczący wpływ koktajlu pigułek i muzyki nie różni się wiele od tego, co heroina robiła z bohaterami „Trainspotting”. I oto minęło ćwierć wieku i słyszę, że wszystko to jest super i cool, że to metoda samopoznania i dorastania. Tego przynajmniej uczyć nas mają dzieje Zoe.

W przypadku Axela sprawa jest nieco bardziej skomplikowana. Najciekawszy odcinek serialu to ten, w którym zaszokowana Zoe odkrywa, że ubóstwiany i idealizowany brat był kimś innym, niż się jej wydawało. Zaglądamy na moment na ciemną stronę sztucznego raju Ibizy i „White Lines” od razu nabierają rozpędu, głębi, robią się naprawdę ciekawe. To jednak tylko chwile, wstęp do refleksji pozostaje tylko wstępem, bo gdyby ową refleksję potraktować poważnie, to o zbyt wielu bohaterach serialu trzeba byłoby wprost powiedzieć, że to bydlaki. Na to zaś Alex Pina pozwolić sobie nie może, bo przecież nie po to kazał nam tyle zainwestować emocjonalnie w prezentowane postacie.

★★★☆☆☆

ALEX PENA „WHITE LINES” HISZPANIA / WIELKA BRYTANIA 2020

wyst. Laura Haddock, Nuno Lopes, Tom Rhys Harries, Netflix

MORDOWANIE Z ZAZDROŚCI

Największym grzechem serialu jest więc to, że brakuje mu odwagi, że staje w pół kroku, gdy zaczyna dotykać kwestii naprawdę poważnych i naprawdę bolesnych. Prawdziwy świat pozostaje poza ramami opowieści. Cóż z tego, że w pewnym momencie stary Calafat tłumaczy swej córce: „Przecież wiesz, jaką jesteśmy rodziną”, sugerując jednoznacznie, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju hiszpańskiej wersji rodu Corleone, skoro w głowach pozostaje nam obraz sympatycznego staruszka popalającego skręty. Seryjne zdrady, kazirodztwo, zamachy i morderstwa, narkobiznes – wszystko to fraszka, skoro w chwili próby rodzina mogła wreszcie szczerze porozmawiać, zrzucić ciężar z serca i ponownie zbliżyć się do siebie. Cóż z tego, że Axel Collins i towarzyszący mu w eskapadzie przyjaciele okazują się, hm… zobaczycie sami, skoro należy mu się przywilej patrzenia na wszystko przez palce, bo… No właśnie, bo co? Bo utalentowany? Bo fajnie skleja bity? Bo tatuś był dla niego surowy?

No i wreszcie sama Zoe. Czy mamy zapomnieć o tym, że pozostawiła 14-letnią córkę w imię samorealizacji (czy może tylko „najlepszego seksu w życiu” z ochroniarzem z nocnego klubu)? Moment, ale dopiero co mieliśmy jej współczuć, bo sama, mając 15 lat, czuła się odrzucona, porzucona i niekochana. Dawne bajki uczyły nas odpowiedzialności, dzisiejsze bajki uczą zapomnienia i fetyszyzują samolubne „ja”.

W efekcie, choć oglądamy w „White Lines” zabijanie z miłości i mordowanie z zazdrości, łamanie kończyn przez rumuńską mafię, przekupnych policjantów i rozmaite zwyrodnienia, wszystko to jest jedynie barwną dekoracją dla dojrzewania Zoe do pląsania pod słońcem Ibizy. Dreszcz niepokoju poczułem właściwie tylko w dwóch chwilach – gdy zaglądaliśmy w przeszłość Axela, ale brakło tu konsekwencji, oraz w pierwszym odcinku, gdy mąż Zoe, żegnając ją przed podróżą na Ibizę, pociesza (siebie i ją) słowami: „W razie czego jestem przecież tylko o parę godzin lotu od ciebie”. Otóż już nie, bo to pocieszenie ze starego świata, świata sprzed pandemii. W krainie „White Lines” pandemia jeszcze nie nadeszła, więc muzyka gra. No i Zoe nie miała jeszcze okazji, żeby się otrząsnąć i chwilę pomyśleć. Ale czy będzie chciała?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Amerykanin w Paryżu

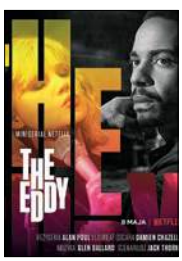

★★★☆☆☆

SEZON 1. „EDDY" („THE EDDY")
FRANCJA/USA 2020

wyst. André Holland, Amandla Stenberg, Joanna Kulig

Irytujący i zarazem wciągający to serial. Są chwile, kiedy nuży, bo fabuła jest wątła, pretekstowa, niespecjalnie oryginalna. Ale jednocześnie falami znakomitej muzyki zmywa z nas to znużenie i zamienia się wtedy w fascynujący spektakl. Spektakl, dodajmy, w którym ważną rolę ma do odegrania polska aktorka Joanna Kulig, która gra i śpiewa wyśmienicie.

The Eddy to nazwa klubu jazzowego w Paryżu, ale nie jest to przybytek w obleganych przez turystów modnych dzielnicach. Zwykła, zabetonowana dzielnica, mało bezpieczne sąsiedztwo, na ulicach jak nie ćpun, to pijak, mieszkania wynajęte przez przedstawicieli importowanego do Francji multi-kulti, a jak człek spóźni się z oddaniem długu, to przyjdą go sprać kolesie z serbskiej mafii. Klub należy do Elliota Udo, świetnego kompozytora i pianisty, który pożegnał się ze sceną po rodzinnej tragedii. Pożegnał się też z Nowym Jorkiem, zostawiając za sobą bogate życie, żonę i nastoletnią córkę. Paryż nie przynosi rozwiązania jego problemów. Najpierw traci partnera biznesowego, potem trafia w orbitę zainteresowań policji, jego związek z Mają, wokalistką zespołu występującego w klubie, to pasmo gwałtownych rozstań i krótkich ponownych zejść. Jednocześnie przeprowadza się do niego córka, która przybywa, by namówić go do powrotu, ale sama decyduje się zostać. I przynosi własne kłopoty – zamiłowanie do narkotyków.

Twórcą serialu jest Jack Thorne, ale reżyserem pierwszych dwóch odcinków (z siedmiu) Damien Chazelle, autor tak znanych filmów jak „La La Land" i „Pierwszy człowiek". W kooperacji francusko-amerykańskiej powstał serial bardzo europejski, któremu bliżej jest do kina braci Dardenne niż hollywoodzkich hitów. Świetna jest wielonarodowa, wielojęzyczna obsada, angielski, francuski, arabski, polski i inne języki mieszają się na ekranie. Nasza Joanna Kulig wypada bezbłędnie, choć kręcenie serialu było dla niej koszmarem (praca tuż po narodzinach dziecka), André Holland w roli Elliota jest równie dobry, podobnie jak Amandla Stenberg w roli jego córki. Szkoda, że prawdziwą gwiazdą serialu jest jednak znakomita i świetnie wykonywana muzyka, która okazuje się dla bohaterów narkotykiem, ale zarazem jedynym sposobem poradzenia sobie z życiem. Nie ma w tej historii mocnego scenariusza, za dużo jest chaosu i przestojów, ale jest za to jazz. I to jaki! ©℗

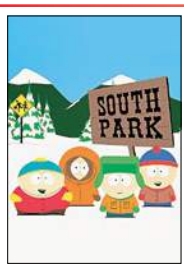

NOWE SERIALE: „MIASTECZKO SOUTH PARK"

Cztery najnowsze sezony obrazoburczej kreskówki (prócz ostatniego nr. 23) trafiły właśnie do Netflixa. Satyryczne i bezlitosne spojrzenie na spory rozdzierające współczesną Amerykę. „South Park" już dawno przestał być anarchizującą zgrywą, której głównym celem było przekraczanie granic dobrego smaku. Teraz wykpiwa zarówno sposób myślenia zwolenników Trumpa, jak i dwulicowość oraz obsesyjną polityczną poprawność liberalnych elit. Miasteczko South Park to Stany Zjednoczone pod mikroskopem. Inna sprawa, że to, co widać, jest z sezonu na sezon coraz bardziej gorzkie. ©℗ ***Piotr Gociek***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Lucie Borleteau* ***„Kołysanka"*** *(„Chanson Douce"), Francja 2019, thriller, Cineman*
- *sezon 1.* ***„Siły kosmiczne"*** *(„Space Force"), USA 2020, komedia, Netflix*
- *sezon 1.* ***„Jett"****, USA 2020, kryminał, HBO*
- *reż. Chris Addison* ***„Oszustki"*** *(„The Hustle"), USA 2019, komedia kryminalna, HBO GO*

eprasa.pl a71f128f2c

MOJEKINO.PL

Alicja z krainy nudów

Mockument jest wdzięcznym tworzywem w rękach prześmiewców, ale czasem biorą się doń pozbawieni poczucia humoru ambicjonerzy. „Moja polska dziewczyna" to mistyfikacja piętrowa. Narratorka, rzekoma obywatelka USA, przy okazji pobytu w Londynie postanawia nakręcić „coś prawdziwego, szczerego i osobistego". Najlepiej o brexicie, ciężkiej doli imigrantów i straumatyzowanych kobietach. W oko wpada jej aktorka Alicja, która po 12 latach spędzonych nad Tamizą osiągnęła tyle, że sprząta w multipleksie i ma problemy z opłaceniem czynszu. Wiedzie życie smętne, którego nawet kłamstwa nie potrafią ubarwić. Normalny człowiek w takich okolicznościach wyłączyłby kamerę, lecz Katie jest uparta jak osioł. Niezrażona faktem, że jej muza miota się między autyzmem a ekshibicjonizmem, za wszelką cenę próbuje się z Alicją zaprzyjaźnić. Prokuruje też sytuacje mające zmienić jej chybiony projekt w dzieło sztuki, wyświetlane na międzynarodowych festiwalach.

★★☆☆☆☆
REŻ. EWA BANASZKIEWICZ/ MATEUSZ DYMEK
„MOJA POLSKA DZIEWCZYNA" („MY FRIEND THE POLISH GIRL")
POLSKA / WIELKA BRYTANIA 2018

wyst. Aneta Piotrowska, Emma Friedman-Cohen, Daniel Barry

Plan się powiódł, ale obcowanie z „Moją polską dziewczyną" jest zajęciem męczącym. Doceniając wizualne smaczki oraz poświęcenie odtwórczyni roli tytułowej, zatęskniłem do eskapistyczno-seksistowskich produkcji w stylu „Wonder Woman". Tam przynajmniej nikt nie udaje artysty. ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DWOJE NA HUŚTAWCE

CINEMAN

Para 30-latków kupuje zapuszczony dom na odludziu, nie sprawdzając, co stało się z poprzednimi lokatorami. Odkrywa za to coś innego: w ukrytym pokoju spełniają się marzenia. Co prawda tylko materialne, lecz posiadanie bezpłatnej drukarki 3D ma swoje zalety. Zanim minie dzionek, Kate i Matt wdzieją markowe ciuchy, zakąszą szampana kawiorem, ozdobią ściany arcydziełami sztuki malarskiej i zasną na plikach banknotów.

★★★★☆☆
REŻ. CHRISTIAN VOLCKMAN
„POKÓJ TAJEMNIC" („THE ROOM")
FRANCJA/LUKSEMBURG/BELGIA 2019, MONOLITH

wyst. Olga Kurylenko, Kevin Janssens, Joshua Wilson

Doświadczenie uczy, że po szalonej bibce zawsze przychodzi kacenjamer. Tak jest i tym razem. „Pokój tajemnic" zaskakuje czymś innym. W filmach, opartych na pomysłach rodem z baśni, zwykle po obiecującym zagajeniu następuje ostry zjazd w banał lub grafomanię. Tutaj odwrotnie: na początku nic się nie klei, a aktorzy sprawiają wrażenie wziętych z łapanki. Z każdą minutą rzecz nabiera jednak rumieńców. Obstawiam, że co najmniej jeden scenarzysta z czterech cierpi na zespół pourazowy, związany z wychowaniem dziecka.

SZTUCZKA Z KUFREM

HBO GO

Trzecia odsłona przygód rezolutnej panny, której równie dobrze jak układanie krzyżówek w gazecie idzie tropienie nowojorskich zbrodniarzy. Tym razem Tess, uczęszczająca na kurs magii, staje się świadkiem śmierci gwiazdora – iluzjonisty. Śledztwo prowadzi jej znajomy, por. Logan. „Nie wcinaj się" – ostrzega wścibską redaktorkę, oczywiście nadaremno. Ludzie chętniej rozmawiają z ładną młodą kobietą niż ze skwaszonym policjantem. W serialu pojawia się nowa postać: dziennikarz śledczy, wpatrzony w Tess jak w obrazek. Zapewne w przyszłości skomplikuje to jej relacje z Loganem. Chabert, jak na byłą Miss Missisipi przystało, wdziękiem stara się zatuszować schematyzm scenariusza, reszta obsady nie zawsze staje na wysokości zadania. Poza tym „Abrakadawer" jest dość solidnym telewizyjnym patrzydłem, sprokurowanym z myślą o tych, którzy lubią kryminały w stylu Agathy Christie. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆
REŻ. JONATHAN WRIGHT
„KRZYŻÓWKOWE ZAGADKI: ABRAKADAWER" („THE CROSSWORD MYSTERIES 3")
USA 2020

wyst. Lacey Chabert, Brennan Elliott, Kaitlyn Leeb

GRA TYGODNIA: „TOTAL TANK SIMULATOR"

★★★★☆☆

Wśród dziesiątków gier o drugiej wojnie światowej trudno wyróżnić się czymś nowym. Czasami wystarczy jednak połączyć znane elementy i style, aby z kolejnej strategii czasu rzeczywistego albo strzelanki wycisnąć dodatkową jakość. Właśnie taką próbą jest dzieło polskiego niezależnego studia Noobz from Poland: „Total Tank Simulator". Kolorowa, kreskówkowa grafika oraz otoczenie podatne na zniszczenia to sceneria bitew, w których rozpoczynamy od stawiania budynków i rekrutacji armii, a kończymy na możliwości przejęcia w dowolnym momencie kontroli nad pojedynczym czołgiem czy żołnierzem. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *Strategiczna/FPS*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Noobz from Poland/505 Games*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *12+*

eprasa.pl a71f128f2c

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Śmierć patrycjusza

Swój „Dziennik", którego ostatni, piąty tom w pełnym kształcie znajduje się już w polskich księgarniach – w znakomitym przekładzie i ze świetnym posłowiem Teresy Worowskiej – spisywać zaczął Sándor Márai w 1943 r. Pięć lat później wyemigrował z Węgier, by nigdy już nie wrócić do kraju.

W swojej twórczości opisywał kryzys kultury europejskiej. Stosowne fragmenty na ten temat znajdujemy oczywiście i w „Dzienniku", którego autor w ostatniej części opowiada o tym, jak ostatecznie rozstał się ze Starym Kontynentem, od 1980 r. zamieszkał bowiem na stałe w Kalifornii, w San Diego.

Miał dosyć Europy. We Włoszech, gdzie początkowo czuł się znakomicie, „wybuchają – pisał – bomby, słychać strzelaninę, terroryści mordują sędziów, policjantów, osoby prywatne. Policjanci czasami też strzelają, a wtedy prasa lewicowa wyraża oburzenie. My co ranka idziemy kąpać się w morzu. Słońce świeci. Lato nigdzie nie jest lepsze. A my chodzimy z niewinnym wyrazem twarzy jak biskup, który przypadkiem znalazł się w burdelu, rozdaje błogosławieństwa i udaje, że nie wie, gdzie jest".

Nie chciał już niczego udawać. Ale i Ameryka nie okazała się rajem, bo i gdzie znaleźć raj dla ludzi schorowanych, wyczerpanych, do tego zdegustowanych poziomem ludzi stających na ich drodze? Urodzony w 1900 r. Sándor Márai pochodził ze starej rodziny saskich osadników. 1 grudnia 1980 r. napisze w „Dzienniku" o swoim ojcu [Geza Grosschmid, z zawodu adwokat, urodził się 108 lat wcześniej – przyp. K.M.]: „Był jednym z ostatnich gentlemanów. Uczciwość, słowność, prawość, niezłomność".

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Czytając Máraia, nie mogę wyjść z podziwu, jak ten piękny, mądry starzec jest aktualny; może dlatego tak myślę, że doskonale pamiętam czasy, w których prowadził swoje ostatnie zapiski. Coś tam się od tamtych lat zmieniło, coś innego pozostało niezmienne. Na pewno świat wokół nas wciąż pozostaje cudowny i tak samo groźny jak zawsze. W lipcu 1983 r. Sándor Márai zanotował:

„Histeryczne, przechodzące w panikę reakcje związane z pojawieniem się nowej, tajemniczej epidemii: nazywa się AIDS, wywołuje ją wirus, po zarażeniu w dramatycznym tempie zanika siła odporności organizmu i chory umiera. Lekarstwa na razie nie ma. Rozpowszechniła się podobno wśród homoseksualistów, Hawajczyków. Przeżyłem coś takiego zimą 1918/1919 roku, kiedy Europę ogarnęła inna zakaźna choroba, pandemia zwana hiszpanką. Dopadła mnie w Budapeszcie, zachorowałem i umierałem w pokoju pewnego pensjonatu przy ulicy Rakocziego, bez lekarza i bez lekarstw. Wraz z nową epidemią pojawiła się książka R.S. Gottfrieda »The Plague of Plagues«. Autor podaje, że w XIV w. dżuma dostała się do Europy przez Krym, pierwsza silna fala trwała od 1340 do 1420 r., a jej ofiarą padła jedna trzecia mieszkańców kontynentu. Twierdzi, że Europa była w tym czasie przeludniona, prymitywna gospodarka rolna nie mogła dostarczyć mieszkańcom wystarczającej i zdrowej żywności, a po wyludnieniu spowodowanym dżumą sytuacja poprawiła się pod tym względem. W 1340 r. pomór pojawił się w Italii, stąd rozprzestrzeniał się dalej po Europie i przez dwa lata zbierał żniwo na terenie całego kontynentu, ludzie padali na ulicach. Autor cytuje lament pewnego mieszkańca Sieny, Angelo di Tura, który jednego dnia pochował pięcioro dzieci. Dzisiaj sytuacja jest bardziej cywilizowana, ale na wieść o AIDS wszędzie słychać głosy przerażenia. Natura, podobnie jak technika wojenna, kryje jeszcze w swoim arsenale sekretne rodzaje broni. Ochrypły okrzyk Vörösmartyego – »człowiek tak bardzo jest płodny, by śmierć tym bogatsze zebrała żniwo« – wydaje się znów aktualny".

Pisarza spotykają nieszczęścia, jedno po drugim. W 1986 r. umiera na raka jego żona Lola, z którą przeżył 62 lata, a wkrótce potem z Budapesztu dochodzi wiadomość o śmierci jego brata. W roku następnym niespodziewanie w Ameryce umiera przybrany syn Máraia, Janos. Wnuczki pisarza nie mówią po węgiersku, wychowane zostały po amerykańsku. Autor „Wyznań patrycjusza" jest coraz bardziej samotny i zmęczony życiem.

15 stycznia 1989 r. zapisał Márai ostatnie zdanie swojego „Dziennika": „Czekam na wezwanie, nie ponaglam, ale i nie ociągam się. Już pora". 21 lutego ten wielki węgierski pisarz zakończył życie strzałem w głowę. ©℗

★★★★☆
SÁNDOR MÁRAI „DZIENNIK, TOM 5 (1977–1989)" CZYTELNIK, WARSZAWA 2020

eprasa.pl a71f128f2c

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dziadku, drogi dziadku...

Wbrew przewrotnemu i zabawnemu tytułowi („Krótka wycieczka na tamten świat") nie jest to opowieść o życiu pośmiertnym i/lub ewentualnym powrocie. Główny bohater, ciekawski Julek, mieszkaniec współczesnej Warszawy, trafia na trop rodzinnej tajemnicy. Okazuje się bowiem, że jego własny dziadek miał kiedyś inną rodzinę (żeby jedną!), a ślady wiodą na wschód, ku ukochanej przez polskich pisarzy kresowej Atlantydzie.

W odróżnieniu od dominującej w takich opowieściach rozlewnej, nostalgicznej narracji, powrotów do „lat dziecinnych", dworków, gajów i ruczajów, Strachota daje nam powieść na wskroś nowoczesną, nie wiem, czy nawet nie modnie nowoczesną. A może pokolenia Instagrama i Twittera inaczej pisać nie potrafią? Może króciutkie zdania i równoważniki zdań wyszczekane, wyrzucone na papier jak ślady po ostrzale karabinowym to właśnie pisarska „nowa normalność"? A może to tylko cecha charakterystyczna pisarstwa Strachoty, który na szczęście im dalej w narrację, tym częściej porzuca rwaną prozę pierwszych rozdziałów? Może zaś zerkać powinniśmy za plecy pisarza, szukając możliwych inspiracji, bo bardzo warszawskie partie książki, w których bohater szlifuje doskonale i mniej znane bruki, przypominają prozę Mirona Białoszewskiego.

Nie zmienia to faktu, że choć mamy do czynienia z opowieścią nowoczesną w formie, to zarazem bardzo tradycyjną w treści. Pytanie o tożsamość, o korzenie, o bóle fantomowe po odciętej wschodniej połowie ojczyzny leży przecież w centrum współczesnej polskiej literatury. Strachota po raz kolejny okazuje się przewrotny, gdy bliżej poznajemy losy lubieżnego przodka – to weteran komunistycznej armii Berlinga, która wkraczała na tereny Polski u boku Sowietów (dziadek chrzest bojowy przechodził pod Lenino). Nie jest to typowy bohater literatury wspomnieniowo-kresowej, nieprawdaż? Uspokajam, nie o ideologię w tej opowieści chodzi, to historia na wskroś rodzinna, intymna i w wielu miejscach wzruszająca. Tyle tylko, że czasem wybranym stylem narracji Strachota moim zdaniem wejście w nią utrudnia, zamiast ułatwiać. ©℗

★★★★☆☆

JULIUSZ STRACHOTA „KRÓTKA WYCIECZKA NA TAMTEN ŚWIAT" W.A.B. 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Zwolennik monarchii, lecz przeciwnik tyranii, władca-wojownik broniący granic imperium, a zarazem filozof, lud traktował „nie inaczej, niżby wypadało w wolnym mieście". Przejrzane i uzupełnione wznowienie świetnej biografii.

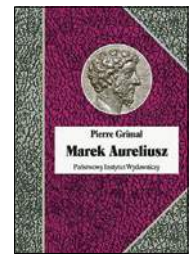

PIERRE GRIMAL „MAREK AURELIUSZ" PIW

Na 30. rocznicę powstania Porozumienia Centrum (przypadła 12 maja br.) ukazał się wybór dokumentów, które nie tylko ukazują program i ewolucję partii, lecz także przede wszystkim wizję Polski według Jarosława Kaczyńskiego.

ADAM CHMIELECKI „NOWE PAŃSTWO" PATRIA MEDIA

Podtytuł: „Bohater współczesnej prozy rosyjskiej i jego światy". Wśród autorów, których pracami zajmuje się filolog UJ, m.in. Ludmiła Ulicka, Władimir Makanin, Michaił Kurajew. Fascynujące, acz dla zaawansowanych.

ANNA SKOTNICKA „SZCZELINA" WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

Nowy tom mistrza horroru zawiera cztery nowele. W opowiadaniu tytułowym pojawia się detektyw Holly Gibney, jedna z postaci powieści „Outsider". King z wiekiem ma coraz mniej oryginalnych pomysłów, ale uwodzi stylem. ©℗

poleca Piotr Gociek

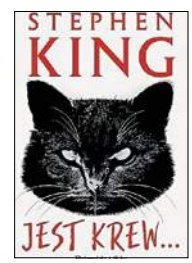

STEPHEN KING „JEST KREW..." PRÓSZYŃSKI I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „DORWAĆ RAMIREZA"

Ramirez jest niemową, która pracuje w fabryce nowoczesnych odkurzaczy. Choć potrafi z zamkniętymi oczami naprawić najbardziej skomplikowany mechanizm, to wszyscy pomiatają cichym poczciwcem. Tyle że Ramirez to w rzeczywistości kiler, i to najlepszy w branży; obecnie ścigany przez policję i ludzi meksykańskiego gangstera oraz zakumplowany z dwoma złodziejkami. Album Petrimaux to orgia barw i śmiało kreślonych kadrów z pełnym humoru, błyskotliwym scenariuszem. Gdyby Quentin Tarantino zamiast kręcić filmy rysował komiksy, to wyszłoby mu właśnie coś takiego. ©℗

NICOLAS PETRIMAUX „DORWAĆ RAMIREZA. AKT I" EGMONT 2020

poleca Piotr Gociek

eprasa.pl a71f128f2c

W pięciu smakach

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Duet w muzyce, duet w życiu. Łucja, a właściwie Qinke Chang, pochodzi z Chin, gdzie odebrała muzyczne wykształcenie i stawiała pierwsze kroki na scenie. Do Polski przyjechała na warsztaty w ramach wymiany studenckiej między Akademią Muzyczną w Łodzi a uniwersytetem z Chengdu. Warsztaty dla chińskich kompozytorów w Domu Pracy Twórczej w Radziejowicach współorganizował Piotr Łabanow. Dzisiaj Łucja i Piotr tworzą duet Pomponika. Prywatnie są małżeństwem.

Zaczynali od grania coverów, ale z czasem zaczęli tworzyć własną muzykę. Jaką? W jednym z wywiadów Piotr mówił: „Nie ma jakiegoś planu, że chcemy dotrzeć np. do nastolatków albo do osób starszych, że mamy jakiś target i nasza muzyka ma być odpowiednia dla niego. Ona jest eksperymentalna i rodzi się sama". W innej rozmowie zaznaczał: „Jesteśmy młodym zespołem, dopiero startujemy, więc sami nie jesteśmy jeszcze w stanie się dookreślić".

Poszukiwania wciąż trwają. Pomponika to mieszanka stylów. Jak mówią: „Nie chcemy określać swojej muzyki i stylu. Lubimy chillout i subtelne brzmienia elektroniczne, czasem jednak potrzebujemy więcej energii [np. najnowszy singiel „Bad Machin" – przyp. R.W.]. Elementy chińskiego popu i folkloru, jazzu i chilloutu przeplatają się ze sobą". Wykorzystują gitary, syntezatory, instrumenty klawiszowe, afrykańskie bębny. Najważniejszym „instrumentem" jest wokal Łucji. Śpiewa po angielsku, chińsku oraz po polsku, co zapewne jest dla niej dużym wyzwaniem, bo polskiego wciąż się uczy.

Pomponika została wyróżniona w organizowanym przez Czwórkę konkursie „Wydaj płytę z Będzie Głośno" i znalazła się na pierwszej składance z tej serii. Sidney Polak ich muzykę określił tak: „Dobrej jakości sofa. Trzeba zasiąść i się zatopić w dźwiękach. Taki chillout". Muzyka tła? W słuchawkach jako nieprzeszkadzający przy pracy zagłuszacz się sprawdza. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kiedy gitara była Bogiem

Ten pięciokompaktowy zestaw wydany z okazji 50-lecia powstania grupy jest najbardziej reprezentatywnym przeglądem kariery jednego z najpopularniejszych i najważniejszych amerykańskich zespołów. Grupy, w której występowali giganci gitary: Duane Allman, Dickey Betts, Warren Haynes i Derek Trucks.

Żaden inny amerykański band w tak nowatorski i płynny sposób, szczególnie na koncertach, nie połączył ze sobą rocka, rhythm & bluesa, jazzu i country, wzbogacając tę hybrydę o zespołową improwizację. „At Fillmore East" z 1971 r. uważany jest za jeden z najlepszych albumów koncertowych w ogóle i uosabia początek stylu zwanego southern rockiem. Jednocześnie historia grupy, zawierająca tragiczne śmierci, toksyczne romanse, narkotyki, bójki, upadki i wzloty zapewne zostanie wykorzystana przez Hollywood.

Piękne wydawnictwo składa się z 61 nagrań, w tym siedmiu nieznanych utworów, i 88-stronicowej książki. Usłyszymy wszystkie z 13 wcieleń grupy, ale oczywiście najwięcej nagrań pochodzi z dwóch złotych okresów zespołu: 1969–1973 i 1990–1995. Dla starych fanów ABB najciekawsze będą płyta pierwsza z niepublikowanymi, studyjnymi nagraniami demo z 1969 r. oraz krążek piąty zawierający pożegnalne koncerty w Beacon Theatre. Uwagę przykuwa niepublikowana wersja słynnego „Mountain Jam" z 1973 r., w której Allmanom towarzyszy trzech gitarzystów: Robbie Robertson, Jerry Garcia i Bob Weir! ©℗

★★★★★★
THE ALLMAN BROTHERS BAND
„TROUBLE NO MORE: 50TH ANNIVERSARY COLLECTION"
MERCURY

★★★★☆☆
SPARKS
„A STEADY DRIP, DRIP, DRIP"
BMG

Weterani z lat 70., bracia Ron i Rusell Mael, wydali 24. album. Zaraźliwe melodie, złośliwe teksty i inteligentna zabawa muzycznymi stylistykami. Stravinsky, Lincoln i iPhone współtworzą świat, który kroczy ku samozagładzie. Mimo to uśmiech nie schodzi nam z twarzy.

★★★★☆☆
ARP LIFE
„KOMPLET 1975–1978"
GAD

Syntezatorowe trio (Korzyński, Święcicki, Śniegocki), wspomagane przez sidemanów i Alibabki, tworzyło muzykę na styku disco i easy listening. Aranżacje na minimooga czy rolanda SH-1000 brzmią dziś uroczo, a nawet inspirująco. Na trzech kompaktach aż 67 nagrań. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

eprasa.pl a71112812

Remontowej sposób

Piotr Soyka prezes GK Remontowa Holding

Czy zróżnicowanie portfela zamówień i budowa statków niskoemisyjnych może być receptą na kryzys w przemyśle stoczniowym? Przykład polskiej grupy Remontowa Holding pokazuje, że tak

Na zdjęciach z Miami widać zacumowane jeden za drugim kilkusetmetrowe, wysokie na kilkanaście pięter wycieczkowce. Te kolosy nie wypłyną z portów co najmniej do 23 lipca, bo amerykańskie Centrum Kontroli i Prewencji Chorób (Centers for Disease Control and Prevention, CDC) do tego dnia rekomenduje zamknięcie dla nich wód terytorialnych USA.

Zamrożenie rejsów wycieczkowych spowodowało brak zleceń na budowę takich jednostek. Jak przewiduje dyrektor niemieckiej stoczni Meyer Werft, czołowego producenta wycieczkowców, nie będzie na nie nowych zamówień do lat 2023–2024. Oznacza to, że europejski przemysł stoczniowy znalazł się w tarapatach. Budowa wycieczkowców przynosiła mu dotychczas 80 proc. przychodów. Kilka stoczni na zachodzie Europy już teraz odnotowało straty sięgające setek milionów euro. Ich kłopoty odbiją się rykoszetem również na polskim przemyśle stoczniowym, który był podwykonawcą przy budowie wielu jednostek, produkując części kadłubów – bloki i sekcje.

Pandemia, która zahamowała transport morski, uderzyła w działalność wszystkich stoczni, nie tylko budujących wycieczkowce. Tyle że z koronawirusem jedni radzą sobie lepiej, inni gorzej. Wśród pierwszych znalazła się Remontowa Holding, do której należą: dwie największe stocznie w Polsce, duże biuro projektowe i kilkunastu producentów wyposażenia morskiego oraz lądowego.

NA PEŁNYCH OBROTACH

– Nasze stocznie wciąż pracują, mając zamówienia od rzetelnych i wypłacalnych klientów, nie grozi nam też zerwanie żadnych kontraktów. Sytuacja jest trudna, ale radzimy sobie i walczymy o nowe zlecenia – mówi Piotr Soyka, prezes Grupy Kapitałowej Remontowa Holding. – Często w przeszłości byłem pytany, dlaczego idziecie tak szeroko. Remonty, przebudowy, wielkie projekty modernizacyjne statków i platform, budowa okrętów i statków różnych typów, w tym wyposażanych w niskoemisyjne napędy… Dziś okazało się, że właśnie ta różnorodność, rozmach kontaktów handlowych i współpraca z setkami armatorów na całym świecie sprawdziły się jako strategia. Dzięki niej jesteśmy bardziej odporni na wahania koniunktury i kryzysy, nawet takie jak obecny – dodaje.

Dywersyfikacja i duża skala działalności w wielu niszach rynkowych okazały się dla grupy swoistą szczepionką na wirusa. Remontowa, która zatrudnia prawie 8 tys. osób i jest największym prywatnym pracodawcą na Pomorzu, nie przerwała działalności, mimo że pandemia utrudnia pracę. Na przykład z powodu zamknięcia granic do stoczni nie mogli przyjeżdżać serwisanci urządzeń instalowanych na statkach, a skutkiem obostrzeń epidemiologicznych było zaprzestanie prób morskich na budowanych jednostkach. Stocznie pracują na pełnych obrotach i z nowymi procedurami bezpieczeństwa w celu zminimalizowania ryzyka zakażenia COVID-19.

eprasa.pl a71f128f2c

na pandemię

Z powodu pandemii liczba zleceń na remonty statków (w 2019 r. było ich prawie 200) się zmniejszyła, niektórzy armatorzy ograniczają zakres prac. Mimo to statki na remonty cały czas wpływają. Co więcej, stocznia pozyskała kilka ciekawych projektów. To m.in. dokończenie budowy dużej pogłębiarki, nieukończonej w stoczni chorwackiej czy przebudowa półzanurzalnej jednostki pływającej, która ma transportować na swoim pokładzie wielką platformę wiertniczą. Liczba kontraktów na nowe statki się nie zmieniła – druga stocznia holdingu buduje dziś 17 jednostek.

STATKI NA GAZ I NA BATERIE

Eksperci z Clarkson Research Services, firmy analitycznej rynku morskiego, szacują, że w wyniku pandemii liczba zamówień na nowe statki spadła na świecie o 75 proc. Ci sami eksperci prognozują jednak, że pandemia może mieć też pozytywne skutki, przyspieszając nieuniknione zmiany w transporcie morskim, a co za tym idzie – w przemyśle stoczniowym. Bo o tym, że musi w nim nastąpić rewolucja technologiczna, wiadomo od dawna. Obecnie transport morski odpowiada za 2,3 proc. globalnej emisji gazów cieplarnianych. Jeden tylko wielki kontenerowiec płynący przez Atlantyk produkuje tyle dwutlenku węgla, ile wszystkie samochody razem wzięte.

Dekarbonizacja, czyli redukcja emisji dwutlenku węgla przez statki, będzie się odbywać etapami. Do 2050 r. emisja CO_2 ma się zmniejszyć o 50 proc. w stosunku do roku 2008. Taki cel, wyznaczony przez Światową Organizację Morską (IMO), jest wspierany przez UE w Europejskim Zielonym Ładzie, czyli strategii Komisji Europejskiej służącej przyspieszeniu walki z globalnym ociepleniem.

Co to oznacza dla przemysłu okrętowego? Przede wszystkim konieczność opracowania i wprowadzenia nowych, bezemisyjnych technologii napędowych, czyli przejście z paliw kopalnych (olejów na bazie ropy naftowej) na nowe nośniki energii, w tym wodór (ogniwa paliwowe). W najbliższej dekadzie coraz więcej statków będzie wyposażanych w napędy niskoemisyjne: LNG (skroplony gaz ziemny) i elektryczne systemy hybrydowe. Od 2030 r. wszystkie nowo budowane statki mają być zeroemisyjne. Po 2050 r. taki wymóg będzie musiała spełniać każda jednostka.

Jeszcze przed pandemią wielu armatorów wstrzymywało inwestycje w nowe statki, poszukując rozwiązań zapewniających ich zgodność z wymogami IMO. Skoro statek jest eksploatowany przeciętnie przez 25–30 lat, to nie opłaca się wydawać pieniędzy na jednostkę wyposażoną w technologię, która szybko stanie się przestarzała, bo taki statek będzie musiał być zezłomowany przed zakończeniem cyklu życia. Według prognoz skutkiem pandemii będzie duży spadek liczby zamówień na nowe statki w ciągu dwóch–trzech lat. Ta luka może jednak przyspieszyć prace nad nowymi rozwiązaniami, aby więcej statków, których budowa rozpocznie się po tym okresie, spełniało nowe wymogi.

Remontowa dawno dostrzegła w tej ekologicznej rewolucji swoją szansę. Jest europejskim liderem w projektowaniu i budowie statków na gaz. W ostatnich 10 latach przekazała 18 statków niskoemisyjnych, 16 zasilanych LNG i dwa elektrycznością. I na tym nie poprzestaje – obecnie buduje cztery promy na baterie i jeden na LNG. Przerabia również statki, przystosowując je do korzystania z ekologicznych paliw. Niedawno stocznia przebudowała dwa wielkie promy kanadyjskie, adaptując je do zasilania LNG. Dzięki temu emisja CO_2 spadła o 25 tys. ton rocznie, czyli tyle, ile dostałoby się do atmosfery z rur wydechowych 5 tys. aut. Kilka lat temu Remontowa wyposażyła szwedzki prom w napęd na metanol. Seryjnie montuje również na statkach systemy obniżające emisje tlenków siarki.

– W najbliższych latach pracy nam nie zabraknie – deklarował na początku roku prezes Remontowa Holding.

Morskiej zielonej rewolucji po prostu nie da się zatrzymać.

Katarzyna Świrydowicz

MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z REMONTOWA HOLDING

eprasa.pl a71f128f2c

Opozycja wykorzystuje wirusa

Z prof. Wojciechem Roszkowskim, historykiem i ekonomistą
rozmawia Marcin Makowski

MARCIN MAKOWSKI: Czy żyjemy dzisiaj w czasach, o których można powiedzieć: „historyczne"?

PROF. WOJCIECH ROSZKOWSKI: Tak, w jakimś sensie są historyczne – podobnych obostrzeń związanych z pandemią nie było jeszcze nigdy. Puste ulice robiły piorunujące wrażenie, bo za nimi idą realne straty w gospodarce.

A obserwując od strony politycznej to, co się dzieje wokół wyborów prezydenckich, również ma pan wrażenie, że na naszych oczach pisze się historia?

Owszem. Mamy do czynienia z bezprecedensowym wykorzystaniem zjawiska spoza polityki, czyli choroby zakaźnej, do celów politycznych. Część opozycji używa jej w jadowity sposób do walki z rządem, a nawet do próby jego obalenia, co jest zjawiskiem unikatowym. Prawie we wszystkich krajach, nawet ostrzej dotkniętych koronawirusem, klasyczne konflikty partyjne ulegają w tej chwili wyciszeniu. Tymczasem w Polsce, gdzie władza dosyć dobrze radzi sobie z sytuacją, przeciwnie.

Przecież partyjne konflikty rozgrywały się ostatnio głównie na łonie Zjednoczonej Prawicy. Zamiast gospodarki przez dwa tygodnie śledziliśmy kulisy sporu wewnątrz władzy.

Myślę, że spór w obrębie Zjednoczonej Prawicy miał bardziej charakter taktyczny niż strategiczny lub programowy. Chodziło o to, jak przygotować wybory w sposób najbardziej bezpieczny i praworządny, by nie dać opozycji żadnego pretekstu do kwestionowania ich wyniku.

Jak ocenia pan tzw. pakt dwóch Jarosławów. Głosowanie hybrydowe na przełomie czerwca i lipca to dobre rozwiązanie?

W sytuacji pandemii i zajadłości walki politycznej trudno o naprawdę dobre rozwiązanie, ale myślę, że jest ono optymalne na dziś.

Widząc, jak ta historia się skończyła, lepiej rozumie pan z perspektywy czasu upór Jarosława Gowina? Ryzykowanie rozpadu rządu miało sens?

W sytuacji tak dużego zagrożenia dla większości parlamentarnej chwiać łodzią w stopniu, który grozi jej zatonięciem... To wyglądało na polityczne ryzykanctwo. Gdyby doszło do przyspieszonych wyborów, nie wiem, czy Jarosław Gowin wyszedłby z nich cało. Skończyło się jednak tak, jak się skończyło.

Słyszałem teorię, że spór Jarosława Gowina z Jarosławem Kaczyńskim to odroczone starcie dwóch wizji uprawiania polityki. Ewolucji i rewolucji. Co pan na to?

Nie sądzę, by były tu aż takie różnice. Oczywiście obydwaj panowie mają inne osobowości i doświadczenia, wydaje się jednak, że to, co wspólne, wygrywa, nawet w sytuacji wielkiego napięcia i zagrożeń.

Kto powinien ponieść polityczną odpowiedzialność za wydrukowanie 30 mln kart wyborczych, które dzisiaj pójdą na przemiał. Premier Morawiecki, wicepremier Sasin, Senat?

Gdyby Senat odrzucił ustawę wyborczą od razu, wybory mogłyby się odbyć 10 maja i kart by nie zmarnowano, tyle że PO poniosłaby straszną klęskę i z pewnością szukałaby wszystkich pretekstów, by wyborów nie uznać. Obecnie PO uzyskała szansę wymiany kandydata, więc nie powinna winić rządzących za zmarnowanie kart. Przecież one idą na przemiał z powodu tej zmiany przez PO.

Zgodzi się pan z tezą, że największym beneficjentem sporu o termin wyboru okazała się ostatecznie Platforma Obywatelska, która mogła zmienić kandydata na prezydenta?

Myślę, że głównym beneficjentem są wyborcy, których wybór, mam nadzieję, nie będzie kwestionowany.

Jak ocenia pan szansę Rafała Trzaskowskiego. Czy lewicujący i liberalny poliglota z Warszawy ma szansę wygrać poza wielkimi miastami?

eprasa.pl a71f128f2c

Poza wielkimi miastami nie wygra, ale pytanie o jego szanse w dużych miastach jest zasadne. Problem jednak w tym, jak ich mieszkańcy ocenią doświadczenia z panem Trzaskowskim, a nie jego działania socjotechniczne – trudno powiedzieć.

Co styl pożegnania się z Małgorzatą Kidawą-Błońską mówi o Platformie? Izabela Leszczyna stwierdziła, że kandydatka okazała się „za uczciwa" jak na polską politykę, a jej start był jak „rzucenie pereł przed wieprze".

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Styl działania nigdy nie był silną stroną Platformy. Słowa pani Leszczyny to jednak wyjątkowy popis bezmyślności i arogancji. Nazywanie wyborców „wieprzami"... Pozostawmy to bez dalszego komentarza. Jak duża jest jednak wyrozumiałość wyborców PO dla jej wybryków – to wielka niewiadoma.

Jej słabość była przyczyną wzrostu popularności Szymona Hołowni? Zdemobilizowany wyborca PO szuka nowego, świeckiego „mesjasza"?

Na to wyglądało – korzystał on z zawiedzionych nadziei wyborców PO. Czy jednak ktoś widział „mesjasza" płaczącego nad konstytucją?

A może on po prostu „ma serce i patrzy w serce", a pan się nie umie wzruszyć?

To raczej kandydat elektoratu skrajnie uczuciowego. Takich pań, które obejrzą „Mam talent" i pocieszą sierotę. Może to jest jakaś nisza i metoda? Natomiast dla tej części wyborców, którzy patrzą na politykę serio i oczekują prezydenta pełnowymiarowego, taki płacz nie rokuje wielkich nadziei. Natomiast kandydatura Trzaskowskiego stawia sprawę na ostrzu noża – mamy albo kandydata cierpiącego, albo sprawiającego ból.

Myśli pan, że jeśli Trzaskowski nie wejdzie do drugiej tury, to właśnie Hołownia założy partię, która zabierze się do rozczłonkowywania Platformy Obywatelskiej?

Jeśli tak będzie, to możliwe, ale teraz taki wynik wydaje się mniej prawdopodobny niż jeszcze dwa tygodnie temu.

Odchodząc nieco od polityki. Czy ten zmienny czas może być dla nas momentem do przewartościowania pewnych idei? Jak pana zdaniem wpłynie na cywilizację Zachodu, której w „Roztrzaskanym lustrze" wieszczył pan stopniowy regres?

Sytuacje nadzwyczajne wyzwalają w ludziach bardzo ambiwalentne postawy. Z jednej strony sięgamy do wartości stałych, takich jak rodzina, wiara, racja i odpowiedzialność. Z drugiej natomiast wzmagają się postawy buntownicze: pandemia pandemią, ale wiele osób chce żyć tak jak dawniej. Wbrew nakazom i zakazom zdejmują maseczki, okazują „obywatelskie nieposłuszeństwo". Co ostatecznie przeważy? Dzisiaj nie umiem ocenić, bo mam głębokie przekonanie, że prędzej czy później wszystko się wyrówna i wróci do normalności. Oby była ona przesunięta bardziej w kierunku odpowiedzialności i empatii. Większych zmian spodziewam się natomiast w obszarze geopolitycznego układu sił.

Zmierzch dominacji Stanów Zjednoczonych?

Jeśli świat zachodni nie zmobilizuje się i nie wystawi Chinom „rachunku" za koronawirusa, który przyszedł przecież z Wuhan, a nie z Nowego Jorku, to właśnie Państwo Środka będzie rosło kosztem słabnięcia Ameryki. Gdy dodatkowo okaże się, że istnieją materialne dowody na poparcie teorii o wirusie, który pochodzi z jednego z laboratoriów epidemiologicznych w Chinach, może to być podstawa do poważnego konfliktu, mam nadzieję, że tylko gospodarczego. Naprawdę niepokoję się geopolityczną zmianą sił.

Niepokoi też pana „metafizyczna zmiana sił"? Kościół przechodzi w czasach pandemii wielką próbę. Msze odprawiane są w telewizji i Internecie, wielu wiernych może już do świątyń, nawet gdy są otwarte, nie wrócić.

To na pewno duża próba dla naszej religijności. Polski katolicyzm jest przywiązany do tradycji i rytualności, ale niekoniecznie płytki. Ponad wszystko jest jednak związany z poczuciem wspólnotowości. Gdyby pandemia miała to doświadczenie osłabić, widzę ryzyko w odpływie wiernych. Co ciekawe, wśród praktykujących, tzw. dominicantes, obserwuje się ogromną tęsknotę za Kościołem – chęć uczestniczenia we mszy, kontaktu z kapłanem. Jestem bardzo ciekaw, czy zaowocuje to stanem, w którym wiernych będzie może mniej, ale będą za to bardziej zaangażowani. Nie można też nie zauważyć świadectwa wiary wielu księży i zakonnic w służbie chorym.

Czy Kościół da sobie radę z dwoma zarazami: tą zdrowotną, ale i duchową, pedofilią. Premiera drugiego filmu dokumentalnego braci Sekielskich pokazuje, że niewiele się od „Tylko nie mów nikomu" zmieniło.

Coś się jednak zmienia. Prymas Polak zareagował błyskawicznie. Chodzi jednak o trudne rozróżnienie krytyki Kościoła za zaniedbania od używania pojedynczych przypadków jako pretekstu do ataku na cały Kościół. Tego rozróżnienia większość wiernych jest raczej świadoma.

Niedawno obchodziliśmy 100. rocznicę urodzin Karola Wojtyły. Co pana zdaniem powiedziałby papież, patrząc na dzisiejszą Polskę?

Pewnie powtórzyłby wiele z tego, co mówił, ale może silniej wybrzmiałyby słowa o podcinaniu korzeni, z których wyrastamy.

Mimo wszystko nie brzmi pan jak optymista.

To nieprawda. Często kreślę ciemne scenariusze, ale nie po to, żeby się zamartwiać, ale po to, aby przestrzegać. Są zagrożenia, na które nie należy zamykać oczu – od zmian cywilizacyjnych i kulturowych do konsekwencji pandemii. Tak widzę swoją rolę: tandetnie nie prorokować, ran nie rozdrapywać, ale mówić, gdzie czai się niebezpieczeństwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Wojciech Roszkowski jest współpracownikiem tygodnika „Do Rzeczy", 3 maja został Kawalerem Orderu Orła Białego.

eprasa.pl a71f128f2c

Papież Franciszek w peruwiańskim Puerto Maldonado uważanym za „bramę do Amazonii", 19 stycznia 2019 r.

FOT. VATICAN MEDIA/POOL/AP/EAST NEWS

Franciszek do rewolucji

Paweł Chmielewski

Liberalni kardynałowie skupieni w grupie z Sankt Gallen silnie wspierali kard. Jorge Maria Bergoglia na konklawe w 2013 r. Argentyńczyk był ich kandydatem także osiem lat wcześniej. Jako papież pokazał, że kardynałowie Martini, Kasper, Danneels, Lehmann i Murphy-O'Connor nie pomylili się, pokładając w nim swoje nadzieje na zbliżenie Kościoła do porewolucyjnego świata

Dla liberalnych kardynałów i biskupów z Europy długi pontyfikat św. Jana Pawła II był pasmem klęsk. Projekty mające w ich zamyśle zmodernizować i przybliżyć Kościół do świata upadały jeden za drugim. W blokowaniu postępowej agendy pierwszorzędną rolę odgrywał prefekt Kongregacji Nauki Wiary, wpływowy kard. Joseph Ratzinger. W połowie lat 90. grupa rozgoryczonych europejskich progresywnych hierarchów zaczęła spotykać się w szwajcarskim Sankt Gallen. Omawiano aktualną sytuację w Kościele i planowano przyszłość. Inicjatywa spotkań wyszła od biskupa miejsca, Ivona Fürera, wieloletniego sekretarza generalnego Rady Konferencji Episkopatów Europy (CCEE). Fürer działał w porozumieniu z arcybiskupem Mediolanu i byłym przewodniczącym CCEE, kard. Carlo Marią Martinim. W 1996 r., na spotkaniu inaugurującym działalność grupy, oprócz Fürera i Martiniego zgromadzili się jeszcze Holender bp Paul Verschuren, Francuz bp Jean Vilnet, Austriak bp Johann Weber oraz dwaj biskupi z Niemiec, Walter Kasper i Karl Lehmann (kardynałowie od 2001 r.). Grupa spotykała się odtąd regularnie aż do 2006 r. Z biegiem czasu kluczową rolę odgrywać w niej zaczęli Martini, Kasper i Lehmann oraz trzej hierarchowie, którzy dołączyli później: prymas Belgii kard. Godfried Danneels, prymas Anglii i Walii kard. Cormac Murphy-O'Connor oraz wpływowy włoski kurialista, kard. Achille Silvestrini. Wśród projektów, o których debatowano, były kwestie kolegialności i decentralizacji, pogodzenia nauczania Kościoła z rewolucją seksualną 1968 r., nowych form kapłaństwa, intensyfikacji ekumenizmu i dialogu międzyreligijnego. Panowało przekonanie, że katolicy muszą głębiej zaakceptować oświecenie. Kardynał Martini wyraził to słynnym pytaniem: „Kościół jest 200 lat do tyłu. Czemu się nie przebudzi? Czego się boi?".

KONKLAWE 2005

W 2015 r. ukazała się autoryzowana biografia kard. Godfrieda Danneelsa napisana przez historyka religii Karima Schelkensa i teologa Jürgena Mettepenningena. Były prymas Belgii określił w niej grupę z Sankt Gallen na poły żartobliwie jako „klub mafijny". Powiedział, że na konklawe w 2005 r. grupa lobbowała za wyborem kard. Jorge Maria Bergoglia na papieża. Wywołało to sensację i pod wpływem krytyki Schelkens z Mettepenningenem wydali oświadczenie, według którego ich tekst został „źle zrozumiany". Tymczasem przebieg wydarzeń wskazuje, że arcybiskup Buenos Aires rzeczywi-

eprasa.pl a71f128f2c

ście cieszył się poparciem szwajcarskiej „mafii". O konklawe z 2005 r. mówią dwie relacje. Według pierwszej z nich na samym początku najwięcej głosów otrzymał kard. Martini, wyprzedzając nieznacznie kard. Ratzingera. Włoch miał się wówczas wycofać, zasłaniając się chorobą – i jego miejsce zajął kard. Bergoglio, który do końca pozostał głównym konkurentem Niemca. Druga relacja jest oparta na dzienniku anonimowego uczestnika konklawe. Prasa w Italii opublikowała ją we wrześniu 2005 r. Jest dużo bardziej szczegółowa. Zgodnie z nią w pierwszym głosowaniu Ratzinger otrzymał 47 głosów. Drugi był Bergoglio z 10 głosami. Nestor grupy z Sankt Gallen miał otrzymać dziewięć głosów i wycofać się, przekazując swoje poparcie Argentyńczykowi. W drugim głosowaniu Ratzingera poparło 65 kardynałów, a Bergoglia 35. Trzecie głosowanie przyniosło wynik 72 do 40. Wreszcie w czwartym Ratzinger został wybrany na papieża – otrzymał ponad 77 głosów (prawdopodobnie 84), a Bergoglio 26. Relacje są dość podobne, ale według drugiej Bergoglio cieszył się poparciem liberałów od samego początku, co koresponduje ze słowami kard. Danneelsa. Relacja uchodzi za wiarygodną; przytacza ją m.in. najnowsza monumentalna biografia Benedykta XVI autorstwa Petera Seewalda, powstająca przy sporym zaangażowaniu emerytowanego papieża.

KONKLAWE 2013

Po ośmiu latach progresiści podjęli drugą próbę umieszczenia na tronie św. Piotra kardynała z Argentyny. W konklawe w 2013 r. nie uczestniczył już kard. Martini, który zmarł rok wcześniej. Głosować mogli jednak kardynałowie Kasper, Danneels i Lehmann, a sędziwy kard. Murphy-O'Connor był w Rzymie w okresie przed konklawe. Starania tych czworga liberalnych purpuratów o wybór Bergoglia opisał brytyjski dziennikarz Austen Ivereigh w biografii Franciszka pt. „Prorok". Książka jest panegirykiem na cześć papieża z Ameryki Łacińskiej, pisanym z liberalnej perspektywy. Według dziennikarza wymieniona grupa czyniła bardzo aktywne zabiegi o poparcie dla Argentyńczyka. W pierwszej edycji książki Ivereigh napisał, że kardynałowie zapytali Bergoglia o zgodę. Ten fragment z drugiego wydania został usunięty – wywoływał zbyt duże kontrowersje, bo świadczył o naruszeniu procedur wyborczych. Reszta relacji pozostała nienaruszona. Według dziennikarza kard. Murphy-O'Connor rozmawiał przed konklawe z Bergogliem, mówiąc mu, że „nadeszła na niego kolej". Ten miał odpowiedzieć: „Rozumiem". Celem grupy z Sankt Gallen, pisze Ivereigh, było zagwarantowanie Bergogliowi przynajmniej 25 głosów w pierwszym głosowaniu, co miało dać mu strategiczną przewagę i zapewnić zwycięstwo. Tym razem się udało. 13 marca 2013 r. Bergoglio został papieżem.

REALIZACJA LIBERALNEJ AGENDY

Pontyfikat Franciszka pokazuje wyraźnie, że liberalni purpuraci nie pomylili się, pokładając w nim swoje nadzieje. Już w pierwszej adhortacji, „Evangelii gaudium", papież zapowiedział plan decentralizacji – odejścia od dotychczasowego modelu sprawowania władzy w Kościele i przydania większych kompetencji – w tym doktrynalnych – episkopatom lokalnym. To dokładnie to, czego oczekiwali członkowie grupy z Sankt Gallen. Działanie tego modelu pokazała zmiana w sprawie rozwodników w nowych związkach – przygotowana we współpracy z „mafią". Oba synody o rodzinie w latach 2014–2015 odbywały się w cieniu książki „Miłosierdzie" kard. Kaspera, którą papież chwalił publicznie zaledwie cztery dni po swoim wyborze, a która przedstawiała ideowe podstawy zmiany podejścia do rozwiedzionych. Na zgromadzenie zaprosił też osobiście kard. Danneelsa, choć ten jako prymas Belgii wspierał legalizację związków homoseksualnych, a w sporze o legalizację aborcji królowi Baldwinowi doradził jednodniową abdykację, umożliwiającą parlamentowi przyjęcie morderczej ustawy. Cel grupy z Sankt Gallen został osiągnięty: adhortacja posynodalna „Amoris laetitia" z 2016 r. zawiera elementy etyki sytuacyjnej i koncepcji autonomii moralnej, co wraz z niejasnym przypisem o sakramentach w życiu rozwodników pozwoliło na rewolucję. Rozwodników dopuszczono do komunii, a bazując na tym, już dwa lata później w Niemczech do Eucharystii dopuszczono też protestantów. To pozwoliło „naprawić" wysiłki ekumeniczne, w poprzednich latach według grupy z Sankt Gallen nader nadwyrężone.

Zwycięstwem liberałów była też „Deklaracja o ludzkim braterstwie", którą w 2019 r. Franciszek podpisał w Abu Zabi wraz z wielkim imamem kairskiego uniwersytetu Al-Azhar. Tekst można uznać za swoistą antytezę deklaracji „Dominus Iesus" o jedyności zbawczej Jezusa Chrystusa, którą w 2000 r. ogłosiła Kongregacja Nauki Wiary kard. Josepha Ratzingera. Progresiści nigdy się z nią nie pogodzili, a biskupi Kasper i Lehmann publicznie wyrażali dla niej głęboką dezaprobatę. Dzięki dokumentowi z Abu Zabi specyficznie rozumiany dialog jest łatwiejszy, bo tekst nie wspomina o Chrystusie, a chrześcijaństwo przedstawia jako równorzędne islamowi i innym religiom. Na swój czas czeka jeszcze koncepcja żonatych księży, viri probati, popierana zarówno przez Martiniego, jak i przez innych członków „mafii". Adhortacja „Querida Amazonia" po Synodzie Amazońskim nie przewiduje wprost takiej możliwości, ale zostawia pole do interpretacji i może zostać wykorzystana do wprowadzenia zmian na szczeblu lokalnym.

JEDNOKIERUNKOWA DROGA

Przemawiając w grudniu 2019 r. do Kurii Rzymskiej, Franciszek wezwał do odważnego akceptowania „epokowej zmiany", która dokonała się w świecie od czasów rewolucji we Francji. Cytując kard. Martiniego, stwierdził, że Kościół jest „opóźniony" o 200 lat względem świeckich społeczeństw. Zmiany wprowadzane przez papieża Bergoglia i liberalnych hierarchów w Europie, Stanach Zjednoczonych i Ameryce Łacińskiej pokazują, że przepaść oddzielająca nauczanie i duszpasterstwo Kościoła od porewolucyjnego świata jest stopniowo zasypywana. Niesie to ze sobą ogromne niebezpieczeństwo. Benedykt XVI w wywiadzie udzielonym w 2018 r. Peterowi Seewaldowi powiedział, że obserwujemy dziś na Zachodzie wykuwanie nowego, antychrześcijańskiego credo, którego istotą jest wywracanie do góry nogami Bożego porządku. Znakiem tego są takie zjawiska jak aborcja, homoseksualne „małżeństwa" czy in vitro. Wcześniej papież Benedykt wielokrotnie przestrzegał przed zjawiskiem „wewnętrznej sekularyzacji" Kościoła, czyli przenikaniem do Winnicy Pańskiej całkowicie niechrześcijańskiego myślenia. Możemy zasadnie pytać, jak daleko w ciągu ostatnich lat zaszedł ten proces, tak silnie wspierany przez progresistów z Sankt Gallen i ich ideowych sprzymierzeńców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Kto wydał rtm. Pileckiego

FOT. NAC

Tadeusz Płużański

Jednym z kapusiów, przez którego wpadli rtm. Witold Pilecki i jego współpracownicy, był wieloletni agent i partyzant sowiecki, w czasie wojny wydający żołnierzy Armii Krajowej na Nowogródczyźnie, a po wojnie kapitan Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego

Niektórzy wsypę grupy rtm. Pileckiego przypisują wyłącznie Leszkowi Kuchcińskiemu. Przed wojną był członkiem Obozu Narodowo-Radykalnego, po 1939 r. – Tajnej Armii Polskiej, która weszła potem w skład Armii Krajowej. W TAP działał razem z Tadeuszem Płużańskim, moim ojcem, który po wojnie był kurierem Pileckiego do II Korpusu gen. Andersa we Włoszech. Kuchciński od końca 1945 r. pełnił funkcję szefa Oddziału Bezpieczeństwa i Służb Politycznych wywiadu Obszaru Centralnego WiN.

Krewniak rotmistrza, Krzysztof Pilecki, w opracowaniu „Był sens walki i sens śmierci" napisał: „W przypadku Witolda Pileckiego i jego bliskich współpracowników siły bezpieczeństwa zastosowały jeden z wypróbowanych sposobów, wprowadzając do organizacji WiN swego agenta Leszka Kuchcińskiego".

Historyk prof. Wiesław Jan Wysocki w prekursorskiej książce „Rotmistrz Pilecki" ujawnił, że agent Kuchciński rozpracowywał grupę „Witolda" przez kilka miesięcy. „Dzięki jego informacjom funkcjonariusze MBP mieli ułatwione zadanie podczas śledztwa". Los Kuchcińskiego nie jest znany. Związana z MBP obrończyni Tadeusza Płużańskiego, Alicja Pintarowa, twierdziła, że „poszedł do piachu".

Wysocki kontynuuje: „Oprócz ewidentnie agenturalnej działalności Leszka Kuchcińskiego, która spowodowała aresztowania, istnieją wyraźne poszlaki dotyczące innych sposobów penetracji siatki »Witolda« przez bezpiekę. Wydaje się, że wokół rotmistrza zaciskały się trzy niezależne pętle aparatu terroru i prędzej czy później doszłoby do wsypy".

KTO BYŁ WALLENRODEM?

Znawcy tematu, prof. Wiesław Wysocki, dr Adam Cyra i dr Tomasz Łabuszewski z IPN, wskazują również na inną osobę. Doktor Łabuszewski w jednym z wywiadów powiedział: „Wacław Alchimowicz [...] został aresztowany 5 maja 1947 r., a więc na cztery dni przed zatrzymaniem Pileckiego, i zdążył już do tego czasu złożyć szczegółowe informacje na temat współpracy z jego grupą".

Kim był? Od 14 maja 1945 r. pracował w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. W 1947 r. pełnił, w stopniu kapitana, funkcję naczelnika III Wydziału V Departamentu MBP. Z grupą Pileckiego nawiązał kontakt przez Kuchcińskiego, który był jego kolegą gimnazjalnym. Przed wojną też należał do ONR.

Wiesław Jan Wysocki tak opisuje grę operacyjną przeciwko Pileckiemu i jego współpracownikom: „Kuchciński – mówiąc językiem oskarżenia – zwerbował w styczniu 1947 r. Alchimowicza do siatki szpiegowskiej WiN. Była to ewidentna

eprasa.pl a71f128f2c

prowokacja. Kuchciński zwierzył się dawnemu koledze, że zerwał z działalnością konspiracyjną. Podjął pracę w MBP, ujawniając swoje związki z podziemiem winowskim. Przekonał Alchimowicza, że powinien postąpić podobnie, choć wszystko wskazuje na to, iż ten ostatni wstąpił do MBP z misją Wallenroda. Oferta Kuchcińskiego stała się dla Alchimowicza pułapką; po referendum [komunistyczny plebiscyt 3 razy „tak"] zaczął dostarczać informacji dla podziemia, nie wiedząc, że jest ono inwigilowane, jednym zaś z konfidentów jest jego przyjaciel".

Profesor Wysocki nie wyklucza jednak, że prowokacja odbyła się w drugą stronę, czyli że to funkcjonariusz MBP Wacław Alchimowicz „grał wyznaczoną rolę" i to on wrobił niewinnego członka Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość Leszka Kuchcińskiego. W takim razie, jeśli ktoś z tych dwóch przedwojennych działaczy narodowych był Wallenrodem, to raczej nieświadomy prowokacji Kuchciński.

Z akt sprawy wynika, że Alchimowicz, pracując w MBP, był cennym informatorem dla grupy Pileckiego. Przekazywał informacje m.in. o sfałszowanym referendum, planach wprowadzenia masowego terroru (również podczas wyborów w styczniu 1947 r.), o strukturze MBP, roli „doradców" sowieckich, o tym, że większość funkcjonariuszy to „kryminaliści" i „analfabeci", o metodach rozpracowania WiN, NSZ, prawdziwych celach amnestii, czyli lepszym rozpracowaniu niepodległościowego podziemia. Alchimowicz opracowywał również listę agentów MBP w PPS i kierowniczych postaci w Wydziale Śledczym MBP, odpowiedzialnych za zwalczanie polskich niepodległościowców (wymieniał przede wszystkim Józefa Czaplickiego, Józefa Różańskiego i Julię Brystigerową).

„WYDAŁ NA SIEBIE WYROK"

Likwidację czołowych funkcjonariuszy bezpieki przewidywał tzw. raport Brzeszczota (jeden z pseudonimów Kuchcińskiego, za jego pośrednictwem raport trafił do Pileckiego, autorem był najprawdopodobniej Alchimowicz, a na pewno od niego pochodziły informacje): „Ich usunięcie zahamuje akcję terroru, a częściowo ją uniemożliwi – ludzie ci są bowiem niezastąpieni. Trzeba liczyć się z psychiką azjatów, którzy będą bezradni, gdy zabraknie im »głowy«, a zostaną tylko ręce". Do likwidacji miano użyć broni, którą „Witold" ukrył po powstaniu warszawskim. Jeden z członków grupy Pileckiego, Makary Sieradzki, twierdził nawet, że planowano zamach na Bieruta.

Historyk dr Adam Cyra w książce „Ochotnik do Auschwitz. Witold Pilecki 1901–1948", pisze: „Raport »Brzeszczota« został przekazany do II Korpusu [...]. Odpowiedzi na ów raport jednak nie otrzymano, natomiast Pilecki nie zamierzał przeprowadzić żadnej akcji terrorystycznej, a nawet nie miał środków na jej realizację. Znamienna w tej sprawie jest wypowiedź Pileckiego z listu, jaki napisał w więzieniu na Mokotowie do Różańskiego: »Po przeżyciach w Oświęcimiu nie umiałbym nikogo zamordować«".

Raport Brzeszczota był zatem prowokacją. Wykorzystano go potem przeciwko Pileckiemu i współpracownikom w trakcie śledztwa oraz procesu. Bezpieka nie oszczędziła również swojego pracownika Wacława Alchimowicza: zasądzoną karę śmierci wykonano 11 lutego 1948 r. Wiesław Wysocki pisze, że „zbyt wiele wiedział o »firmie«, w której pracował, a dając się wciągnąć w prowokację Kuchcińskiego, wydał na siebie wyrok".

WYWIAD DLA NKGB

Z ustaleń Zygmunta Boradyna (książka „Niemen. Rzeka niezgody") wynika, że na początku 1943 r. Wacław Alchimowicz trafił do Brygady im. Leninowskiego Komsomołu, gdzie został dowódcą oddziału. Ten oddział miał charakter wywiadowczo-propagandowy i był komórką NKGB. Rok później (w marcu 1944 r.), decyzją Raduńskiego Podziemnego Komitetu Partyjnego, Alchimowicz został szefem Międzyrejonowego Komitetu Związku Patriotów Polskich. Członkowie oddziału Alchimowicza nadal pracowali na potrzeby wydziału specjalnego Brygady im. Leninowskiego Komsomołu. „Głównym jego zadaniem było prowadzenie wywiadu i propagandy w języku polskim przeciwko AK". 29 czerwca 1944 r. grupa Alchimowicza, licząca 22 osoby, została przekształcona w oddział partyzancki im. Wandy Wasilewskiej.

„Alchimowiczowcy" podawali się za niezależnie działającą strukturę ZPP, nosili mundury WP, co „wprowadziło w błąd wielu miejscowych Polaków, w tym i członków podziemia. Nawet por. Ponury nie od razu zorientował się w rzeczywistych zamiarach i celach grupy »Alchimowicza« i 21 kwietnia w Dejnarowszczyźnie spotkał się z jej członkami [...]. Z tego spotkania Sowieci sporządzili szczegółowe sprawozdanie. Nie zawierało ono informacji o VII batalionie 77. pp AK, lecz przedstawiało poglądy por. Jana Piwnika na stosunek do partyzantki sowieckiej i Niemców".

„PARTYZANCI TO WASI PRZYJACIELE"

Wacław Alchimowicz oddał „ogromne usługi wywiadowi sowieckiemu" – pisze Boradyn. „Dzięki jego pomocy została dokładnie rozpracowana kompania konspiracyjna Wasiliszki. Precyzja informacji uzyskanej przez Sowietów jest przerażająca".

Alchimowicz był np. autorem obszernej notatki służbowej zatytułowanej: „O organizacji białopolskiej na terenie Okręgu Lidzkiego (prawdopodobnie kwiecień–maj 1944 r.), która jest – zdaniem Boradyna – najlepszym ze znanych dokumentów wywiadu sowieckiego dotyczących konspiracji i oddziałów partyzanckich Armii Krajowej na Nowogródczyźnie". W „Notatce" przedstawił historię powstania Okręgu Nowogródzkiego AK, podał pseudonimy i nazwiska członków komendy okręgu i żołnierzy czterech batalionów 77. pp AK. Informował o stosunkach AK-Niemcy, uzbrojeniu jednostek polskich, organizacji dywersyjno-wywiadowczej „Wachlarz".

Alchimowicz redagował ulotki wydane w języku polskim. W jednej z nich „Do braci Polaków" pisał: „Niewinnie czerwona partyzantka nie zabija. Bijemy Niemców, szpiegów niemieckich, zdrajców i bandytów ograbiających ludność. Nie niszczymy grup partyzanckich z nami niewspółpracujących. Napadnięci będziemy bronić się. Od obszarników i faszystów nie zależą granice Polski. Choćby oni wybili wszystkich sowieckich partyzantów, granicę pomiędzy Polską a ZSRR ustali konferencja ZSRR, Anglii i USA. Polacy, nie bójcie się sowieckiej partyzantki, partyzanci to wasi przyjaciele".

W końcu „białopolacy" rozpracowali Alchimowicza i zażądali zaprzestania wrogiej propagandy pod groźbą likwidacji. „Do rozbicia grup – jak pisze Boradyn – jednak nie doszło". Nie zmienia to faktu, że działalność Wacława Alchimowicza służyła interesom obcego mocarstwa, którego celem było zniszczenie Polski.

Kluczowe pytanie brzmi: Dlaczego tych informacji nie mieli potem WiN ani Witold Pilecki?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Spotkanie Józefa Piłsudskiego i Symona Petlury w Winnicy 1920 r. FOT. WIKIPEDIA

Stracona szansa

Mirosław Szumiło

„Wyprawa kijowska" stanowiła próbę realizacji dalekosiężnych planów Józefa Piłsudskiego, który dążył do maksymalnego osłabienia Rosji i uczynienia z Polski regionalnego mocarstwa. Z powodu kilku kardynalnych błędów zakończyła się porażką

W listopadzie 1917 r., po przewrocie bolszewickim w Rosji, w Kijowie proklamowano utworzenie niezależnego państwa – Ukraińskiej Republiki Ludowej (URL), która w lutym 1918 r. oddała się faktycznie pod niemiecki protektorat. Od listopada 1918 r. państwo ukraińskie musiało walczyć na trzech frontach – z odrodzoną Polską, bolszewikami i białymi Rosjanami. Jego przywódca – główny ataman Symon Petlura – dążył do porozumienia z Polską jako potencjalnym sprzymierzeńcem w wojnie z bolszewikami. Sytuację komplikowało jednak to, że 1 listopada 1918 r. na terenie austriackiej Galicji Wschodniej powstało drugie państwo ukraińskie – Zachodnio-Ukraińska Republika Ludowa (ZURL), toczące walkę przeciwko Polsce.

Z polskiej strony Naczelnik Państwa Józef Piłsudski dążył do odbudowy silnej Rzeczypospolitej za pomocą koncepcji federacyjnej. Dotyczyła ona ziem Litwy i Białorusi (czyli byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego), które miały wejść w skład wspólnego państwa. Ukraina miała być natomiast niepodległym państwem, ale związanym z Polską ścisłym sojuszem. W opozycji do programu Piłsudskiego stała nacjonalistyczna koncepcja Romana Dmowskiego, odrzucająca wielonarodową Rzeczpospolitą na rzecz etnicznej, czyli mniejszej „Polski dla Polaków".

„BOLSZEWIKÓW TRZEBA POBIĆ"

Piłsudskiego i Petlurę połączył przede wszystkim wspólny wróg. Obydwaj uważali Rosję – zarówno „czerwoną", jak i „białą" – za główne zagrożenie dla niepodległości Polski i Ukrainy. Naczelnik Państwa starał się realizować swój plan przebudowy stosunków na wschodzie Europy, którego zasadniczym celem było stworzenie przeciwwagi dla Rosji, w jakiejkolwiek formie by się ona wyłoniła z wojny domowej. Jak trafnie zauważył Andrzej Nowak: „Kluczowe miejsce w tej akcji zarezerwowane było naturalnie dla Ukrainy, której trwałe usamodzielnienie, odseparowanie od Rosji, miało być najpewniejszym zabezpieczeniem przed możliwością imperialnej recydywy Moskwy".

Podjęcie współpracy było możliwe dopiero po zakończeniu polsko-ukraińskiej wojny o Galicję Wschodnią w lipcu 1919 r. Jednakże wtedy na przeszkodzie stanęła ofensywa białych Rosjan gen. Antona Denikina, którzy nacierali z południa Ukrainy w stronę Moskwy. Denikin dążył do odbudowy Wielkiej Rosji, odrzucając zupełnie niepodległość Ukrainy i polską obecność na wschód od Bugu.

W tej sytuacji Piłsudski latem 1919 r. wstrzymał ofensywę Wojska Polskiego, zawierając rozejm z bolszewikami. Uważał, że po klęsce białej Rosji to Rzeczpospolita wyrośnie na strategicznego sojusznika Francji w Europie Wschodniej. Na początku 1920 r. niemal całą Ukrainę zajęła Armia Czerwona. Władze Ukraińskiej Republiki Ludowej schroniły się na terenach zajętych przez Polskę. Zima została wykorzystana przez Polskę i Rosję bolszewicką jako okres intensywnych przygotowań do rozstrzygającej konfrontacji zbrojnej.

Bolszewicy proponowali wówczas Polakom rozmowy pokojowe, ale była to tylko zasłona dymna. Jednocześnie szykowali się bowiem do wielkiej ofensywy na zachód. Chcieli rozszerzyć pożar rewolucji na całą Europę. Piłsudski postanowił uderzyć wyprzedzająco. Wiedział o koncentracji głównych sił Armii Czerwonej na Białorusi, ale nie zrezygnował z planu ofensywy na Ukrainie. Jego celem było możliwie szybkie opanowanie Kijowa i sformowanie armii ukraińskiej, która przejmie na siebie front południowy i pozwoli przerzucić główne siły polskie na północ.

Przyczyny swojego postępowania tłumaczył następująco: „... bolszewików trzeba pobić i to niedługo, póki nie wzrośli w siłę. [...] Kijów, Ukraina, to jest ich czuły punkt. Z dwóch powodów: po pierwsze, Moskwa bez Ukrainy będzie zagrożona głodem; po drugie, jeśli zawiesimy nad nimi groźbę zorganizowania się niepodległej Ukrainy, to tej groźby oni nie będą mogli zaryzykować i będą musieli pójść na walną rozprawę".

Tajne rokowania polsko-ukraińskie zakończyły się w nocy z 21 na 22 kwietnia 1920 r. podpisaniem w Warszawie „umowy politycznej pomiędzy Polską i Ukraińską Republiką Ludową". Polska uznała prawo Ukrainy do niezależnego bytu państwowego. Jej zachodnią granicę wyznaczono wzdłuż rzeki Zbrucz i dalej

eprasa.pl a71f128f2c

na północ do Prypeci, pozostawiając po polskiej stronie całą Galicję i większą część Wołynia. Oba rządy zobowiązały się nie zawierać żadnych umów międzynarodowych skierowanych przeciwko sobie.

Rozpoczęta 25 kwietnia ofensywa sprzymierzonych wojsk polskich i ukraińskich rozwijała się bardzo pomyślnie. 26 kwietnia w zdobytym Żytomierzu Piłsudski wydał odezwę do mieszkańców Ukrainy. Następnego dnia przepołowiono front bolszewicki pod Berdyczowem, biorąc przy tym masę jeńców i sprzętu wojskowego. Po tym sukcesie natarcie zostało jednak wstrzymane na 10 dni. Kolejne uderzenie trafiło już w próżnię, ponieważ przeciwnik wycofał się za Dniepr. 7 maja oddziały 3. armii gen. Śmigłego-Rydza zajęły opuszczony Kijów.

W „wyprawie kijowskiej" brały udział tylko dwie słabe liczebnie dywizje ukraińskie. Duże wsparcie dla nacierających wojsk polskich stanowił jednak ukraiński ruch partyzancki („petlurowszczyzna"). Józef Piłsudski pisał: „Ze wszystkich stron donoszą mi o różnego rodzaju oddziałach, które powstają i powstały przed naszym frontem, napadają na cofających się bolszewików, rozbijając ich. Niekiedy oddziały takie dochodzą w swej liczbie do 5–6 tysięcy uzbrojonych ludzi. Niektóre z tych oddziałów meldują się u naszych dowódców, prosząc o rozkazy, wskazówki i ewentualną pomoc".

Na wyzwolonych terenach Ukrainy, na zachód od Dniepru, zaczęto ponownie organizować struktury państwowe Ukraińskiej Republiki Ludowej. Państwo to miało wówczas szansę na uznanie ze strony Francji, pod warunkiem ustabilizowania sytuacji i sformowania silnej armii. Niestety, zabrakło na to czasu.

Bolszewicy przechytrzyli Polaków, rozpoczynając 14 maja 1920 r. ofensywę na Białorusi. Została ona powstrzymana, ale kosztem przerzucenia tam polskich odwodów. Tymczasem 5 czerwca bolszewicka 1. armia konna Siemiona Budionnego przełamała linię frontu na południe od Kijowa i wyszła na tyły wojsk polskich. W tej sytuacji gen. Śmigły-Rydz nakazał opuszczenie Kijowa i wycofał się na zachód. Ocalił swoje wojska, lecz nie wykonał rozkazu Piłsudskiego, który życzył sobie rozstrzygającego starcia z konnicą Budionnego. „Wyprawa kijowska" zakończyła się porażką.

W polskiej literaturze najczęściej obwinia się za tę porażkę stronę ukraińską. Odezwa Symona Petlury, wzywająca do ochotniczego wstępowania w szeregi wojska ukraińskiego, spotkała się bowiem z bardzo słabym zainteresowaniem społeczeństwa. Chłopi ukraińscy, słabo uświadomieni narodowo i zmęczeni wyniszczającą wojną, z jednej strony tęsknili za władzą, która zaprowadzi w terenie spokój i porządek, a z drugiej w znacznej części ulegali bolszewickiej propagandzie, straszącej powrotem „polskich panów" i odebraniem rozparcelowanej ziemi. Oddziały powstańcze, dowodzone przez lokalnych atamanów, nie bardzo chciały podporządkowywać się dyscyplinie w ramach regularnej armii.

Duży wpływ na postawę ludności ukraińskiej wywierało zachowanie Polaków. Komendanci wojskowi nie kwapili się z przekazywaniem władzy w terenie Ukraińcom. Większość oficerów, pamiętająca walki toczone przeciwko Ukraińcom w Galicji oraz będąca pod wpływem poglądów endeckich, nie rozumiała potrzeby sojuszu z Petlurą. Pisał o tym Piłsudski w liście do premiera Skulskiego: „Wojsko staje się ciężarem coraz większym, drażniącym ludność i wzbudzającym coraz nie przyjaźniejsze uczucia".

Główną przyczyną niepowodzenia całej operacji były jednak błędy popełnione przez polskie dowództwo: najpierw wstrzymanie ofensywy kwietniowej przez 10 dni, a później zła organizacja obrony zdobytych terenów. Decydujące przełamanie linii frontu przez 1. armię konną Budionnego było skutkiem przyjęcia przez stronę polską błędnej koncepcji rozmieszczenia wojsk (ugrupowanie kordonowe bez odwodów), chaosu w dowodzeniu, a przede wszystkim niedoceniania możliwości przeciwnika.

Kardynalnym błędem, właściwie grzechem zaniechania, było bardzo powolne organizowanie wojska ukraińskiego, przez co zmarnowano czas. W czerwcu 1920 r. armia URL osiągnęła stan zaledwie 21 tys. żołnierzy i oficerów. Z powodu opieszałości administracji polskiej i ukraińskiej na wyzwolonych terenach nie ogłoszono na czas powszechnej mobilizacji do wojska. Nie zrobiono tego nawet w sześciu powiatach Podola, które przed 25 kwietnia 1920 r. były już w polskich rękach. W ten sposób nie wykorzystano doskonałej szansy na powiększenie armii URL o dodatkowe 20 tys. żołnierzy, którzy mogliby wyruszyć na front już w czerwcu.

Podczas odwrotu na zachód armia ukraińska, pod dowództwem gen. Mychajły Omelianowycza-Pawłenki, broniła południowego odcinka frontu w okolicach Kamieńca Podolskiego. W sierpniu wycofała się za Dniestr. Otrzymała rozkaz obrony 150-kilometrowego odcinka tej rzeki od granicy rumuńskiej aż do rejonu Mikołajowa (na południe od Lwowa). Tymczasem wydzielona 6. dywizja strzelców siczowych płk. Marka Bezruczki wycofywała się w składzie polskiej 3. armii, najpierw na Wołyń, a potem na Lubelszczyznę. W końcu sierpnia 1920 r. płk Bezruczko dowodził bohaterską obroną Zamościa przed armią konną Budionnego.

Jesienią 1920 r., po polskim zwycięstwie w Bitwie Warszawskiej oraz późniejszym rozgromieniu bolszewików w bitwie nad Niemnem, pojawiła się druga szansa na realizację koncepcji Piłsudskiego. Armia Czerwona cofała się w rozsypce, a droga na wschód praktycznie stała otworem. Niestety, społeczeństwo polskie miało dość wojny i nie rozumiało dalekosiężnych planów Naczelnika Państwa. Jak to określił Stanisław Cat-Mackiewicz: „Za bitwę sierpniową dziękowało Bogu, za wyprawę kijowską złorzeczyło Piłsudskiemu".

KONIEC SOJUSZU

O dalszych losach sojuszu polsko-ukraińskiego przesądziły decyzje zapadłe podczas polsko-bolszewickich rokowań pokojowych w Rydze. Już na pierwszym posiedzeniu 21 września 1920 r. przewodniczący polskiej delegacji Jan Dąbski uznał pełnomocnictwa przedstawiciela Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Było to równoznaczne ze złamaniem polsko-ukraińskiej umowy sojuszniczej z 22 kwietnia. Działania wojenne zostały przerwane 18 października, gdy wszedł w życie układ rozejmowy. Licząca 40 tys. żołnierzy armia ukraińska samotnie kontynuowała walkę na Podolu do 21 listopada. Pod naporem bolszewików wycofała się za Zbrucz i znalazła się w polskich obozach internowania.

Podpisany 18 marca 1921 r. polsko-sowiecki traktat pokojowy w Rydze oznaczał de facto porażkę planów Piłsudskiego. Wielkie zwycięstwo militarne zostało w dużej mierze zaprzepaszczone politycznie, gdyż nie powstało państwo ukraińskie. Sojusz Piłsudski-Petlura jest dziś ważnym elementem łączącym Polaków i Ukraińców. Odwołują się do niego wszyscy zwolennicy współpracy, kierując się tokiem rozumowania Piłsudskiego: niepodległość Ukrainy osłabia Rosję i wzmacnia bezpieczeństwo Polski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN, doktorem habilitowanym, profesorem UMCS w Lublinie.

eprasa.pl a71f128f2c

Z Piotrem Bojarskim, pisarzem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Podróże za wszelką cenę

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Egotyk, dusigrosz, despota, lowelas, oportunista – odbrązowia pan symbol naszej literatury podróżniczej.

PIOTR BOJARSKI: Aż tak bym nie powiedział. Raczej go uczłowieczam. Dotychczas o Arkadym Fiedlerze ukazywały się jedynie drobne przyczynki – z reguły poświęcone jego twórczości, czasem podróżom. Nikt jednak wcześniej nie zabrał się do nakreślenia postaci człowieka, jakim był pisarz-globtroter. A – wbrew swoim książkom – wcale nie był aż takim macho, na jakiego pozował. Był człowiekiem pełnym wahań, wątpliwości. Ale też zorientowanym na osiąganie głównego celu: możliwości podróżowania po rejonach świata dla przeciętnego Polaka wówczas niedostępnych – czy to przed wojną, czy też po niej.

Status PRL-owskiego celebryty spłacał trybutem?

Przystał, by zostać jedną z twarzy Polski Ludowej za granicą. To była niewątpliwie cena, którą zapłacił za możliwość kontynuacji swojej pasji. W zamian za wizę służbową do Brazylii, pozwalającą mu docierać w głąb tego kraju, odbył na przykład wiele pogadanek dla tamtejszej Polonii, podczas których wychwalał „burzliwy rozwój PRL" i warunki pracy, jakie rzekomo stworzono tam ludziom kultury. Fiedler zabierał głos, gdy władza potrzebowała wsparcia: na przykład przed kolejnymi fasadowymi wyborami albo w marcu 1968 r., kiedy w opublikowanym na łamach prasy liście pochwalił towarzysza „Wiesława" za rozpędzenie „wichrzycieli".

Wiedział, że kiedy poprze władzę, ta wesprze jego kolejne projekty wyjazdowo-książkowe. Do żadnej partii jednak nigdy nie wstąpił, a do Patriotycznego Ruchu Ocalenia Narodowego wciągnął go Jan Dobraczyński po telefonicznej rozmowie z Fiedlerem, który był po udarze i nie do końca już rozumiał, o czym mowa.

„Rękojmię dobrego jutra" dał Arkademu Fiedlerowi, powracającemu do kraju w 1948 r., Jerzy Borejsza?

Owszem. Specjalnie pofatygował się do niego do Londynu, gdzie zapewnił go solennie, że będzie wydawany w komunistycznej Polsce. I tak rzeczywiście przez pierwsze dwa–trzy lata było. Proszę sobie wyobrazić, że do 1948 r. „Dywizjon 303" figurował na liście lektur w polskich szkołach! Pisarz miał podstawy sądzić, że Borejsza dotrzyma słowa, lecz radykalizujący się komunizm wybił mu szybko te marzenia z głowy.

Wkrótce jego twórczość wyrugowano ze szkół i bibliotek, a on musiał walczyć o zaufanie...

... i o utrzymanie się pośród autorów wydawanych w Polsce Ludowej. Dlatego wraz z innymi literatami wspierał inicjatywy polityczne komunistów na arenie międzynarodowej, ale również złożył swoistą samokrytykę. Przyznał mianowicie, że w dotychczasowej twórczości zbyt często zachwycał się krajami kolonialnymi, pomijając los tamtejszych ludzi pracy. Zaczął też przerabiać niektóre książki w duchu socrealistycznym, ale recenzenci nie byli zachwyceni. Zarzucali mu nieszczerość.

Od kontyngentów (w 1951 r. Gminna Rada Narodowa zobowiązała go – właściciela niemal półhektarowej działki – do „dostarczenia do skupu 27 kilogramów trzody chlewnej mięsno-słoninowej oraz 110 litrów mleka") i innych szykan uratowali go komunistyczni dygnitarze?

Izabelę Gelbard poznał przed wojną podczas dziewiczego rejsu „Batorym". Wtedy była żoną zamożnego przemysłowca, próbowała nawet nawiązać z pisarzem romans, lecz nic z tego nie wyszło. Po wojnie, już jako Izabela Czajka, została prominentną postacią Milicji Obywatelskiej. To prawdopodobnie ona spowodowała, że Urząd Bezpieczeństwa przestał inwigilować rodzinę Fiedlerów w domu w Puszczykówku.

Wiktora Grosza też spotkał u schyłku lat 30. w Warszawie, przed wyjazdem na Madagaskar. Grosz był wtedy tłumaczem, a po wojnie mianowano go generałem i wiceministrem spraw zagranicznych. Uratował willę przeznaczoną dla Fiedlera od zakusów miejscowego starosty.

Najtrudniejszy czas przetrwał dzięki spotkaniom autorskim oraz ucieczce w wyobraźnię?

Bardzo tęsknił za wyjazdami i w jakiś sposób zrekompensowały mu to setki podróży po Polsce, zorganizowanych przez kolegów literatów. Na początku lat 50. Fiedler spotykał się z dziesiątkami tysięcy czytelników. Te specyficzne „wieczory autorskie" często odbywały się

eprasa.pl a71f128f2c

w zatłoczonych, zimnych halach fabrycznych. Budował wytrwale swój mit.

Jak to możliwe, że przespał poznański Czerwiec, skoro wcześniej dowiódł patriotyzmu i odwagi, choćby udziałem w powstaniu wielkopolskim?

28 czerwca 1956 r. spędził na wersalce u kolegi. Powód? Dzień wcześniej wystąpił do władz o środki na pierwszy po latach posuchy wyjazd za granicę – do Wietnamu. Czuł, że wreszcie dostanie szansę powrotu na szlaki, i wolał się nie wychylać.

Dlaczego właśnie jemu polski rząd zlecił podczas drugiej wojny światowej pokrzepienie piórem serc rodaków?

Ponieważ zgłosił się do gen. Władysława Sikorskiego z taką propozycją. I był zaskoczony, że okazał się pierwszy. Naczelny wódz, znając przedwojenną sławę pisarza, chętnie przystał na zlecenie mu zadania napisania reportażu sławiącego wyczyny polskich pilotów na angielskim niebie w 1940 r. A książka „Dziękuję ci, kapitanie”, sławiąca dokonania naszych marynarzy, stała się konsekwencją kolosalnego powodzenia „Dywizjonu 303”.

Obie powieści rozsławiły nasz oręż, zyskały olbrzymią popularność, lecz i przysporzyły Fiedlerowi wrogów.

Miał zatarg, sprawę honorową przed sądem. Poszło o obraźliwy passus autorstwa Janusza Meissnera na temat wizyt Fiedlera u pilotów. Meissner był zazdrosny, że to Fiedler pisze ten reportaż, i wyraził obawę, czy będzie on dobry. Tekst poszedł na łamach „Polski Walczącej”, której redaktorem naczelnym był Tymon Terlecki. W odpowiedzi na to Fiedler nie podał dłoni Terleckiemu podczas jednego ze spotkań. Ten wytoczył mu sprawę przed sądem honorowym. Fiedler przegrał, został uznany winnym okazania dyshonoru Terleckiemu, ale pokazał, że nie godzi się na takie traktowanie. Po wojnie Fiedler i Meissner nie cierpieli się, stronili od siebie jak zwaśnieni sąsiedzi.

Arkady Fiedler wszystkie wyprawy opłacał głównie z własnej kieszeni

FOT. NAC

Przeczulenie na krytykę, skutkujące sporami z wydawcami i interwencją u szefów poznańskiego Komitetu Wojewódzkiego PZPR – towarzyszy Stefana Olszowskiego, Jana Szydlaka i Kazimierza Barcikowskiego – brało się z poczucia niedowartościowania (nieuzasadnionego, zważywszy na przeszło 10-milionowe nakłady i tłumaczenia na 23 języki!) twórcy „trzygroszowych reportaży” – jak określił go Jarosław Iwaszkiewicz?

Zdecydowanie tak. Autor „Kanady pachnącej żywicą” ciągle uważał, że nie jest dostatecznie dostrzegany i chwalony. Potrafił zamęczać adwersarzy rozwlekłymi epistołami, punktującymi własne zasługi, skądinąd nie tylko zresztą literackie. O niebotycznym ego pisarza wspominają jego wydawcy. Wśród kolegów pisarzy nie był specjalnie lubiany. Sam miał do nich żal, że nie przyszli mu w sukurs, gdy podczas jednego ze spotkań Związku Literatów Polskich totalnie skrytykowano fragmenty jego nigdy nieukończonej książki o Meksyku.

Kto finansował mu podróże?

Wszystkie wyprawy opłacał głównie z własnej kieszeni. Kiedy wyjeżdżał w 1937 r. na Madagaskar, by zbadać tam możliwości polskiego osadnictwa, nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych pokryło jedynie część kosztów. Także w czasach PRL musiał za własne środki kupować dewizy niezbędne do podróży. W Instytucie Pamięci Narodowej nie znalazłem żadnych dokumentów potwierdzających hipotezę, że pisarz mógł świadczyć usługi polskiemu wywiadowi.

Erotyczne fragmenty tekstu Fiedlera zjednoczyły w krytyce „Tygodnik Powszechny” z... „Kuźnicą”!

Chodziło o publikowaną w odcinkach na łamach „Przekroju” książkę pt. „Radosny ptak drongo”, gdzie autor dość odważnie opisał swoje relacje intymne z dwoma malgaskimi żonami. Obie od niego uciekły po nocy poślubnej, ponieważ pisarz używał prezerwatyw, a one marzyły o dziecku z białym mężczyzną... Na Fiedlera spadła umoralniająca krytyka z lewa i z prawa. Pod jej wpływem mocno ocenzurował kolejne wydania książki, jak i tenże fragment w powieści „Gorąca wieś Ambinanitelo”.

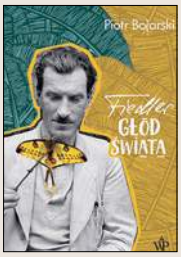

PIOTR BOJARSKI „FIEDLER. GŁÓD ŚWIATA” WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE 2020

À propos pań: usiłowała go usidlić Zofia Stryjeńska, lecz bezskutecznie, bo preferował cudzoziemki?

Był mężczyzną szalenie kochliwym. Można przypuszczać, że najbardziej pociągały go egzotyczne piękności o ciemnej karnacji. Jego bodaj największą zamorską miłością była Malgaszka Kintana, poznana podczas wyprawy na Madagaskar, którą pisarz odbył w latach 1937–1938. Tak zawróciła mu w głowie, że powróciwszy po niemal trzech dekadach na tę wyspę, odszukał swoją niegdysiejszą sympatię. Przedstawiła mu nawet swoją córkę.

W roli męża zawiódł, w roli ojca – przeciwnie.

U schyłku przeszło 40-letniego związku z włoską żoną żył w cichej separacji. Zadbał o rozwój i wykształcenie synów. To pod jego wpływem zaczęli pisać i można nawet powiedzieć, że w pewnym sensie zaprogramował ich życie. Jego syn Arkady Radosław podróżuje do Ameryki Południowej i pisze książki, z kolei syn Marek prowadzi jako kustosz Muzeum i Pracownię Literacką Arkadego Fiedlera w Puszczykowie. Tradycję globtroterską kontynuują także wnukowie. Córka pisarza z przedwojennego małżeństwa umarła w dzieciństwie, syn z nieprawego łoża zaś, Marek, lekarz, też już nie żyje.

Miejscem na ziemi stał się dlań prezent od Polski Ludowej?

To nie był podarunek. Za poniemiecką willę Arkady Fiedler musiał słono zapłacić. Ogromną kwotę rozbito mu na 25 rocznych rat. Ostatnią spłacił już po śmierci pisarza jego syn.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Piotr Bojarski – pisarz, dziennikarz, autor wziętych powieści historycznych i kryminalnych oraz tomów reportaży, m.in.: „Cztery twarze Prusaka”, „Poznaniacy przeciwko swastyce”, „1956. Przebudzeni” i „Fiedler. Głód świata”.

eprasa.pl a71f128f2c

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Katyń oczami Niemców

Bezcenną, a jednocześnie porażającą publikację wydał IPN. To oficjalne materiały śledztwa prowadzonego w Katyniu przez władze niemieckie. Po raz pierwszy materiały te ukazały się w Berlinie w 1943 r. nakładem Centralnego Wydawnictwa NSDAP.

W środku znalazły się protokoły przesłuchań świadków masakry polskich oficerów. Raport z odkrycia grobów. Obszerne i szczegółowe sprawozdanie kierującego pracami ekshumacyjnymi prof. Gerharda Buhtza. Fachowe opisy dowodów rzeczowych i ciał polskich męczenników bestialsko pomordowanych przez bolszewickich oprawców.

W książce znalazły się również analizy ówczesnych relacji polsko-sowieckich i polsko-anglosaskich, sporządzone przez niemieckich analityków. Z przykrością należy stwierdzić, że ich przewidywania w sprawie powojennego losu Polski i sojuszniczej „wierności" Anglii były znacznie bardziej realistyczne niż oderwane od rzeczywistości, hurraoptymistyczne iluzje premiera Mikołajczyka i jego ministrów.

„U wielu ofiar – czytamy w raporcie prof. Buhtza – stwierdzono, że ich skrzyżowane na plecach ręce zostały związane. Osoby spętane to przeważnie młodsi oficerowie i chorążowie, którzy w przeciwieństwie do starszych najwidoczniej do ostatniej chwili stawiali opór lub podejmowali próby ucieczki. Technika wykonania więzów jest w setkach wypadków taka sama, szablonowa. Ręce konsekwentnie były wiązane przy użyciu plecionego, produkowanego fabrycznie, bezbarwnego sznura do firan lub zasłon o grubości 3–4 mm. Pęta wykonywano w taki sposób, aby przy próbie odsunięcia rąk od siebie więzy automatycznie się zaciskały. Początkowo musiały być bardzo ciasne, na co wskazują głębokie bruzdy po sznurze, wrzynające się w skórę pomiędzy kośćmi przedramienia a nadgarstka.

Większość zwłok wydobytych z grobu nr 5 oprócz związanych rąk miała zawinięte głowy. Ofiarom zakładano na głowę płaszcz wojskowy, względnie kurtkę czy bluzę mundurową w taki sposób, aby tył płaszcza czy bluzy zakrywał twarz. Poły zapinano z tyłu głowy i na plecach oraz mocno związywano na szyi takim samym sznurem, jaki służył do wiązania rąk". Oto potwór bolszewizmu w pełnej krasie. ©℗

★★★★★★
„NIEMIECKI URZĘDOWY MATERIAŁ W SPRAWIE MASOWEGO MORDU W KATYNIU"
RED. ADAM BOSIACKI, IPN 2020

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Na zamku w Chęcinach

Polski parlamentaryzm ma znacznie dłuższą historię, niż to się powszechnie uważa. Jego początki sięgają nie drugiej połowy XV w., ale czasów Władysława Łokietka. Król nie miał zresztą wyboru, rządził z woli rycerstwa zjednoczonych dzielnic, zatem w wielu kwestiach musiał zabiegać o jego zgodę. Dlatego też zwoływał zjazdy czy też wiece, a najważniejszy z nich, obejmujący rycerstwo ze wszystkich terenów podporządkowanych władzy króla, rozpoczął obrady w Chęcinach 26 maja 1331 r. Datę tę można uznać za początek polskiego parlamentaryzmu.

Jagiełło uwięził na zamku kilku rycerzy, których posądzał o romans ze swoją ostatnią żoną

Łokietek miał o czym dyskutować ze swoimi poddanymi. Sytuacja międzynarodowa była skomplikowana, niebawem kończył się rozejm z Krzyżakami, a zakon i Czechy współpracowały ze sobą. Każdy z tych przeciwników był znacznie silniejszy od Łokietka, a na domiar złego król Czech wysuwał pretensje do polskiej korony. Książęta śląscy i mazowieccy niechętnie patrzyli na wywyższenie krewniaka i nie uznawali jego zwierzchnictwa. Nie było jednak wyboru i zapadła decyzja o kontynuacji wojny z Krzyżakami, której kulminacyjnym momentem była bitwa pod Płowcami.

Przy okazji zajęto się również sprawami wewnętrznymi, zapowiedziano ujednolicenie prawa i sądownictwa w dawnych dzielnicach oraz zdecydowano o biciu wspólnej monety. Uchwalono również, że królewicz Kazimierz obejmie rządy w imieniu ojca w Wielkopolsce. Kazimierz, gdy przejął władzę w kraju, znalazł jednak inne przeznaczenie dla zamku w Chęcinach. Przekazał go swojej nielubianej drugiej żonie, Adelajdzie Heskiej, z sugestią, by raczej zamku nie opuszczała. Król prowadził bowiem bardzo swobodny tryb życia i zazdrosna żona mu w tym przeszkadzała. Do Chęcin z opóźnieniem docierały też informacje z Krakowa, a warto pamiętać, że Kazimierz miał na sumieniu nie tylko utrzymywanie wielu nałożnic, lecz także podwójną bigamię potwierdzoną ślubami kościelnymi. Nic dziwnego, że wolał, by żona przebywała daleko od jego stolicy.

Władysław Jagiełło wykorzystywał zamek w Chęcinach jako więzienie, osadzając tam przeciwników, wśród których znalazł się też jego starszy brat. Z kolei po bitwie pod Grunwaldem w murach budowli przetrzymywano wziętych do niewoli rycerzy krzyżackich, czekając, aż zakon zapłaci za nich okup. Pod koniec życia zaś król uwięził na zamku kilku własnych rycerzy, których posądzał o romans ze swoją ostatnią żoną, młodszą o ponad 50 lat Sonką Holszańską. Ale to już zupełnie inna historia. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

Prefabrykacja – sposób na nowoczesne zarządzanie procesem budowy

Ma to być skuteczny sposób, by wreszcie budować szybciej, taniej i lepiej. Nie tylko w ramach programu „Mieszkanie Plus". Właśnie powstała spółka ARP Prefabrykacja Sp. z o.o., której wspólnikami są Agencja Rozwoju Przemysłu i HM Factory Sp. z o.o., czyli nowoczesna fabryka elementów prefabrykowanych należąca do notowanej na GPW spółki HM Inwest. HM Factory, prowadząca z sukcesem fabrykę w Sochaczewie i specjalizująca się w produkcji elementów do budownictwa mieszkaniowego, wnosi do nowego podmiotu cały know-how wraz ze swoim systemem budowy mieszkań w technologii modułowej prefabrykacji.

HM Inwest podpisała z ARP umowę zakładającą budowę w ramach joint venture zakładu produkcji prefabrykatów w województwie świętokrzyskim – w głównej mierze na potrzeby wspomnianego programu „Mieszkanie Plus".

– Planowany start produkcji rozruchowej to IV kwartał 2021 r., a docelowa produkcja przy wykorzystaniu pełnych mocy produkcyjnych ruszy w I kwartale 2022 r. – mówi Piotr Hofman, prezes HM Inwest.

Dlaczego świętokrzyskie? – Lokalizacja ta jest korzystna pod kątem dostaw elementów prefabrykowanych. W optymalnej odległości do 200 km znajdują się największe aglomeracje: Warszawa, Łódź, Katowice, Kraków, Lublin. ARP ma tam działkę odpowiednią do celów budowy nowoczesnej fabryki, z własną bocznicą kolejową. Co istotne, działka znajduje się w Starachowickiej Strefie Ekonomicznej, co pozwala wykorzystać przepisy ustawy o SSE, optymalizując korzyści finansowe dla przedsięwzięcia – dodaje Piotr Hofman.

Budownictwo mieszkaniowe musi stać się jednym z najbardziej nowoczesnych i innowacyjnych sektorów polskiej gospodarki, pod względem zarówno technologii wytwarzania, jak i modelu zarządzania całym procesem budowy. Taką szansę daje prefabrykacja

Prefabrykacja to rzeczywiście sposób, by budować taniej, szybciej i lepiej – czyli de facto więcej. Korzyści, które przynosi, to skrócony czas realizacji inwestycji, mniejsze zapotrzebowanie na pracowników na terenie budowy, czyli niższe koszty utrzymania, a także wyższe parametry jakościowe. Postawienie budynku z prefabrykatów zabiera ok. 30–40 proc. mniej czasu, co oznacza też szybszą komercjalizację, a więc efektywniejszy zwrot zaangażowanego kapitału. Przygotowanie elementów w fabryce uniezależnia od pogody i cyklu dobowego – zakład może pracować na trzy zmiany. Po złożeniu budynku jest znacznie mniej prac wykończeniowych. Realizowane w technologii prefabrykacji obiekty cechują mniejsza usterkowość i większa odporność na wahania temperatury. Dzięki tej technologii zyskuje się też ok. 3–4 proc. większą powierzchnię użytkową. Krótko mówiąc – same korzyści.

W trudnych dla branży budowlanej czasach, gdzie coraz powszechniejszym problemem staje się brak rąk do pracy – szczególnie teraz, kiedy gospodarkę dotknął kryzys związany z pandemią koronawirusa – gdzie w zastraszającym tempie rosną koszty robocizny i ceny materiałów budowlanych, gdzie coraz trudniej o atrakcyjne grunty i gdzie powszechny jest brak miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego – technologia prefabrykacji jawi się jako realny sposób na poważny lifting branży budowlanej i wprowadzenie jej na drogę czwartej rewolucji przemysłowej. Budownictwo mieszkaniowe musi stać się jednym z najbardziej nowoczesnych i innowacyjnych sektorów polskiej gospodarki pod względem zarówno technologii wytwarzania, jak i modelu zarządzania całym procesem budowy. Wtedy rzeczywiście będzie szansa radykalnie zmniejszyć deficyt mieszkaniowy.

Nowa fabryka ma produkować 340 tys. mkw. elementów prefabrykowanych rocznie, co przełoży się na produkcję 4 tys. mieszkań, zakładając, że jeden lokal będzie liczyć średnio 55 mkw.

Know-how do tego przedsięwzięcia wnosi HM Factory Sp. z o.o., która od kilku lat w podwarszawskim Sochaczewie produkuje prefabrykaty zarówno do budownictwa mieszkaniowego, jak i przemysłowego oraz jest liderem w tej branży na polskim rynku. Zapewnia kompleksowy zakres usług – począwszy od projektowania, produkcji, dostawy, a na montażu skończywszy. Tworzy go doświadczony zespół fachowców, który swoimi projektami może pochwalić się zarówno w Polsce (zresztą nie tylko przy projektach mieszkaniowych, lecz także chociażby przy inwestycjach dla sieci handlowej Lidl), jak i w Szwecji, gdzie jest cenionym wykonawcą konstrukcji prefabrykowanych, a przy wielu różnych inwestycjach korzystano i cały czas korzysta się z elementów wyprodukowanych właśnie przez ten zakład.

– Jednym ze strategicznych celów, jakie sobie stawiamy, jest stworzenie autorskiego modelu realizacji mieszkań w oparciu właśnie o prefabrykację. Od tej technologii nie ma odwrotu. Jest ona przyszłością budownictwa w Polsce – zaznacza Piotr Hofman.

ARTYKUŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl a71f128f2c

Z prof. Pawłem Kalińskim, immunologiem z Centrum Onkologii Roswell Park w Buffalo w stanie Nowy Jork
rozmawia Karol Gac

Nie ma złotego środka

KAROL GAC: Jak to się stało, że Polak kieruje jednym z zatwierdzonych przez amerykańską agencję rządową zespołów, który ma opracować skuteczną terapię zwalczającą koronawirusa?

PROF. PAWEŁ KALIŃSKI: To skumulowany efekt pracy ostatnich 25 lat w Wojskowym Instytucie Medycznym w Warszawie, Uniwersytecie w Amsterdamie, Uniwersytecie w Pittsburghu i Roswell Park Comprehensive Cancer Center. Zajmowałem się manipulowaniem odpowiedzi odpornościowej, czyli tym, jak przekonać układ odpornościowy człowieka, by traktował guzy nowotworowe tak jak ostre zakażenia wirusowe. Sądzę, że niewielkie znaczenie miało to, że jestem Polakiem. Wyjątkowe w Stanach Zjednoczonych jest to, że każdy tu może czuć się u siebie. Europa jest inna. Ważne nie jest to, skąd jestem, ale czy mogę przekonać kolegów i agencje do moich koncepcji.

W Stanach Zjednoczonych każdy jest też odpowiedzialny za siebie.

Właśnie tak. Państwo należy do człowieka w nie mniejszym stopniu niż

eprasa.pl a71f128f2c

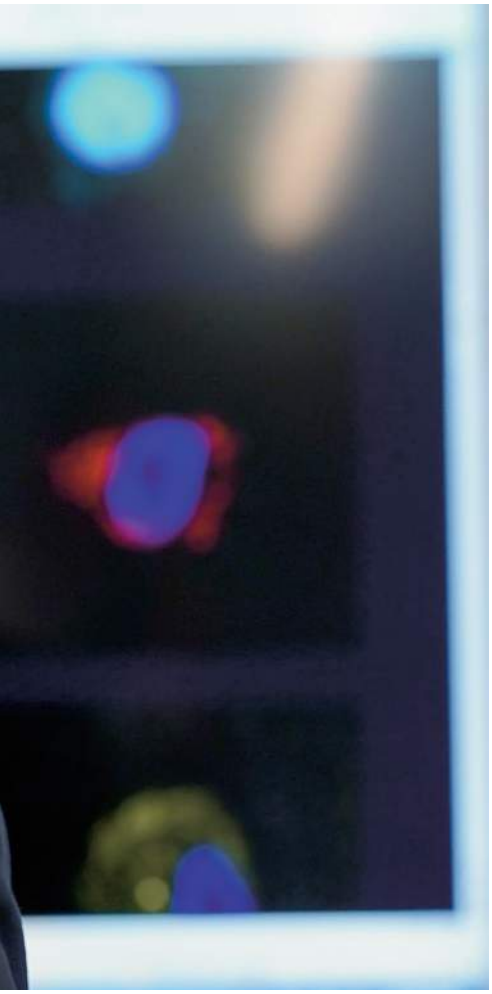

FOT. ROSWELL PARK

on do państwa. Podam prosty przykład: była pierwsza Gwiazdka, szedłem po choinkę do sklepu, a przed drzwiami stoi reprezentant z parlamentu w Pensylwanii i stara się uścisnąć mi rękę. Czuje się tu związek między wyborcami a tymi, którzy są ich reprezentantami.

Zawsze pan marzył o Stanach Zjednoczonych?

Od dzieciństwa byłem pod wrażeniem filmów amerykańskich. Tylko ja, mój motocykl i wolność. To mi zawsze imponowało. Nie spodziewałem się jednak, że zostanę w Stanach Zjednoczonych na zawsze. Poza nauką w Ameryce zaimponowało mi kilka rzeczy – wielkie przestrzenie, struktura społeczeństwa i poczucie, że każdy jest odpowiedzialny za siebie. Jeśli chodzi o pracę zawodową, to po przeniesieniu się z Europy poczułem się bardziej niezależnym naukowcem. Wiąże się to jednak z ogromną odpowiedzialnością. Starasz się o pieniądze, otrzymujesz „pakiet startowy" i masz trzy lata, by z niego skorzystać i przekonać innych, by fundowali ci granty. Jesteś na własnym garnuszku.

To chyba dobrze? Taki mechanizm motywuje do pracy, a przy tym daje niezależność finansową.

Sądzę, że to bardzo twórcze. Nauka w XX w. zatraciła poczucie misji i często bywa karierą. Czy to jedyny sposób? Nie wiem, ale z mojego punktu widzenia świadomość, że reguły są jasne, jest dobra. Amerykanie mają większą tolerancję na porażkę i myślę, że przyczyniło się to do tego, że ten kraj jest tak bardzo przebojowy. Trudno budować sukces, nie godząc się z możliwością porażki.

Z jakimi wyzwaniami musiał się pan mierzyć?

Zauważyłem jedną różnicę, która wymagała ode mnie dużego wysiłku psychicznego. Chodzi o to, jak Amerykanie i Europejczycy traktują konflikt oraz w jaki sposób wyrażają swoje zdanie.

Czyli?

Należy być bezpośrednim. Nie ma nic złego w powiedzeniu, że ktoś mnie nie przekonuje. To jest traktowane jako norma. Europejczycy mają z tym duży problem, bo łagodzą krytykę. Tymczasem lepiej jest powiedzieć coś wprost. Ludzie nie muszą się lubić, ale ważne jest wzajemne zaufanie. W USA występuje większa tolerancja na pewien poziom napięcia wewnętrznego pomiędzy członkami zespołu.

Jakie są więc największe różnice między modelem europejskim a amerykańskim?

Najbardziej bałem się braku stabilności. Wcześniej wiedziałem, że pensja jest gwarantowana, a zespół stały. W Stanach jest inaczej. Jeżeli po kilku latach mi się nie powiedzie, to będę musiał zaczynać od nowa. Człowiek musi być tutaj bardziej odpowiedzialny i przygotowany do podejmowania trudniejszych decyzji. To jest podstawowa różnica.

Typowy grant wynosi 1,5–2,5 mln dol. na pięć lat. Kiedy go otrzymuję, zyskuję też niezależność – mogę np. zmieniać kierunek badań i wielkość zespołu, niezależnie od priorytetów uniwersytetu. To dużo bardziej plastyczny system niż europejski. Zawsze powtarzam, że największe innowacje w XVIII–XIX w. powstawały dzięki osobistemu ryzyku naukowców. Współcześnie jesteśmy w komfortowej sytuacji, że nie musimy budować laboratorium i rekrutować ludzi za własne pieniądze.

Jest pan szefem zespołu, który zajmuje się nową terapią na COVID-19. Na czym ona polega?

To, co jest w niej unikalne, to to, że chcemy zatoczyć pełne koło. Od 20 lat staramy się przestawić układ odpornościowy, by reagował na nowotwory w ten sam agresywny sposób co na wirusy. Zorientowaliśmy się, że pewne wirusy, jak np. COVID-19, zachowują się w bardzo podobny sposób do nowotworów. Chodzi o to, że nie indukują aktywnego zapalenia w miejscu wejścia do naszego organizmu. Starają się wyeliminować indukcję głównego białka przeciwwirusowego, co pozwala im się namnożyć.

Problem z nowotworem jest taki, że pacjenci mogą go mieć przez lata i o tym nie wiedzieć, bo układ odpornościowy jest przestawiony na jego tolerancję. Kiedy nowotwór powoduje zniszczenie, to układ odpornościowy jest skonfundowany. Widzi te zniszczenia, ale jednocześnie wie, że to są te komórki, które zachowywały się wcześniej inaczej. Podobnie zachowują się gruźlica, wirus HIV i koronawirus.

Jak temu zapobiec?

To, co będziemy robić, to podanie pacjentom dwóch substancji. Jedna z nich wygląda jak wirus (dwuniciowy RNA, rintatolimod), ale nie ma jego substancji obronnych, więc może indukować odpowiedź na wirusa. Jednocześnie podajemy to w połączeniu z główną cząsteczką wydzielaną przez zarażone komórki, interferon alfa. Powoduje to wczesną indukcję wewnętrznej odporności na wirusa w zarażonych i sąsiednich komórkach, poprzez aktywację enzymów niszczących wirusowy RNA i hamujących jego aktywność oraz wczesny napływ limfocytów odpornościowych do zniszczenia tych zakażonych komórek, które same nie mogą się uporać z infekcją. Ta wczesna reakcja pozwala wytworzyć odporność. Widzimy bardzo dużą synergię między tymi komponentami w badaniach przedklinicznych.

Fundamentem wydaje się jednak wczesne zdiagnozowanie koronawirusa. Wiemy, jak szybko może spustoszyć organizm.

Rzeczywiście: im wcześniej, tym lepiej. Będziemy chcieli podawać pacjentom te substancje we wczesnych stadiach. Pierwsza próba kliniczna będzie dotyczyła pacjentów nowotworowych, którzy są u nas w szpitalu i są w grupie podwyższonego ryzyka. Wtedy tego samego dnia możemy zrobić testy potwierdzające obecność wirusa i zacząć

eprasa.pl a71f128f2c

leczenie. Uważam, że będziemy mieli czas, bo koronawirus do wytworzenia pełnych objawów potrzebuje kilku dni, a nawet dwóch tygodni. Spodziewamy się, że efekt przeciwwirusowy uzyskamy na przestrzeni godzin. Poprawy będziemy oczekiwać do kilku dni. Jednocześnie będziemy uważnie monitorować objawy pacjentów.

Jak doszło do tego, że zaczyna pan prace nad nową terapią?

Wiedziałem, że moje laboratorium ma kombinację, która jest używana w próbach klinicznych na pacjentach nowotworowych. Mamy bogate doświadczenie przedkliniczne, a podawanie tych dwóch substancji powoduje indukcję czynników, o których wiemy, że hamują rozwój wielu wirusów. Trzeba było znaleźć partnera klinicznego, który będzie podawał szczepionkę pacjentom. Jest nim dr Brahm Segal, szef naszej kliniki chorób zakaźnych. Na początku wysyła się plan kliniczny do komisji naukowej, która przygląda się badaniom przedklinicznym i argumentacji. Kolejnym etapem jest rozmowa z FDA. Jej ostateczna decyzja pozwala wrócić do naszej instytucji i jej Rady Etycznej, która sprawdza, czy mamy właściwe przesłanki do rozpoczęcia próby klinicznej i czy zrobiliśmy wszystko, by ograniczyć ryzyko dla pacjentów.

Do mnie należało pokazanie przesłanek laboratoryjnych, zbudowanie grupy i przekonanie administracji. Mamy już pieniądze z Narodowego Instytutu Zdrowia USA i od naszych partnerów z firm farmaceutycznych oraz od naszej instytucji, które pozwalają nam zacząć leczenie pacjentów. Mam nadzieję, że stanie się tak w ciągu dwóch tygodni.

Ma pan jakieś założenia lub oczekiwania?

Jesteśmy na ostatnim etapie rozmów w sprawie tego, jakie jeszcze instytucje będą naszymi partnerami do badań. Staramy się rozwinąć sieć szpitali partnerskich i uzyskać dodatkowe finansowanie. Liczymy, że próbę uda się rozpocząć na przestrzeni dni. Sądzę, że w ciągu pół roku będziemy wiedzieć, czy to działa. Przy pojedynczych pacjentach będziemy mieli tę wiedzę już w ciągu kilku dni. Dzięki temu sam cykl testowania ma szansę być o wiele krótszy niż w przypadku szczepionek.

Możemy w ogóle prognozować, kiedy będzie szczepionka?

Myślę, że możemy ufać specjalistom. Jeżeli firmy farmaceutyczne mówią, że będą ją miały na początku przyszłego roku, to ona będzie. Niemal każdy ośrodek i firma przestawiły się na poszukiwanie szczepionki lub leczenie koronawirusa. Sądzę więc, że to kwestia czasu. W przypadku COVID-19 bardzo duża część społeczeństwa przechodzi koronawirusa bezobjawowo. To powoduje trzy rzeczy. Po pierwsze, trudno przekonać społeczeństwo, by się izolowało. Po drugie, bardzo trudno zidentyfikować osoby zarażone. Po trzecie, skoro śmiertelność jest niższa, to mamy wyższe standardy w sprawie bezpieczeństwa samej szczepionki i większe wymagania co do wielkości badanych grup w próbach klinicznych i ich trwania.

Czy pana zdaniem zagrożenie jest rzeczywiście tak poważne, jak się je przedstawia?

Są dwa spojrzenia na kwestię koronawirusa. Jedno mówi, że trzeba zamknąć wszystko i przeczekać. Druga strona odpowiada, że jest to na tyle zaraźliwe, iż nie sposób ograniczyć rozprzestrzenianie się koronawirusa w społeczeństwie, więc powinno się chronić jednostki czy niektóre grupy, jak np. osoby starsze. Tak naprawdę nikt nie wie, jakie to da efekty. Podziwiam Szwedów, że zdecydowali się być myszą doświadczalną, która pokaże światu, na ile ich podejście jest dobre, a na ile zgubne.

Jestem przekonany, że na początku epidemii trzeba się było izolować i była to dobra decyzja. USA i Europa nauczyły się wiele od Włoch, co nam teraz pomaga. Powstaje pytanie, czy realistyczne jest zamknięcie społeczeństwa na miesiące i lata? Sądzono, że można zamknąć wszystko na kilka tygodni, by wygasić koronawirusa. Tak się nie stało. Wydaje się, że nie mamy wyboru i musimy postawić na chronienie tych osób, które są najbardziej wrażliwe, bo alternatywy są jeszcze gorsze. Jeśli zamkniemy społeczeństwo, to ludzie będą umierać na inne choroby. Do tego dochodzą kwestie utraty pracy albo depresji związanej z izolacją.

To, co jest pocieszające, to to, że ryzyko koronawirusa jest bardzo małe w przypadku dzieci i ludzi młodych. Inaczej niż w przypadku grypy, która corocznie zabija na świecie 100–600 tys. osób. Starajmy się uniknąć koronawirusa, ale pamiętajmy też o grypie, do której już się chyba za bardzo przyzwyczailiśmy.

Czy koronawirus mógł powstać naturalnie, czy mówimy raczej o czynniku ludzkim? Wskazuje się choćby na laboratorium w chińskim Wuhan.

To bardzo trudna dyskusja. Tylko jeden czołowy naukowiec, odkrywca AIDS, twierdzi, że pewne sekwencje w koronawirusie wyglądają, jakby były zmanipulowane. Uważam, że prawdopodobieństwo tego, że ten koronawirus został sztucznie stworzony, jest małe. Czy wydostał się z laboratorium, to inna sprawa. Nietoperzy przenoszących tego wirusa nie powinno być o tej porze roku w Wuhan. Amerykanie i ich partnerzy próbują rozwikłać zagadkę jego przedostania się do populacji, ale to kwestia niezwykle mocno upolityczniona. Jest jeszcze inny problem.

Jaki?

Niezależnie od tego, jak ten wirus powstał, trzeba stawiać pytania o obowiązki tych krajów, gdzie doszło do rozprzestrzenienia się wirusa, oraz o zobowiązania Światowej Organizacji Zdrowia. Są poważne zastrzeżenia do tego, w jaki sposób zajmowano się kryzysem w ciągu pierwszych tygodni. To ważniejsze niż to, jak powstał koronawirus. W żadnym wypadku nie wolno ograniczać dostępu do informacji potrzebnych, by ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa w innych krajach. W tym zakresie WHO nie wykazało się wystarczającą dociekliwością.

Czego się pan spodziewa w najbliższej przyszłości? Przyzwyczaimy się do koronawirusa i będziemy czekać na szczepionkę?

Jestem optymistą. Wygląda na to, że w większości krajów kinetyka zachorowań się zmniejsza. Przy takich wysiłkach, jakie są czynione obecnie na świecie, ktoś w końcu znajdzie sposób na to, jak leczyć koronawirusa. FDA wstępnie zaaprobowało niedawno remdesivir jako nowy lek przeciwwirusowy, a wiele innych leków i ich kombinacji wygląda obiecująco. Tego typu badań są setki. Boję się tego, że przez przynajmniej pół roku będziemy musieli się nauczyć żyć z koronawirusem. Pamiętajmy jednak, że zupełne wstrzymanie aktywności społeczeństwa może być dla jednostek tak samo niebezpieczne jak zakażenie. Nie ma tu złotego środka. Cieszę się, że Szwedzi wzięli na siebie ryzyko sprawdzenia, jak to będzie wyglądało u nich. Co z tego wyjdzie? Okaże się niedługo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

FOT. ADOBE STOCK

SZWEDZI POMAGAJĄ SENIOROM... ODEJŚĆ

Szwedzki dziennik „Dagens Nyheter" ujawnił, że zamiast standardowego wspomagania oddychania tlenem sędziwym osobom w tym kraju podaje się „koktajl eutanazyjny". Otrzymują morfinę i midazolam, które w istocie hamują oddychanie. Zdaniem lekarzy, z którymi rozmawiali dziennikarze, taki sposób „opieki" przyspiesza śmierć. Zdaniem ekspertów wiele z takich osób przy odpowiednim leczeniu mogłoby przetrwać chorobę. Szwedzki model radzenia sobie z koronawirusem wygląda więc na coraz bardziej przerażający.

KRÓL I MINISTER ŁAMIĄ KWARANTANNĘ

W Hiszpanii król Filip VI wziął udział w konferencji zorganizowanej przez fundację Cotec w Madrycie. Wygłosił tam mowę. Media szybko zauważyły – w relacjach z tego wydarzenia – że brało w nim udział 20 osób, czyli o 10 więcej, niż dopuszczają przepisy wprowadzone w związku z pandemią koronawirusa. Na konferencji obecna była też minister gospodarki Nadia Calvino. Wypytywany przez dziennikarzy resort gospodarki odpowiedział, że oficjalnie zaproszonych było tylko dziewięć osób. I nie wiadomo, kim byli pozostali ludzie ani skąd się wzięli na sali.

MIASTO PODZIELONE WIRUSEM

Mieszkańcy Saltney w Wielkiej Brytanii w praktyce zauważyli, że przez ich miasto przebiega granica pomiędzy Anglią a Walią. Anglicy bowiem zaczęli warunkowo zawieszać ograniczenia związane z pandemią, ale nie zrobiono tego jeszcze w Szkocji i Walii. W związku z tym ludzie mieszkający po jednej stronie ulicy mogą już bez problemów wyjeżdżać z miasta, podróżować, spędzać czas na świeżym powietrzu i jeździć do pracy, ale ich sąsiedzi z naprzeciwka muszą utrzymywać rygor. Jedni też na bieżąco pozbywają się śmieci z domu, inni – ponieważ odbiory są rzadkie – muszą je przetrzymywać na swoich posesjach.

SZPITALNE ŁÓŻKO SKŁADANE W TRUMNĘ

Przedsiębiorczość i pomysłowość są w cenie, ale czasem może też przerażać. Kolumbijska firma ABC Displays zaprezentowała swój pomysł na szpitalne łóżko wykonane z... kartonu. Karton ten bardzo łatwo potem złożyć w trumnę i tak „oddać" pacjenta, którego leczenie się nie powiodło. Przedstawiciele firmy twierdzą, że zainspirowała ich dramatyczna sytuacja w Ekwadorze, gdzie wiele osób nie ma pieniędzy na zorganizowanie pochówku ludzi zmarłych podczas pandemii koronawirusa. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Odrobina normalności

Media społecznościowe, a za nimi te tradycyjne, podbiło w zeszłym tygodniu zdjęcie prezydenta Portugalii. Marcelo Rebelo nie wygląda na nim niczym premier Topolánek na zakrapianej imprezie u premiera Berlusconiego. Przeciwnie. Na zdjęciu widać po prostu starszego pana w supermarkecie w zwykłej maseczce ochronnej, niebieskim swetrze i błękitnych szortach. Bez uzbrojonej ochrony. Grzecznie stojącego w sklepowej kolejce.

Taki widok bardziej zdziwił jednak dziennikarzy w różnych krajach świata niż samych Portugalczyków. 71-letni Rebelo – profesor prawa i dawny dziennikarz – często porusza się bowiem bez ochroniarzy i opancerzonych limuzyn. Można go spotkać nie tylko w Lizbonie, lecz także w innych miastach kraju czy na którejś z piaszczystych plaż. Wychodzi do ludzi i rozmawia o ich problemach. A gdy wybuchła epidemia, dobrowolnie poddał się domowej kwarantannie.

Po wygranej w 2016 r. nie przeprowadził się do pałacu prezydenckiego i nadal żyje w swoim rodzinnym mieszkaniu. Brzmi to jak ryzykowna zagrywka populisty, ale Rebelo nie boi się też trudnych tematów. Nie tylko nie ukrywa, że jest katolikiem, lecz także jako jeden z nielicznych zachodnich przywódców podkreśla wagę chrześcijaństwa dla przeszłości i przyszłości Europy oraz Portugalii. W pierwszą podróż zagraniczną poleciał do Watykanu. Nie boi się też wetować ustaw lewicowego rządu, a poparcie na poziomie 72 proc. sprawia, że rząd nawet nie myśli o próbie obalenia sprzeciwu prezydenta i grzecznie poprawia zawetowane ustawy.

W czasach pandemii i rosnących apetytów rządzących, aby sięgać po recepty rodem z Orwella, taka odrobina normalności daje nadzieję, że ze światem nie jest jeszcze aż tak źle. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

Europlan Marshalla

Tomasz Cukiernik

Eurokratyczny plan Marshalla nie odbuduje zniszczonej koronawirusowym kryzysem Unii Europejskiej

Przewodnicząca KE Ursula von der Leyen uważa, że teraz Unia powinna odbudować się po kryzysie

FOT. DAINA LE LARDIC/EUROPEAN UNION

Ursula von der Leyen, przewodnicząca Komisji Europejskiej, uważa, że kolejna unijna perspektywa finansowa na lata 2021–2027 powinna być kluczowym narzędziem planu odbudowy Unii Europejskiej po konsekwencjach kryzysu koronawirusowego. – Niektórzy ludzie mówią o planie Marshalla. Europejski budżet powinien być planem Marshalla, który razem przedkładamy – powiedziała von der Leyen. Kanclerz Niemiec Angela Merkel i prezydent Francji Emmanuel Macron wspólnie zaproponowali, by unijny Fundusz Odbudowy oprzeć na euroobligacjach o wartości pół biliona euro. Pieniądze te Komisja Europejska miałaby pożyczyć na rynkach finansowych.

Według różnych scenariuszy w wyniku blokady gospodarek w odpowiedzi na rozprzestrzenianie się koronawirusa PKB strefy euro w 2020 r. może spaść od kilku do nawet 15 proc. MFW szacuje, że spadek wyniesie 7,5 proc. Z kolei według prognoz Komisji Europejskiej spadek PKB w strefie euro w tym roku sięgnie 7,7 proc., a w całej UE – 7,4 proc. (najmniej w Polsce – 4,3 proc. – i Luksemburgu – 5,4 proc., a najwięcej w Grecji – 9,7 proc., we Włoszech – 9,5 proc. i Hiszpanii – 9,4 proc.). Czy właściwą odpowiedzią jest nowy plan Marshalla? Czy ten stary rzeczywiście zadziałał, tak jak wieść gminna głosi?

Plan odbudowy Europy po drugiej wojnie światowej został przedstawiony w 1947 r. przez gen. George'a Marshalla, amerykańskiego sekretarza stanu. W latach 1948–1952 w postaci dotacji i pożyczek USA przekazały Europie ok. 13 mld ówczesnych dolarów (obecnie miałyby one wartość co najmniej 140 mld dol.). Największe wsparcie otrzymały Wielka Brytania i Francja. Dominowała retoryka, że plan Marshalla był niezbędny dla ratowania Europy.

JAK BYŁO NAPRAWDĘ?

Po pierwsze, Wielka Brytania, która w ramach planu Marshalla otrzymała najwięcej pieniędzy, rozwijała się najsłabiej ze wszystkich państw, a Niemcy, których gospodarka rosła najszybciej, dostały w ramach planu mniej niż połowę kwoty brytyjskiej. Jak zauważył amerykański ekonomista prof. Tyler Cowen, kraje, które otrzymały stosunkowo najwięcej pieniędzy z planu Marshalla, takie jak Wielka Brytania, Szwecja czy Grecja, w latach 1947–1955 rozwijały się najwolniej, podczas gdy gospodarki tych państw, które uzyskały najmniej, takie jak Niemcy, Austria czy Włochy, wzrosły najszybciej.

Po drugie, kwoty przekazywane w ramach planu Marshalla były tak niskie (średnio ok. 2 proc. PKB beneficjentów, czyli mniej więcej tyle samo co unijne dotacje dla Polski netto, czyli po odjęciu składki członkowskiej), że siłą rzeczy nie mogły mieć istotnego wpływu na rozwój. Jak w opracowaniu „The Marshall Plan: A Reality Check" wylicza prof. Nicholas Crafts z brytyjskiego University of Warwick, te wpływy na poziomie 2 proc. PKB mogły w latach 1948–1951 zwiększyć wzrost gospodarczy o zaledwie 0,3 proc., dodając, że argumenty mówiące o zwiększeniu produktywności nie są przekonujące.

Po trzecie, jak pisze historyk Marcin Moroń w serwisie Mises.pl, zdaniem Henry'ego Hazlitta, amerykańskiego dziennikarza i ekonomisty, plan Marshalla – podobnie zresztą jak obecnie unijne dotacje – oznaczał transfer od produktywnych przedsiębiorstw prywatnych do „dużo mniej produktywnych projektów kolektywistycznych". To musiało negatywnie odbić się na gospodarce, bo najlepsze efekty przynosi własność prywatna, a poza tym – zgodnie z klasyfikacją noblisty prof. Miltona Friedmana – wydawanie nie swoich pieniędzy na nie swoje potrzeby jest najgorszym sposobem wydatkowania pieniędzy, ponieważ są one wydawane rozrzutnie i niecelowo.

Po czwarte, jednym z warunków udzielenia pomocy w ramach planu Marshalla była realizacja robót publicznych i wydatków socjalnych, a to wiązało się ze wzrostem biurokracji oraz osłabiało i tak już zniszczone wojną gospodarki. Co więcej, państwa europejskie zmuszane były

eprasa.pl a71f128f2c

do tego, by nie rozwijać własnego przemysłu, a za uzyskane pomocowe pieniądze potrzebne towary kupować w USA. Jak na łamach „The Free Market" pisze amerykański ekonomista Jeffrey A. Trucker, naciskano, by do Europy wysyłać produkty gotowe, aby w ten sposób uniemożliwić rozwój europejskim firmom. W rezultacie kontrolowane przez Amerykanów firmy na lata zdominowały wiele gałęzi przemysłu w Europie.

W późniejszych latach Amerykanie (poprzez Bank Światowy, Międzyamerykański Bank Rozwoju czy agencję pomocową USAid) wypróbowany na Europie system realizowali w krajach Trzeciego Świata. Proceder ten w książce „Hitman. Wyznania ekonomisty od brudnej roboty" opisał John Perkins, który sam parał się tym zajęciem. Właśnie taki sam efekt ma nadal obecna „pomoc" zagraniczna (także humanitarna) nie tylko dla biednych krajów afrykańskich.

Po piąte, jak pisze Trucker, to nie pomoc w celu odbudowy europejskich gospodarek po drugiej wojnie światowej była celem planu Marshalla. Prawdziwym, ale ukrytym celem był polityczny manewr, by pieniędzmi amerykańskich podatników wesprzeć wpływowe amerykańskie korporacje. I to się oczywiście udało. Europejskie gospodarki były tylko przedmiotem tej wewnętrznej amerykańskiej gry. Zdaniem Truckera plan Marshalla to nic więcej jak tylko umiędzynarodowienie biurokratycznego marzenia – szkodliwej polityki Nowego Ładu prezydenta Franklina Delano Roosevelta, którego rezultatem była ekspansja państwa w amerykańskiej gospodarce na koszt podatników.

TO NIE DOLARY POMOGŁY

Nie da się ukryć, że trzy powojenne dekady w Europie Zachodniej to rzeczywiście epoka nieustannego wzrostu gospodarczego. Problem w tym, że Stary Kontynent nie zawdzięcza jej planowi Marshalla, lecz wolnemu rynkowi i ciężkiej pracy Europejczyków. Co więcej, plan Marshalla mógł w niektórych krajach powojenną odbudowę gospodarczą… spowalniać. Niemiecki ekonomista Wilhelm Röpke uważał, że amerykański plan wstrzymywał prorynkowe reformy poprzez dotowanie ówczesnej nieefektywnej gospodarki, a ta dzięki dodatkowym pieniądzom mogła nadal funkcjonować mimo podejmowania antyrynkowych decyzji politycznych. Podobnie zdaniem Hazlitta „plan Marshalla, łagodząc skutki kryzysu wywołanego polityką zachodnioeuropejskich rządów, mógł […] zniechęcać do podjęcia niezbędnych reform". Chodzi o to, że w przypadku niektórych krajów dodatkowe pieniądze umożliwiały interwencjonistycznym rządom niereformowanie nieefektywnej gospodarki, co można było zrobić poprzez jej deregulację, prywatyzację czy obniżanie podatków.

Wbrew opiniom niektórych historyków i ekonomistów w rzeczywistości w rozwoju Europie Zachodniej pomogły nie amerykańskie dolary, lecz odejście od wojennych regulacji gospodarczych, interwencjonizmu państwowego oraz protekcjonizmu i powojenny zwrot w kierunku wolnego rynku i liberalizacji handlu (to ostatnie było jednym z warunków uzyskania pomocy w ramach planu Marshalla) w połączeniu z racjonalną polityką finansową, polegającą m.in. na ograniczeniu deficytów budżetowych. Co więcej, w 1948 r., czyli w momencie rozpoczęcia programu, infrastruktura przemysłowa na zachodzie Europy już została w dużej mierze odbudowana i gospodarka znajdowała się na ścieżce szybkiego wzrostu gospodarczego, na co zwrócił uwagę m.in. brytyjski historyk ekonomii prof. Alan Milward.

Na razie nie wiemy, ile będzie nas kosztował unijny plan Marshalla. Pojawiają się różne kwoty. Klaus Regling, dyrektor zarządzający Europejskiego Mechanizmu Stabilizacji, powiedział, że unijne instytucje powinny zaoferować co najmniej 500 mld euro. Prezydent Francji wspomniał o kwocie rzędu 5–10 proc. PKB Unii w siedmioletniej perspektywie. Kanclerz Niemiec Angela Merkel zasugerowała okrągłą sumę 1 bln euro. Paolo Gentiloni, unijny komisarz ds. gospodarczych, uważa, że fundusz odbudowy po koronawirusie powinien dysponować kwotą ok. 1,5 bln euro. Z kolei jeden z dokumentów Komisji Europejskiej sugeruje, że pakiet stymulacyjny powinien sięgnąć wartości ok. 2 bln euro, co by oznaczało niemal podwojenie wartości dotychczasowej perspektywy finansowej (budżet UE zwiększyłby się z 1,2 proc. PKB do ok. 2 proc. PKB). W relacji do PKB byłaby to kwota porównywalna z oryginalnym planem Marshalla. Jak informuje europoseł PO Jan Olbrycht, członek Komisji Budżetowej PE, w zamyśle Komisji Europejskiej znaczna część z tej olbrzymiej sumy ma pochodzić z rynków finansowych, co oznacza, że Unia ma się po prostu zadłużyć.

KOMU TO POMOŻE?

Jedno jest pewne: nowy plan Marshalla – podobnie zresztą jak cały system unijnych dotacji – jest wodą na młyn polityków i urzędników. Nie tylko da im zajęcie i stworzy argument, że są do czegoś potrzebni, lecz także uruchomi nowe możliwości praktyk korupcyjnych na gigantyczną skalę. To jednocześnie coraz większe odejście od rynku na rzecz dawno zbankrutowanego centralnego planowania. Państwo ma odgrywać coraz większą rolę w gospodarce.

Być może niektórzy unijni politycy z Europy Zachodniej nie rozumieją problemu, bo nie żyli w komunizmie i nie wiedzą, jakie skutki może wywołać centralne sterowanie gospodarką.

Obalmy w końcu mit – szerzony nie tylko przez eurokratów – że darmowe miliardy są receptą na wszystko. Żadnej gospodarki z kryzysu nie wyciągną dotacje ani kredyty, a jedynie rządy prawa gwarantujące własność prywatną i wolnorynkowe zasady gospodarcze.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Z Danielem Obajtkiem, prezesem PKN Orlen
rozmawiają Piotr Gabryel i Łukasz Zboralski

Chcemy konkurować z globalnymi graczami

FOT. PKN ORLEN S.A.

„DO RZECZY": Panie prezesie, z powodu walki z pandemią COVID-19 Polska wchodzi w recesję. Jak to, co się wydarzyło, dotknęło i jeszcze może dotknąć Orlen?

DANIEL OBAJTEK: Skutki pandemii odczuwają wszyscy. Obserwujemy pogarszającą się sytuację gospodarczą na świecie. Widzimy, jak spadła konsumpcja. To również dotyczy Polski, chociaż w porównaniu z innymi państwami notowania naszej gospodarki są znacznie lepsze i duża w tym zasługa polityki gospodarczej realizowanej przez rząd. Teraz niezwykle ważne jest to, jak poradzimy sobie z wychodzeniem z recesji.

Kluczowa będzie odwaga do inwestowania. Czy ludzie będą inwestować dalej i czy dzięki temu konsumpcja będzie rosła.

A jeśli chodzi o Orlen, to w kryzys wywołany pandemią weszliśmy stosunkowo dobrze przygotowani. Daleki jestem od euforii, bo podobnie jak inne firmy odnotowujemy spadki sprzedaży, ale naszą mocną stroną jest dywersyfikacja obszarów działalności. Orlen to nie tylko rafinerie i stacje paliw, lecz także petrochemia, energetyka. Nasza sytuacja finansowa jest stabilna. Mamy solidne fundamenty do kontynuowania inwestycji i akwizycji. Działamy tak, aby jak najlepiej przejść ten trudny czas. Recesja się bowiem skończy i zacznie się wzrost gospodarczy. A im skuteczniejsze będą nasze działania, tym większe i szybsze czeka nas odbicie. I rolą takiej firmy jak Orlen jest wspieranie działań na rzecz łagodzenia skutków kryzysu. Doskonałym tego przykładem jest akcja pt. „Tanie paliwo na Orlenie". My oczywiście w obecnej chwili zarabiamy generalnie mniej niż przed pandemią, ale musimy także pomagać rynkowi, by proces odbicia gospodarczego po ustaniu pandemii nastąpił jak najszybciej i przyniósł gospodarce jak najlepsze efekty. Tym bardziej że te efekty przyniosą korzyść także Orlenowi.

Orlen był przygotowany na gorsze czasy?

W czasach prosperity zawsze trzeba pamiętać o możliwym pogorszeniu się koniunktury. Postawiliśmy na rozwój, a to automatycznie uodparnia nas na słabsze czasy. W ostatnich latach optymalizowaliśmy koszty działalności, rozpoczęliśmy modernizację rafinerii, uruchomiliśmy program rozwoju petrochemii, mocno zdywersyfikowaliśmy dostawy ropy. Te wszystkie działania mają pozytywny wpływ na funkcjonowanie Orlenu w trakcie kryzysu. Zupełnie inaczej wygląda koncern, który jest administrowany, od takiego, który jest właściwie zarządzany. Wzmacniamy obecne obszary działalności i dokładamy nowe, budując koncern multienergetyczny. Dlatego zainicjowaliśmy duże procesy inwestycyjne i akwizycyjne. Odpowiadamy jednocześnie na wyzwania regulacyjne. Realizujemy narodowy cel wskaźnikowy poprzez zwiększanie produkcji biododatków do paliw.

Orlen stara się też zarabiać na rzeczach potrzebnych w czasie kryzysu?

Realizujemy projekty, które są ważne z biznesowego punktu widzenia. A przy tym wyciągamy wnioski i myślimy perspektywicznie. Inwestujemy na przykład w pierwszą w Polsce, a drugą w Europie

eprasa.pl a71f128f2c

instalację zielonego glikolu, który może być wykorzystywany m.in. do produkcji mydeł i żeli antybakteryjnych oraz antywirusowych. Weszliśmy też mocno w obszar związany z innymi produktami, m.in. z alkoholem izopropylenowym, używanym też do wytwarzania środków odkażających. W czasie kryzysu zapotrzebowanie pokrywane było z importu. Podpisaliśmy umowę na licencję i projekt bazowy. To element naszego programu rozwoju petrochemii, który może również wzmocnić bezpieczeństwo sanitarne kraju w przypadku zagrożenia epidemiologicznego.

Orlen inwestuje też w energetykę. Jest pan zadowolony z przejęcia Energi?

Przejęcie Energi jest elementem realizacji strategii inwestycyjnej mającej na celu stworzenie silnego, multienergetycznego koncernu, który będzie w stanie konkurować z globalnymi graczami. Racje stojące za przejęciem Energi są więc przede wszystkim biznesowe i gospodarcze. Aktywa Energi stanowią zresztą doskonałe uzupełnienie dla działalności PKN Orlen. Mamy już mocny filar energetyczny, Orlen jest czwartym producentem energii elektrycznej w Polsce. Mamy doświadczenie, jesteśmy pionierem, jeśli chodzi o energetykę niskoemisyjną, w tym bloki gazowo-parowe. Z kolei

eprasa.pl a71f128f2c

Energa dysponuje ciekawym pakietem odnawialnych źródeł energii. Teraz mamy je w swoim portfolio, nie musieliśmy budować tego obszaru od zera. To duża wartość w biznesie. Myślimy długofalowo. Polsce potrzebny jest silny podmiot, którego będzie stać na duże inwestycje, m.in. w morską energetykę wiatrową. Przejęcie Energi wzmocni stabilność firmy.

Czy budowanie takich konglomeratów ma sens?

A czy nie otaczają nas takie konglomeraty? Czy nie są nimi BP, Shell czy Total? A to przecież nasi konkurenci. W Polsce czas skończyć z postsowieckim układem spółek. W mniejszej skali, regionalnej, faktycznie mogą wydawać się duże. Jednak z poziomu europejskiego i światowego biznesu to nie są czempiony. Nie jestem oczywiście zwolennikiem budowania wielkich koncernów, jeśli nie ma żadnych synergii. Dlatego nie planujemy kupna firmy lotniczej, bo tu nie ma zazębiających się obszarów poza, oczywiście, paliwem lotniczym, które produkuje Orlen. Akwizycje muszą przekładać się na pozyskiwanie know-how, optymalizację kosztów i uzupełniać procesy biznesowe. A w efekcie prowadzić do ich przyspieszenia. Co więcej, muszą nieść wymierne korzyści dla klientów, wzmacniać ich lojalność poprzez kompleksową, atrakcyjną ofertę. To wszystko może zapewnić silny multienergetyczny koncern, bo tylko taki może skutecznie rywalizować z zagranicznymi konkurentami i prowadzić wielomiliardowe inwestycje, ważne dla polskiej gospodarki i transformacji energetycznej. Rozumieją to doskonale zarówno premier Mateusz Morawiecki, jak i wicepremier Jacek Sasin, którym dziękuję za wsparcie. Bez tego wsparcia pewne procesy trwałyby dłużej. Dzięki tej współpracy mamy uporządkowany plan działania, który z determinacją realizujemy.

A wracając do Energi – jeżeli posiadamy energetykę kogeneracyjną, to możemy przesuwać tę energię do innych zależnych spółek. Obie firmy mają też mnóstwo zależnych spółek, więc czy nie można zbilansować ich kosztów działania? Dążę do tego, by spółki w Orlenie były aktywne biznesowo w grupie, ale także do tego, aby wychodziły z ofertą biznesową na zewnątrz. Nie są wówczas oderwane od cen rynkowych.

Oczywiście niektóre spółki zależne to nie tylko dodatkowa wartość dla biznesu, lecz także gwarancja bezpieczeństwa całej Grupy. Dobrym przykładem jest Orlen Serwis, który wzmocniliśmy i dalej rozwijamy, bo w jego gestii jest dbałość o sprawne funkcjonowanie naszych instalacji w kraju i za granicą.

Gdybyśmy uzależnili się od importu biododatków, to czy moglibyśmy stymulować własne rolnictwo?

Radzi pan coś odwrotnego do tego, co można często usłyszeć – żeby outsourcingować usługi, bo dzięki temu stają się one tańsze.

Usługi zlecane na zewnątrz tylko przez jakiś czas są tańsze. Orlen w przeszłości kooperował z wieloma firmami zewnętrznymi, które m.in. konserwowały i utrzymywały instalacje. I z czasem stało się to zdecydowanie droższe. Nie było synergii ani możliwości optymalizacji. To nie jest tak, że jestem zwolennikiem przejmowania wszystkiego poprzez spółki zależne. Te spółki muszą jednak istnieć, by budować swoją wartość i kompetencje, bo to się po prostu opłaca. Gdybyśmy nie mieli Orlen Serwis czy Orlen Laboratorium, nie uruchomilibyśmy w ciągu 10 dni linii do produkcji płynu do dezynfekcji rąk – tak jak to się udało w pierwszych dniach pandemii. Niektóre spółki wymagały dużego wsparcia. Przykładem jest Orlen Południe, czyli zakłady w Trzebini i Jedliczu, którym jeszcze w 2015 r. groziło wygaszenie. Dzisiaj Orlen Południe funkcjonuje bardzo dobrze, realizuje ponad 20 ważnych projektów inwestycyjnych, rozwijany jest w kierunku nowoczesnej biorafinerii. W ten sposób budujemy kapitał na przyszłość, skutecznie wykorzystując własne zasoby. Gdybyśmy uzależnili się od importu biododatków, to czy moglibyśmy stymulować własne rolnictwo? Oczywiście prowadząc tego typu działania, pewnie naraziłem się niektórym europejskim potentatom. Ale czasami trzeba twardo walczyć o własne interesy, bo biznes to nie przedszkole.

Orlen mocno rozbudował sieć detaliczną, w tym sprzedaż innych – poza paliwami – produktów. Jak bardzo podczas pandemii spadają obroty w sklepach przy stacjach?

Kryzys ma to do siebie, że dotyka wszystkich. Ale nie trwa przecież wiecznie. Dlatego nie możemy rezygnować z rozwoju sieci detalicznej, kontynuujemy jej rozbudowę. Poprzez stacje paliw wzmacniamy rozpoznawalność naszej marki zarówno w Polsce, jak i za granicą. Oczekiwania klientów rosną, a my nie tylko chcemy na nie odpowiadać, lecz wręcz je wyprzedzamy. Już zapewniamy nie tylko sprzedaż benzyny czy diesla, lecz także ładowanie pojazdów elektrycznych, gastronomię, sklep, a w przyszłości także sprzedaż wodoru. Poziom życia i zamożność Polaków rosną. Towarem deficytowym jest natomiast czas. Dlatego klient, tankując, musi mieć zapewnione kompleksowe usługi na stacji, m.in. możliwość skorzystania z paczkomatów czy płatności mobilnej bezpośrednio przy dystrybutorze.

Orlen rozwija sieć sprzedaży w Polsce i poza nią. Jak będzie wyglądał rebranding stacji za granicą?

Rebranding będziemy prowadzić w sposób ewolucyjny. Już teraz nasze stacje w Niemczech, Czechach i na Słowacji łączą dwa logotypy: star-Grupa Orlen i Benzina-Grupa Orlen. W Niemczech z kolei ruszyła pierwsza stacja wyłącznie pod marką Orlen. Na Litwie wszystkie nasze stacje działają pod marką Orlen.

Ważne jest wzmacnianie marki, ale równie istotna jest standaryzacja stacji, którą prowadzimy od dwóch lat. Co roku remontujemy i dostosowujemy ok. 200 stacji.

Jak Niemcy na to reagują?

Bardzo dobrze. To już nie są czasy takie jak 10–15 lat temu. Stacje Orlen są dobrze kojarzone.

Dlaczego przejęcie Lotosu tak się przeciąga? I czy kierowcy powinni się tego obawiać?

Problemem będzie brak fuzji. Kierowcy powinni się bać, gdyby do tej fuzji nie doszło. Chcąc być w Polsce konkurencyjnymi, musimy budować swoją siłę podobnie jak inne zagraniczne koncerny. To dziś nie do pomyślenia, żeby w jednym kraju funkcjonowały dwie firmy tego samego właściciela kupujące oddzielnie ropę. Liczy się przecież efekt skali. Ten, kto kupuje ponad 50 mln ton ropy, rozmawia bezpośrednio z producentami. Natomiast zamawiający mniejsze ilości skazani są na pośredników. Zakup Lotosu zapewni nam większą stabilność i przewidywalność. Oprócz optymalizacji kosztów nie

eprasa.pl a71f128f2c

będzie też dublowania procesów. Lotos nie jest nam jednak potrzebny głównie do przemysłu rafineryjnego, ale do rozwoju petrochemii i innych segmentów. I w ogóle, czy ktoś może mi pokazać tak małą rafinerię w Europie niebędącą częścią zintegrowanej grupy? Za 10 lat tak małe rafinerie mogą nie mieć racji bytu i nie jest to wyłącznie moje zdanie.

Dlaczego tak długo trwa proces akceptowania tej transakcji przez Komisję Europejską?

Biorąc pod uwagę europejskie standardy i doświadczenia, proces przejęcia Lotosu wcale nie trwa długo. A wymaga przecież znaczącej liczby analiz w odniesieniu do wielu obszarów z całego rynku europejskiego. To setki tysięcy stron opracowań i opinii.

Orlen połączony z Lotosem będzie miał jakąś nową nazwę całości?

Koncentrujemy się na aspektach biznesowych i rozmowach z Komisją. Bo to finalnie zdecyduje o sukcesie procesu. Rozumiemy przywiązanie do marki i mamy przykłady spółek w Grupie, które zostały przy własnych nazwach. Na pewno naszą intencją nie jest zabranie Lotosu z regionu. Pomorze w tym zakresie może być spokojne.

Czy oprócz Energi widzi pan na rynku takie firmy, które współgrałyby z tym, co robi Orlen, i mogłyby wejść w skład koncernu?

Są firmy, w których widzę potencjalne synergie dla budowania wartości Grupy i całej polskiej gospodarki. Wszystko ma jednak swój czas i swoje miejsce.

A jakie jest pańskie podejście do energetyki węglowej?

Kierunek rozwoju energetyki mamy zapisany w strategii. Są to nisko- i zeroemisyjne źródła energii.

Doczekamy się farmy wiatrowej na Bałtyku, na którą Orlen ma koncesję?

Jesteśmy na zaawansowanym etapie prac przygotowawczych. I to nie tylko badania dna morskiego, środowiskowe, lecz także kwestie infrastrukturalne oraz logistyczne. Trwają też rozmowy społeczne. Z niektórymi gminami nadmorskimi jesteśmy już na etapie negocjacji. W tym kontekście ważne będzie przejęcie Grupy Energa. Energia z wiatru wymaga bilansowania. Energa ma dwa projekty elektrowni gazowych – w Gdańsku i Grudziądzu – które mogą kompensować wytwarzanie energii w momencie, kiedy na Bałtyku nie wieje wiatr. To bardzo ważne w tym biznesie. Dlatego zainwestowaliśmy w Energę. Ze wszystkich spółek energetycznych była najbardziej komplementarna i posiadała projekty niskoemisyjne i najmniej tych opartych na węglu. I teraz pewnie padnie pytanie o Ostrołękę…

Oczywiście. Zatem: Co dalej z budową tej elektrowni węglowej?

Tak jak deklarowałem wcześniej – elektrownia w Ostrołęce powstanie. Nasze zaangażowanie uzależniamy jednak od zmiany technologii – z węglowej na gazową. Nie możemy funkcjonować w oderwaniu od regulacji Unii Europejskiej dotyczących środowiska naturalnego. Proces transformacji polskiej elektroenergetyki wymaga budowy nisko- i zeroemisyjnych źródeł systemowych, takich właśnie jak bloki parowo-gazowe, które już posiadamy, i blok gazowy, który można wybudować w Ostrołęce. Inwestujemy w biznes po to, żeby go wzmacniać, a nie później reanimować. Elektrownia oparta na technologii gazowej będzie tańsza, bardziej elastyczna.

Dzisiaj według badań aż 88 proc. Polaków, robiąc zakupy, kieruje się tym, czy produkt został wytworzony w kraju; przed pandemią brało to pod uwagę 64 proc. Czy patriotyzm gospodarczy to dobry biznes?

Oczywiście. Jesteśmy zresztą jednym z liderów w tym obszarze. Od początku mojej obecności w PKN Orlen podkreślam znaczenie wsparcia dla polskich, często małych wytwórców. Dziś już 85 proc. produktów w ofercie pozapaliwowej na stacjach Orlen zostało wytworzonych w Polsce. Wcześniej zdarzało się, że nawet kanapki na stacjach nie były produkowane w Polsce, ciasta zresztą też. Ale to już historia.

Generalnie nasze działania koncentrują się na dwóch kierunkach – patriotyzmie gospodarczym oraz inwestowaniu w sport. Nakłady na sponsoring sportowy zwiększyliśmy o 100 proc., bo to bardzo dobry sposób nie tylko na wzmacnianie naszej marki, lecz także budowanie wizerunku Polski za granicą i pozyskanie nowych klientów.

A inwestycja w F1 i Roberta Kubicę się opłaciła?

To dobra inwestycja. Zresztą liczby mówią same za siebie. W samym 2019 r. ekwiwalent reklamowy ekspozycji naszej marki – tylko przy okazji wyścigów F1 w telewizji – wyniósł ponad 170 mln zł. Sponsoring sportu to doskonałe narzędzie do wzmacniania globalnej rozpoznawalności i postrzegania naszej marki. W końcu wyścigi Formuły 1 ogląda 2 mld ludzi na całym świecie. Umiejętnie ten potencjał wykorzystujemy. Zaangażowanie w F1 otwiera też nowe możliwości biznesowe. Globalni partnerzy handlowi kojarzą Orlen z tym sportem i dużo poważniej podchodzą do naszej oferty. Tak to działa na całym świecie. Nasze produkty dostępne są w ponad 100 krajach na kilku kontynentach, a 60 proc. przychodów generowanych jest za granicą. Musimy więc inwestować w rozpoznawalność. To przekłada się na pozyskanie nowych i lojalność dotychczasowych klientów.

Z tego samego powodu Orlen angażuje się w kampanie społeczne – np. te mające na celu poprawienie stanu bezpieczeństwa na drogach?

W biznesie funkcjonuje kilka nierozerwalnie połączonych elementów. Skuteczna firma potrafi je umiejętnie połączyć. Tak jest w przypadku społecznej odpowiedzialności. W czasach pandemii nabrała ona bardzo realnych wymiarów, ale my to rozumieliśmy już wcześniej. Z racji naszego podstawowego biznesu, czyli stacji paliw, zaangażowanie w promocję bezpieczeństwa na drogach było naturalnym kierunkiem. Mogliśmy przy tym wykorzystać wizerunek najszybszego polskiego kierowcy na świecie – Roberta Kubicy. To trafia do Polaków, wśród których cieszy się on dużą rozpoznawalnością i popularnością. Połączyliśmy aspekty społeczne i marketingowe, żeby zwiększyć bezpieczeństwo na drogach, a co za tym idzie – zadbać o zdrowie i życie społeczeństwa. Tak to powinno działać.

Co było głównym powodem przejęcia upadającego Ruchu? Jak widzi pan potencjał tego segmentu Orlenu?

Deklaracja przejęcia Ruchu to decyzja wyłącznie biznesowa. Mówimy o rozbudowanej sieci placówek w całej Polsce, która skutecznie przyspieszyłaby rozwój sprzedaży detalicznej. Ważne są też potencjalne korzyści w obszarze logistyki. Jesteśmy po analizach w tym zakresie, jasno z nich wynika, że przejęcie przyniesie określone synergie. Tak jak podkreślałem – akwizycje muszą się nam opłacać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

Wirus mówi

Wielu deweloperów i agentów nieruchomości zapewnia, że nie spodziewa się, by pandemia miała duży wpływ na rynek budownictwa mieszkaniowego, a w związku z tym na załamanie cen mieszkań. I rzeczywiście na razie ceny – wbrew oczekiwaniom wielu klientów – zamiast spadać, pozostają stabilne. Według NBP od stycznia do końca marca obserwowano w Polsce kontynuację wzrostu cen na rynku nieruchomości pierwotnych. Według obliczeń PAP ceny ofertowe na rynku pierwotnym w takich miastach jak Gdańsk, Gdynia, Kraków, Łódź, Poznań, Warszawa oraz Wrocław wzrosły w porównaniu z pierwszym kwartałem 2019 r. aż o 12,9 proc. Ceny transakcyjne były oczywiście niższe: w tym przypadku wzrost wyniósł 10,8 proc. rok do roku, a średnia cena metra kwadratowego wzrosła do 8,5 tys. zł. W samej Warszawie – jak podała firma CBRE – u progu gigantycznego kryzysu finansowego średnia cena ofertowa 1 mkw. poszybowała do 11,1 tys. zł, a transakcyjna – do 9,8 tys. zł.

To, czy i jak brutalnie życie zweryfikuje optymizm deweloperów, będzie zależało od tego, jak poważny okaże się obecny kryzys finansowy. Bo chociaż polski rynek nieruchomości nadal boryka się z problemem strukturalnego niedoboru mieszkań, to ogromny wzrost bezrobocia wśród Polaków może istotnie wpłynąć na ceny nieruchomości. Stopa bezrobocia zaś według szacunków minister Emilewicz wzrośnie do końca roku do 7–8 proc. A wielu ekspertów nie wyklucza jednak bardziej ponurego scenariusza, w którym stopa bezrobocia osiągnie kilkanaście lub nawet ponad 20 proc. Polacy będą też mieli po prostu mniej pieniędzy. Nagła zmiana rynku pracownika na rynek pracodawcy może bowiem doprowadzić do obniżek płac, a zaostrzenie rygorów sanitarnych przez różnego rodzaju usługodawców – do podwyżek cen. Wiele osób nagle poczuje więc, że stać ich na dużo mniej niż przed wybuchem pandemii. Powszechny może też stać się strach przed utratą pracy.

Efekt zamrożenia gospodarki w nieruchomościach może być jednak widoczny z wielomiesięcznym opóźnieniem. Przed wybuchem pandemii COVID-19 popyt był bowiem tak wielki, że deweloperzy w takich miastach jak Warszawa, Kraków czy Gdańsk wyprzedawali dużą część mieszkań jeszcze na etapie dziury w ziemi.

Gdy deweloperzy zostaną z niesprzedanymi mieszkaniami lub domami, mogą być już skłonni do negocjacji. Początkowo niechętnie będą obniżać ceny, zamiast tego oferując różnego rodzaju promocje, np. darmowe miejsce garażowe, przejęcie na siebie kosztów obsługi notarialnej czy zniżki od zakupu większych mieszkań (sięgające do 40–60 tys. zł).

Tego typu koronapromocje zaczęły się już w marcu, gdy sprzedaż nowych mieszkań w Polsce nagle mocno zwolniła, ale obowiązują do dzisiaj. Dopiero gdy niesprzedane mieszkania postoją dłużej, deweloperzy staną się bardziej skłonni do obniżania swoich marż i wyśrubowanych cen. Na razie mogą jednak wstrzymać się z budową dopiero co zaczętych projektów i ograniczając podaż, próbować utrzymać wysokie stawki za metr.

Osoby z duszą pokerzysty mogą więc poczekać na ewentualne obniżki lub – jeśli

eprasa.pl a71f128f2c

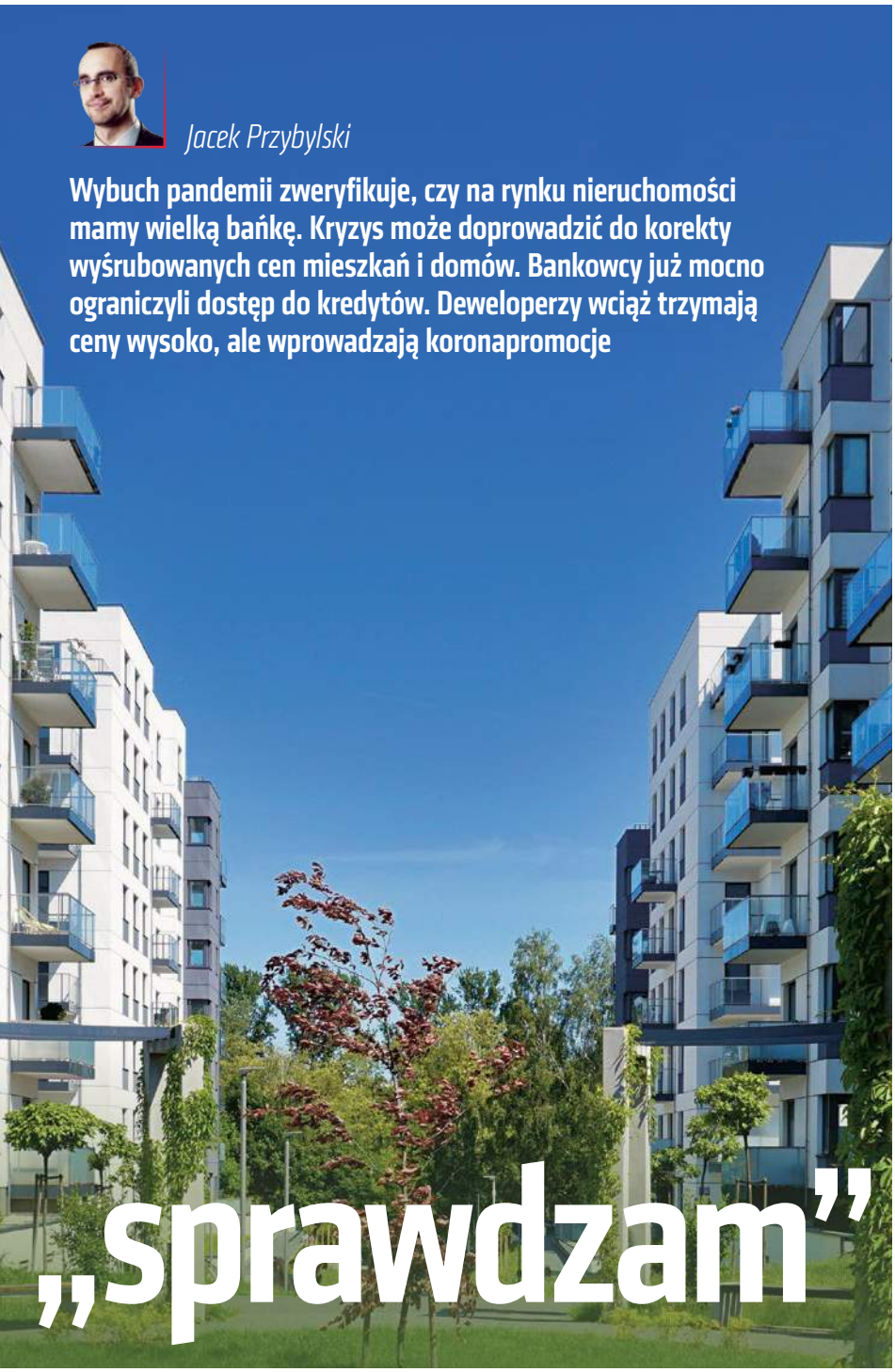

Jacek Przybylski

Wybuch pandemii zweryfikuje, czy na rynku nieruchomości mamy wielką bańkę. Kryzys może doprowadzić do korekty wyśrubowanych cen mieszkań i domów. Bankowcy już mocno ograniczyli dostęp do kredytów. Deweloperzy wciąż trzymają ceny wysoko, ale wprowadzają koronapromocje

„sprawdzam"

FOT. ADOBE STOCK

nie potrzebują kredytu – próbować już teraz wynegocjować atrakcyjniejsze stawki.

TANI PIENIĄDZ TRUDNIEJ DOSTĘPNY

To, co ostatecznie stanie się z cenami, zależy m.in. od wielkości podaży. 2020 r. miał być kolejnym udanym rokiem dla deweloperów, z których wielu w zeszłym roku mogło pochwalić się rekordowymi zyskami.

Mocno pomaga im w tym NBP, który obniża stopy procentowe, a co za tym idzie – wpływa na zmniejszenie wysokości raty kredytu złotówkowego systematycznie od 2012 r. Podczas pierwszego cięcia podstawową stopę procentową zmieniono wówczas z 4,75 na 4,5 proc. Dziś, po dwóch solidnych obniżkach stóp procentowych zarządzonych przez NBP po wybuchu pandemii koronawirusa, podstawowa stopa wynosi zaledwie 0,5 proc. W konsekwencji oprocentowanie kredytów hipotecznych spadło do rekordowo niskiego poziomu i wiele wskazuje na to, że pozostanie takie na wiele najbliższych miesięcy. Kowalscy, którzy wcześniej wzięli kredyty złotówkowe, zaoszczędzą dzięki temu – w zależności od wysokości zaciągniętego kredytu – od kilkuset złotych do kilku tysięcy złotych rocznie.

Skoro wcześniej niskie stopy doprowadziły do nakręcenia bańki na rynku nieruchomości, to teoretycznie teraz Polacy powinni rzucić się po tanie pieniądze na zakup mieszkań, działek oraz domów. Być może część tak zrobi. Zwłaszcza że niższe raty oznaczają też, przynajmniej teoretycznie, wyższą rentowność inwestycji w mieszkania kupione na wynajem (oczywiście pod warunkiem, że wynajmujący nie stracą pracy i mimo kryzysu, obniżek pensji etc. będą w stanie nadal w terminie regulować swoje należności).

Do znaczącego zmniejszenia popytu mogą jednak doprowadzić m.in. kłopoty z uzyskaniem kredytu hipotecznego. Banki w Polsce już stały się dużo bardziej ostrożne niż w okresie największego boomu. Przed wybuchem pandemii COVID-19 wiele z nich akceptowało wnioski klientów, którzy na wymarzone mieszkanie lub dom mieli odłożone zaledwie 10 proc.

W ostatnich tygodniach najważniejsze banki w Polsce ograniczyły grono potencjalnych kredytobiorców do tych, którzy dysponują wkładem własnym w wysokości co najmniej 15–20 proc. Część instytucji finansowych zaostrzyła ten wymóg jeszcze bardziej i pieniądze na zakup mieszkania lub domu skłonna jest pożyczyć tylko tym, którzy na wybraną nieruchomość zaoszczędzili już co najmniej 30 proc. lub nawet 40 proc. jej ceny. Innymi słowy, aby kupić dwupokojowe mieszkanie w Warszawie za 600 tys. zł, jeszcze na początku tego roku wystarczyło mieć odłożone 60 tys., a dziś, aby móc rozmawiać z bankiem o kredycie, trzeba mieć co najmniej 120 tys., a niekiedy nawet 240 tys. zł (do tego trzeba też mieć oszczędności na pokrycie wysokich opłat notarialnych, a także pieniądze na wykończenie czy remont kupowanego mieszkania czy domu). Taka polityka banków staje się coraz bardziej powszechna. Na podwyższenie minimalnego wkładu własnego zdecydowały się w ostatnich tygodniach m.in.: PKO BP, Pekao SA, Bank Ochrony Środowiska, mBank czy ING Bank Śląski.

eprasa.pl a71f128f2c

Jednocześnie bankowcy zwiększyli swoje marże (w wielu bankach ich wysokość jest uzależniona właśnie od wartości wkładu własnego), a analitycy o wiele ostrożniej szacują zdolność kredytową potencjalnych klientów. Nawet ci, którzy odłożyli w banku (lub w skarpecie) wielotysięczne oszczędności, nie mogą być dzisiaj pewni, że dostaną kredyt. Banki zaostrzyły bowiem jednocześnie kryteria dotyczące wysokości dochodów, a także źródeł ich uzyskiwania. Dużo mniej chętnie niż przed pandemią analitycy kredytowi patrzą więc na osoby pracujące na zleceniach, umowach o dzieło, przedsiębiorców wykonujących tzw. wolne zawody, a nawet na etatowców zatrudnionych w firmach działających w branżach uznanych przez bankierów za ryzykowne. To zaś oznacza, że wielu chętnych do zakupu mieszkania nie będzie mogło zrealizować swego marzenia, bo po prostu zostało odciętych od dostępu do kredytu.

Dane o kredytach hipotecznych za pierwszy kwartał nie są jeszcze złe, ale wynika to z tego, że w pierwszych miesiącach 2020 r. bankowcy przetwarzali jeszcze wnioski kredytowe złożone przed wybuchem pandemii COVID-19. Jednak w kwietniu liczba wniosków o kredyt hipoteczny była już wyraźnie niższa niż przed rokiem, a przecież ostrożniejsi bankowcy będą teraz odrzucać więcej próśb o finansowanie niż przed wybuchem pandemii.

MIESZKANIE ZAMIAST ZŁOTA

Kolejną grupą nabywców mieszkań, która może chwilowo nie być zainteresowana inwestycją w nieruchomości, są osoby, które kupowały lokale z myślą o zarobku na wynajmie krótkoterminowym. Pandemia koronawirusa mocno uderzyła jednak w tego typu biznes, więc popyt ze strony takich inwestorów może gwałtownie spaść. Co więcej, ci, którzy nie będą chcieli ryzykować kolejnych miesięcy strat wynikających z ograniczeń związanych z drugą falą światowej pandemii, mogą zdecydować się na wynajem długoterminowy (większa konkurencja na tym rynku doprowadzić może wówczas do obniżki stawek za wynajem, co mogłoby obniżyć wspomnianą wyżej rentowność tego typu inwestycji).

Potencjalnie właściciele tego typu mieszkań mogliby też chcieć wycofać się z biznesu i wystawić je na sprzedaż. Gdyby taka tendencja była silna, wpłynęłaby na mocne obniżki na rynku nieruchomości.

Zupełnie do góry nogami rynek nieruchomości – i to nie tylko tych komercyjnych – może wywrócić masowy eksperyment z pracą zdalną

Deweloperów i sprzedających na rynku wtórnym może jednak ratować to, że w tym kryzysie trzymanie gotówki na bankowych lokatach oprocentowanych często na niecały 1 proc. w skali roku czy w coraz mniej opłacalnych rządowych obligacjach jest nie tylko mało dochodowe, lecz także wprost prowadzi do utraty wartości nabywczej posiadanych oszczędności.

Polityka prowadzona przez obecne władze NBP sprawia bowiem, że według Komisji Europejskiej Polska będzie jedynym krajem Unii Europejskiej, w którym w 2020 r. wzrośnie inflacja, a więc przyspieszą podwyżki cen. Przy rekordowo drogim złocie czy wciąż niepewnych akcjach giełdowych inwestycja w zakup mieszkania lub działki może być więc uznawana za znakomity pomysł na zachowanie wartości kapitału, a być może nawet na godny zarobek. Warto przy tym jednak pamiętać, że nie można inwestycji w nieruchomości przedstawiać jako bezpiecznej alternatywy dla lokat bankowych – rynek mieszkań i domów też potrafi być mocno zmienny, co oznacza, że na nieruchomościach też można stracić.

NADCHODZI REWOLUCJA?

Mimo że opracowanie ewentualnej szczepionki na koronawirusa powinno znacząco zmniejszyć obawy ludzi przed powrotem do normalności, pandemia już wpłynęła nie tylko na wielkość sprzedaży mieszkań oraz domów, lecz także na preferencje kupujących. W okresie zamrożenia gospodarki ulice największych metropolii świata nagle opustoszały. Ludzie pozamykali się w czterech ścianach, w których nagle salony stały się nie tylko miejscami wspólnego spędzania wieczorów, lecz także klasami lekcyjnymi, salami konferencyjnymi, biurami księgowymi, miniredakcjami etc. W takiej sytuacji właścicielom wielu mniejszych mieszkań, a nawet domów, zaczęło mocno brakować większej przestrzeni.

Efekt? Z analizy HRE Investments wynika, że podczas pandemii wzrosło zainteresowanie zakupem większych mieszkań oraz domów. „W kwietniu najczęściej poszukiwaną minimalną wielkością lokalu było 60 mkw. Jeszcze miesiąc wcześniej dolna granica najczęściej wyszukiwanej powierzchni mieszkania była ustawiona na poziomie 40 mkw." – zauważył Bartosz Turek, autor analizy. W przypadku domów najczęściej wyszukiwana powierzchnia wzrosła z co najmniej 60 mkw. do minimum 100 mkw. Rekordy popularności biją również w ostatnich tygodniach działki rekreacyjne i rodzinne ogródki działkowe. Według Bartosza Turka ogromnym zainteresowaniem cieszą się też domki holenderskie, domki drewniane, przyczepy kempingowe czy kampery.

Zmiana preferencji zakupowych zapewne będzie tylko okresowa. Strach przed kolejną pandemią może jednak trwale zmienić sposób projektowania nowych budynków, a nawet całych miast. Nie pierwszy raz zresztą. Wzniesione w 1770 r. Okopy Lubomirskiego – o długości niemal 13 km – miały odgrodzić Warszawę od niebezpiecznej zarazy, czyli dżumy. Gdy zagrożenie epidemiologiczne minęło, nabrały charakteru militarnego, wyznaczając granice Warszawy aż do 1916 r.

Również współcześni urbaniści muszą zacząć planować miasta bardziej odporne na przyszłe epidemie, które mogą być przecież o wiele bardziej śmiertelne niż COVID-19. Oczywiście tak jak zamachy z 11 września nie sprawiły, że nie buduje się już drapaczy chmur, tak i urbaniści nie każą wszystkim wyprowadzić się na bezludną wyspę. Jeżeli jednak to klienci zaczną rozdawać karty na rynku nieruchomości, to mogą zmusić deweloperów do tego, aby porzucili taktykę zabudowywania każdego skrawka ziemi i rozpoczęli projekty, które dawałyby mieszkańcom więcej oddechu.

Zupełnie do góry nogami rynek nieruchomości może zaś wywrócić masowy eksperyment z pracą zdalną. Wiele firm przekonało się, że nie potrzebuje wielkich powierzchni biurowych w ścisłych centrach miast. Jeśli z nich zrezygnują i z eksperymentalnej pracy zdalnej uczynią element stałej strategii biznesowej, to również pracownicy nie będą musieli kupować mieszkań w koszmarnie drogich miastach, ale będą mogli poszukać lokum w mniejszych i o wiele tańszych lokalizacjach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a71f128f2c

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Topienie w długach

Oto na naszych oczach – w związku z walką z COVID-19 i montowaniem kolejnych Tarcz Antykryzysowych – zadłużanie państw – w tym Polski – przeistacza się z czegoś nagannego w coś zgoła odmiennego i godnego najwyższej pochwały. Zadłużajmy się, piekła nie ma! – zdają się dziś wołać niemal wszyscy.

Wobec tego: Gdzie jest granica zadłużania Polski? Abstrahując od wytyczonego w Konstytucji RP zakazu zaciągania zobowiązań ponad poziom 60 proc. PKB i ustalonego w Ustawie o finansach publicznych progu ostrożnościowego na poziomie 55 proc. PKB, którego przekroczenie nakłada na rządzących wiele zobowiązań, jedyną prawdziwą – realną! – granicą zadłużania państwa jest po prostu niemożność większego, niż by się chciało, zadłużenia go. Niemożność biorąca się z tego, że nikt rządowi tak zadłużonego państwa – zdaniem potencjalnych kredytodawców: nadmiernie zadłużonego – nie ufa i dlatego nie chce mu pożyczyć swych pieniędzy.

Zapisy o obowiązku nieprzekraczania przez rząd określonej wysokości zadłużenia państwa – nawet te konstytucyjne – to bowiem – jak uczy praktyka naszego życia publicznego – niestety „tylko" zapisy. Dlaczego politycy nie raz i nie dwa dawali dowód – zmieniając je, obchodząc, naciągając lub po prostu łamiąc? Natomiast negatywna, odmowna reakcja „rynków", czyli głównie banków (ale też indywidualnych amatorów obligacji skarbowych, innych państw i instytucji pomocowych), na złożoną przez rząd ofertę zadłużenia państwa ponad jego możliwości to fakt. Fakt, z którym oczywiście można dyskutować, pomstować nań, złościć się, ale zazwyczaj niewiele to zmienia. Albowiem nie dostaje się pieniędzy na dalsze topienie kraju w długach i ma się dwa wyjścia: ogłosić bankructwo państwa lub tak radykalnie obniżyć jego wydatki (administracja, bezpieczeństwo, emerytury, zasiłki itd.) i/lub tak drastycznie podnieść podatki, by z brakiem pieniędzy poradzić sobie samemu. To jednak, jak wiadomo, niesie ze sobą tę niedogodność, że zwykle bardzo nie podoba się wyborcom.

Rządzący Polską oczywiście zapewniają, że możemy spać spokojnie, bo nawet gdyby kryzys się przeciągnął, to jeszcze długo będziemy mogli się bezpiecznie zadłużać. Ale jak długo? Ile miliardów złotych dzieli Polskę od granicy dalszego zadłużania jej? Na koniec 2019 r. dług Polski sięgał 43,8 proc. PKB. A ile będzie wynosił na koniec 2020 r. i na koniec 2021 r.? Po rollercoasterze z COVID-19 w tle? 55, 60 czy 65 proc.? To byłoby i tak mniej niż wynoszące dziś średnio 80 proc. PKB zadłużenie państw UE, lecz nie dajmy sobie wmówić, że Polskę można bez strachu zadłużyć do poziomu Hiszpanii (96 proc. PKB), Francji (98 proc.) czy Włoch (135 proc. PKB). Nie mówiąc o tym, że każdy kredyt kosztuje – w 2019 r. za odsetki od długu Polski zapłaciliśmy niemal 30 mld zł, czyli każdy z nas po prawie 800 zł. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kononowicz – wersja poprawiona

Lata temu już chyba nieistniejąca znakomita Grupa Operacyjna śpiewała w piosence „Niech nie będzie niczego" o pomysłach barwnego Krzysztofa Kononowicza na prezydenturę Polski (w klipie wystąpił sam Kononowicz):

> ***Nie myśl, że to żart – jesteśmy poważni.***
> ***Każdy ma coś, co go w życiu drażni.***
> ***Pomóżmy sami sobie, zlikwidujmy problem.***
> ***To rozwiązanie dobre godne nagrodzenia Noblem. [...]***
> ***Nic się nie podoba – mówisz, co z tego?***
> ***Jeśli wszystko jest źle, niech nie będzie niczego.***

Od kandydata oczekiwałbym bardziej wysublimowanych pomysłów

Rada Rafała Trzaskowskiego na problemy z rzetelnością i obiektywizmem telewizji publicznej – przecież niewydumane – jest jak wzięta z piosenki Grupy Operacyjnej: zlikwidować TVP Info, „Wiadomości" i co tam jeszcze, a obecnych pracowników wyrzucić. Jeśli ewentualny prezydent będzie tę metodę stosował we wszystkich dziedzinach, gdzie pojawiają się jakieś problemy, to zaczynam się bardzo poważnie obawiać jego wygranej.

Bo pomyślmy tylko. Na drogach są wypadki? Zlikwidujmy samochody. Rośnie liczba kradzieży? Zlikwidujmy własność prywatną. Zdarza się przemoc w rodzinach? Trzeba znieść rodziny. Jednym słowem – nie będzie złodziejstwa, nie będzie bandyctwa, nie będzie niczego.

Od kandydata na prezydenta oczekiwałbym jednak bardziej wysublimowanych pomysłów niż te serwowane przez słynnego kiedyś białostoczanina. Chciałbym usłyszeć, jak planowałby zorganizować media publiczne, aby ograniczyć wpływ polityków na nie – ograniczyć, nie zlikwidować, bo tego zrobić się nie da. I to ograniczyć go także ze strony formacji Trzaskowskiego, niezależnie od tego, jak bardzo jej członkowie przebieraliby nóżkami, żeby wejść w dobrze sobie znaną rolę kontrolerów mediów państwowych. I chciałbym, żeby to był plan konkretny, a nie banalne ogólniki, oparte na słowie „trzeba". Że „trzeba", to ja świetnie wiem nie od dzisiaj. Takie pomysły, dość nawet w detalach już dopracowane, pojawiały się zresztą już również w politycznym obozie Trzaskowskiego, więc nie powinien mieć problemu z sięgnięciem po nie.

Chyba że cichym doradcą Rafała Trzaskowskiego został właśnie Kononowicz. To by wiele wyjaśniało. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

FOT. ADOBE STOCK

Z prof. Jarosławem Kaźmierczakiem, konsultantem krajowym w dziedzinie kardiologii
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Terapia dla serca

KATARZYNA PINKOSZ: Jako konsultant krajowy w dziedzinie kardiologii jak ocenia pan stan serca Polaków?

PROF. JAROSŁAW KAŹMIERCZAK: Nie jest najlepszy. Zaczynamy wcześniej chorować niż przeciętny Europejczyk, wcześniej mamy zawały, wcześniej rozwija się u nas niewydolność serca, wcześniej mamy udar. Więcej osób przedwcześnie umiera. Średnia długość życia mężczyzny w Polsce to 72–73 lata, kobiety 81–82 lata, podczas gdy w Europie jest to 3–4 lata więcej.

To wina tylko stylu życia?

Częściej palimy papierosy, za mało się ruszamy, jemy za mało warzyw i owoców, za dużo tłuszczów, mięsa, cukru. Aczkolwiek, jeśli popatrzymy na to, co dziś znajduje się na naszych stołach, to widać, że powoli nawyki żywieniowe się zmieniają. Do ideału jednak jeszcze nam daleko. Kolejna rzecz: zanieczyszczenie środowiska – jeśli popatrzeć na mapę zanieczyszczeń w Europie, to Polska ma kolor najciemniejszy. A najdrobniejsze zanieczyszczenia powietrza, które wdychamy, przenikają do krwi, niszcząc naczynia krwionośne.

Przyczyną tego, że żyjemy krócej niż mieszkańcy zachodniej Europy, są wciąż głównie choroby serca?

Tak, 48–50 proc. przyczyn zgonów to choroby serca i naczyń. Mówimy: „naczyń", gdyż miażdżyca dotyka nie tylko serca, lecz także naczyń krwionośnych, zarówno dużych tętnic, np. szyjnych, jak i małych tętnic wieńcowych. Podobnie podwyższone stężenie cholesterolu czy nadciśnienie tętnicze działają tak samo niekorzystnie na serce jak na duże tętnice i drobne naczynia wieńcowe. Na to, że żyjemy krócej, ma też wpływ na pewno gorszy dostęp do ochrony zdrowia i nowoczesnego leczenia.

Kiedyś w kontekście chorób serca mówiło się głównie o zawale, miażdżycy. O niewydolności serca się nie wspominało, tymczasem okazuje się, że w Polsce choruje na nią nawet 1 mln osób. Ta choroba zagraża życiu tak samo jak zawał?

Niewydolność serca nie jest jedną chorobą, to zespół objawów, które mogą wynikać z uszkodzonego serca. Może ono być uszkodzone w wyniku różnych chorób, np. choroby wieńcowej, której ostrą postacią jest zawał serca. Najczęstszą przyczyną niewydolności serca jest jednak długo trwające nadciśnienie tętnicze: często nierozpoznane, nieleczone. Albo leczone, ale nieefektywnie.

Jednym z pierwszych objawów niewydolności jest zadyszka, szybkie męczenie się. Wiele osób, gdy ma takie objawy, uważa, że są to normalne dolegliwości, spowodowane np. tym, że mamy o kilka lat więcej lub pojawiła się nadwaga.

Faktycznie, pierwsze objawy niewydolności serca to zmniejszona tolerancja wysiłku: trudniej nam wykonać to, z czym nie mieliśmy jeszcze niedawno problemu. Część osób lekceważy ten objaw, uważając, że to normalne, z racji nadwagi, wieku. Przyzwyczaja się do wykonywania coraz mniejszego wysiłku; zamiast spacerować, jedzie samochodem; nie wchodzi po schodach, tylko jedzie windą. Kolejnym objawem niewydolności serca jest duszność. Gdy niewydolność serca postępuje, mogą

eprasa.pl a71f128f2c

pojawiać się kolejne objawy, takie jak obrzęki nóg, powiększenie obwodu brzucha, sinica, niewydolność innych narządów.

Statystyki pokazują, że Polska jeszcze przed epidemią koronawirusa zajmowała pierwsze miejsce, jeśli chodzi o liczbę hospitalizacji z powodu niewydolności serca, spośród wszystkich krajów OECD. Skąd to niechlubne pierwsze miejsce?

Polska faktycznie ma bardzo wysoki wskaźnik hospitalizacji: prawie 700 na 100 tys. mieszkańców, podczas gdy średnia dla krajów OECD to ok. 230–250. Głównym powodem jest nieodpowiednio zorganizowana opieka ambulatoryjna. Coraz lepiej w Polsce leczy się ostre stany, np. zawały serca. Pacjenci z tego powodu nie umierają, jednak u części rozwija się niewydolność serca. Wychodzą ze szpitala i są w większości pozbawieni kompleksowej opieki. Chociaż i tu widać poprawę, ponieważ od trzech lat działa program kompleksowej opieki nad pacjentem po zawale serca (KOS-ZAWAŁ). Jednak w Polsce objętych jest nim tylko ok. 12–13 proc. pacjentów po świeżym zawale serca. Od kilku lat próbuje się wdrożyć program opieki koordynowanej nad pacjentem z niewydolnością serca, niekoniecznie pozawałową (tzw. KONS).

Dlaczego to się jeszcze nie udało?

Pilotaż miał rozpocząć się od września 2019 r., wszystko już było przygotowane. Zapewne epidemia koronawirusa jeszcze ten proces opóźni. Zorganizowanie opieki nad chorymi z niewydolnością serca jest bardzo ważne, żeby odpowiednio wcześnie wychwycić chorobę i dobrze ją leczyć, uniknąć zaostrzenia i konieczności pobytu w szpitalu. Każda hospitalizacja z powodu niewydolności serca skraca życie. To znaczy: oczywiście skraca je nie tyle hospitalizacja, ile zaostrzenie, które do niej prowadzi.

Dzisiaj, gdy mamy epidemię koronawirusa, tym bardziej należałoby robić wszystko, by ograniczyć konieczność pobytu w szpitalu. Co trzeba zrobić?

Ważna jest dobra opieka ambulatoryjna, która u nas kuleje. W Polsce ok. 3–4 proc. budżetu NFZ jest wydawane na leczenie niewydolności serca, a ponad 90 proc. tej kwoty obejmuje leczenie szpitalne. Gdyby te pieniądze wydać wcześniej, dobrze zorganizować opiekę i leczenie ambulatoryjne, to efekty byłyby znacznie lepsze. Chodzi o to, żeby pacjent był pod opieką specjalisty, ale też lekarza rodzinnego, pielęgniarki, dietetyka, rehabilitanta. W tej chorobie ważna jest samokontrola, ale również zdalne monitorowanie pacjenta: dzięki temu można wychwycić takie objawy jak wzrost masy ciała, przewodnienie, pojawienie się obrzęków, wzrost częstości rytmu serca, spadek ciśnienia. To już są oznaki, że pogarsza się wydolność serca. Nieraz wystarczy korekta leczenia i stan pacjenta się poprawia. Dlatego ta dobra opieka jest tak ważna.

Niewydolność serca to nie tylko choroba serca. To, że serce – czyli pompa – gorzej działa, powoduje całą kaskadę zaburzeń metabolicznych

Czy niewydolność serca mają tylko osoby starsze?

Dominują osoby powyżej 65 lat, jednak chorują też osoby w wieku produkcyjnym, widzimy pacjentów mających 50–65 lat, zdarzają się też młodsi.

Liczbę hospitalizacji można zmniejszyć także dzięki poprawie leczenia i zastosowaniu nowoczesnych leków?

Jeśli chodzi o refundację, to brakuje szerokiej dostępności do kilku nowych leków np. sakubitrylu/walsartanu. Pojawiają się też nowe leki: kilka lat temu okazało się, że niektóre leki przeciwcukrzycowe są bardzo skuteczne także w leczeniu niewydolności serca. Ich podawanie poprawia komfort życia, rokowanie i przeżywalność także chorych, którzy mają tylko niewydolność serca, bez towarzyszącej cukrzycy. Staramy się, by jeden z tych leków – dapagliflozyna – również był dostępny w ramach refundacji dla chorych w Polsce.

Niedawno została ona zarejestrowana przez amerykańską FDA dla chorych z samą niewydolnością serca, bez towarzyszącej cukrzycy. A w Europie?

Mamy nadzieję, że EMA, czyli Europejska Agencja Leków, zarejestruje ten lek jesienią 2020 r. dla chorych z niewydolnością serca, bez towarzyszącej cukrzycy. Już dziś jednak Ministerstwo Zdrowia może lek, który jest zarejestrowany w danym kraju – a dapagliflozyna jest zarejestrowana w leczeniu cukrzycy – refundować także w innym wskazaniu, jeśli dane naukowe wskazują, że jest skuteczny.

Dapagliflozyna byłaby potrzebna chorym z niewydolnością serca bez towarzyszącej cukrzycy?

Każdy lek, który jest wsparciem dla osób z niewydolnością serca, byłby potrzebny. Ja nawet teraz zapisuję go pacjentom. Jednak bez refundacji nie wszystkich stać na jego zakup.

Jak to się dzieje, że lek stosowany w cukrzycy może być skuteczny u chorych na niewydolność serca?

W przypadku cukrzycy powoduje on wydalenie nadmiaru glukozy z moczem. W przypadku niewydolności serca ważny jest efekt moczopędny, jednak lek działa też w kilku innych mechanizmach, z których nie wszystkie są jeszcze poznane. Faktem jest, że stosowanie go poprawia wydolność serca, pacjenci mają mniejszą duszność; jeśli mieli obrzęki kończyn dolnych, to one się zmniejszają. Poprawiają się też parametry biochemiczne krwi. Z badań klinicznych wynika, że zmniejsza się liczba hospitalizacji spowodowanych niewydolnością serca.

Warto też pamiętać, że niewydolność serca to nie jest tylko choroba serca. Na skutek tego, że serce – czyli pompa – gorzej działa, dochodzi do całej kaskady zaburzeń metabolicznych. W przewlekłej, długo trwającej chorobie dochodzi np. do niedokrwistości, którą ciężko się leczy, konieczne jest podawanie dożylne żelaza. U pacjentów rozwijają się zaburzenia wchłaniania, dochodzi do zaburzenia funkcji nerek. Pojawia się efekt błędnego koła, ponieważ jedno zaburzenie powoduje drugie. Dlatego tak ważne jest dobre leczenie tej choroby.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Jarosław Kaźmierczak – konsultant krajowy w dziedzinie kardiologii, kierownik Pracowni Elektrofizjologii Klinicznej Kliniki Kardiologii Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

eprasa.pl a71f128f2c

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Policcy terroryzują Lwów

W latach 20. XVII w. zuchwałością i bezwzględnością zasłynęła, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, banda, w dawnych czasach zaś – swawolna kompania – Polickich, urządzająca napady i burdy w okolicach Lwowa. Bracia Policcy – starszy Jakub i młodszy Andrzej – niemający jeszcze 20 lat, będący właścicielami wsi Sokolniki na południe od miasta, zebrali tutaj dużą, niegodną kompanię. Składała się ona z niejakiego Ostrowskiego, głównego prowodyra i paliwody, własnych chłopów sokolnickich – Joba, Florka i kilku innych, a także sporego pocztu bezrobotnych lisowczyków. Swawolna kompania utrzymywała szpiega, Gąsiorowskiego, który przebierał się – to za chłopa, to za Żyda, za pielgrzyma i mnicha – po czym krążył w okolicy, dowiadując się o bogatych domach, dworach i ludziach, „nadawał" zatem robotę krwawym braciom.

FOT. WIKIPEDIA

Począwszy od roku 1623, Policcy popełnili wiele zbrodni, terroryzując zarówno okolice Lwowa, jak i samo miasto. Najzuchwalszym z ich postępków był zajazd na folwark mieszczanina Krzysztanowicza, który złupili doszczętnie, zamordowali także przebywających tam trzech służących, po czym, jak podaje Władysław Łoziński w „Prawem i lewem", związali razem ciała i wrzucili do studni. Nie gardzili także napadami na chłopów, księży i popów, wkrótce wszyscy mieszkańcy pobliskiej okolicy dosłownie bali się wychodzić z domów. Bracia, otoczeni licznymi strażami i pachołkami, pojawiali się także w mieście, wzniecając zwady i bójki, pokazując szlachecki temperament i wybujałą fantazję. W trakcie jednej z takich wypraw Jakub Policki zabił bez przyczyny królewskiego hajduka, który szedł do miasta. Zatrzymał go bowiem pod kościołem Marii Magdaleny, istniejącym i dziś, położonym przy ul. Bandery, jeszcze gorszego bandyty, i zapytał: „A coś ty za drab? Jam nie drab, alem jest dobosz Jego Królewskiej Mości" – odpowiedział zagadnięty. „A, dobosz, dobosz!" – odparł Policki, po czym ciął go szablą po szyi.

W 1625 r. burzliwa kariera Polickich skończyła się równie szybko, co się zaczęła. Pijani, szukający zaczepki bracia wszczęli burdę pod domem mieszczki Kampinosowej, u której przebywali w gościnie Mikołaj Cetner i Stanisław Głębocki. Pierwszy strzelił z rusznicy Ostrowski, na co Cetner wyjrzał z kamienicy i rzekł: „A, bracie, kiedyby to nie strzelać!". „Wolno mi" – odpowiedział Ostrowski, na co Cetner zawołał do chłopca, aby przyniósł mu szablę. Szlachta, też dobrze podpita, wyszła przed dom, gdzie Ostrowski strzelił do nich drugi raz – na szczęście nie trafiając nikogo. Wówczas wystąpił Głębocki, wyzywając zuchwalca na pojedynek, mówiąc: „Sam jedno, sam, nie ufaj w tę ruszniczkę!". Ostrowski zatem zsiadł z konia i zaczął rąbać się z Głębockim, a wówczas starszy Policki przypadł z boku i skrytobójczo zastrzelił szlachcica.

Tym razem jednak trafiła kosa na kamień: Policcy spotkali groźniejszych od siebie. Bracia zabitego – Mikołaj i Paweł – rzucili się w pościg za swawolną kompanią, która rozproszyła się i poukrywała po dworach i domach znajomych. Głęboccy szaleli z gniewu – wpadli najpierw do Hodowicy, do domu kmiecia Sieńka, gdzie Policcy urządzili sobie, mówiąc złodziejskim językiem, bandycką dziuplę, czyli skład zrabowanych rzeczy. W tym miejscu ukrywał się także młodszy z Polickich – Andrzej, który bronił się zaciekle. W wywiązanej walce zginęła jego siostra przyrodnia – z drugiego małżeństwa matki, zwana Sarnowszczanką – przeszyta, jak podają księgi sądowe – trzema kulami. Przy okazji sami Głęboccy, a raczej ich służba, zrabowali tysiąc złotych w gotówce, a z zabitej zwlekli kosztowną czamarę. Polickiego pod eskortą przewieziono do Lwowa i wrzucono do więzień ratuszowych – do najgłębszej celi zwanej Gelazynką, zapewne od Mikołaja Gelazyna, konsula Lwowa, doktora praw i sprawiedliwego człowieka. Niedługo jednak zagrzał tam miejsca, starosta lwowski Stanisław Bonifacy Mniszech zabrał go bowiem z więzień miejskich i umieścił w wieży na zamku pod pozorem, że Policki jednak był szlachcicem. Ostatecznie udało mu się ujść spod katowskiego miecza, skazano tylko schwytanego później Ostrowskiego, którego szlachectwo było chyba wątpliwe, albowiem dwa razy wzięto go na tortury, a następnie ścięto. Andrzeja po długim i przewlekłym procesie trybunał wypuścił ostatecznie na wolność, jako że nie został pojmany na gorącym uczynku. Po wyjściu miał jeszcze czelność wytoczyć proces miastu Lwów i całej radzie miejskiej za bezprawne uwięzienie. Co stało się z głównym prowodyrem – starszym bratem Jakubem Polickim – tego nie wiadomo. Być może wstąpił do wojska albo uciekł do staropolskiego Meksyku, czyli na Ukrainę. Historia wszelakich wojen prywatnych, zajazdów i waśni na Rusi Czerwonej nie notuje już nigdy człowieka o takim nazwisku. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

CHARLES DAIGNEAULT POLECA PRZEKĄSKĘ NA MECZ

Świat sportu powoli wraca do normalności, facet może znów być facetem, jeśli nie na trybunach to przed telewizorem. Przed nami wielki mecz ustawiamy fotele, wysyłamy żony i dziewczyny do kosmetyczki (salony już otwarte!) i... co? Kupujemy chipsy? Eee, nuda! Chcę wam udowodnić, że można prosto i tanio przygotować coś specjalnego dla was i kumpli (gdy już będziecie mogli ich zaprosić). Na luzie, bez nadęcia.

Jestem fanem hokeja, bo to przecież nasz kanadyjski sport narodowy. Uwielbiałem czasy play-offów, gdy rozgrywano mecz za meczem, a my z chłopakami po pracy czy szkole pędziliśmy do jednego z nas, by wspólnie przeżywać wielkie emocje. Już wtedy to na mnie spoczywał obowiązek zapewnienia „przegryzek" do piwa, bo – tak jak każdy prawdziwy facet – lubię wrzucić coś na ruszt, gdy emocje sięgają zenitu. Mam więc w tym doświadczenie. Duszone żeberka, które polecam, wymagają czasu, ale hej – przecież powrót rozgrywek ulubionej drużyny po tak długiej przerwie spowodowanej pandemią to okazja do świętowania!

Składniki:

- 2 kg żeberek wieprzowych (jak najwięcej mięsa)
- 1 cebula
- 1 łyżeczka soli
- ½ łyżeczki pieprzu

Marynata:

- 100 ml soku pomarańczowego
- 100 ml miodu
- 75 ml octu
- 2 łyżki brązowego cukru
- 1 szklanka ketchupu
- 1 mała cebula pokrojona w kostkę
- 1 łyżeczka czosnku granulowanego
- 1 łyżeczka pieprzu

Przygotowanie:

Żeberka gotujemy w wodzie z cebulą, solą i pieprzem (można dodać też kawałek wędzonego boczku) ok. 45 min, następnie odstawiamy je, aby przestygły. Mieszamy składniki do marynaty, gotową marynatę przelewamy do torebki foliowej i wkładamy do niej żeberka. Całość odstawiamy na noc lub, jeszcze lepiej, na całą dobę. Po upływie tego czasu przekładamy żeberka razem z marynatą do brytfanny i pieczemy przez 2,5 godz. w temperaturze 180 st. C pod przykryciem. Nie zapominamy o kilkukrotnym polewaniu żeberek marynatą. Jeśli chcemy uzyskać efekt glazurowanych skrzydełek, to pieczmy je bez przykrycia jeszcze 30 min. ©℗

oprac. raw

Charles Daigneault – charyzmatyczna gwiazda świata kulinarnego, półfinalista programu „MasterChef", gospodarz programu „Domówka", współprowadzący program „Kuchenne powroty". Kanadyjczyk z domieszką francuskiej i indiańskiej krwi. Do Polski sprowadziła go miłość.

FOT. ŁUKASZ CĄCUSKI/FORUM

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ciekawostka very British

FOT. ADOBE STOCK

Marmite to jedna z tych rzeczy, które się kocha lub których się nienawidzi. Szpinak, flaki, czernina... Już nie pamiętam dokładnie, kiedy zawarłam z marmite znajomość, ale od razu wiedziałam, że będę członkiem frakcji „kocham". W tym poglądzie w rodzinie jestem odosobniona: mąż i synowie krzywią się (robią jeszcze gorsze grymasy) na sam widok ciemnego słoiczka z żółtą zakrętką. W środku ciemnobrązowa maź zawierająca drożdże, sól, przyprawy. Ja lubię marmite na grzance z cheddarem albo zamiast masła z dżemem. – Co za świństwo – mówią na to moi. Ale nasi kuzyni z Londynu nie wyobrażają sobie bez niego śniadania. Herbata i grzanka z marmite to w Wielkiej Brytanii klasyka od 100 lat, popularna także w Australii i Nowej Zelandii.

Produkt tipically British i jako taki powinien oznaczać coś paskudnego. Bo przecież brytyjska kuchnia nie ma dobrej reputacji, nawet teraz, gdy została zasilona smakami z dawnych kolonii. Kwestia smaku jest względna, ja o marmite powiedziałabym nie „niesmaczny", ale „charakterystyczny". Wyrazisty, niepodobny do niczego. Smak umami, piąty smak...

Twórcą receptury jest niemiecki chemik Justus von Liebig, który wpadł na pomysł, że drożdże powstające przy produkcji piwa można zagotować, zagęścić, wsadzić do butelki i otrzymać obfitującą w witaminy B complex substancję. W roku 1902 w Burton w Staffordshire w Anglii powstała fabryka Marmite Food Extract Company, która produkowała tylko to. Drożdży dostarczał sąsiedni browar. Odkrycie witamin zapracowało na sukces marmite. Wkrótce zapotrzebowanie było tak duże, że pod Londynem otwarto drugą fabrykę. Podobno sąsiedzi skarżyli się na smród.

Jeszcze większy boom nastąpił w czasie pierwszej wojny światowej, gdy choroba beri-beri, ciężka, a nawet śmiertelna awitaminoza, dziesiątkowała żołnierzy. Marmite włączono więc do racji żywności dla brytyjskiej armii. W latach 30. brytyjska lekarka, Lucy Wills, leczyła nim z kolei robotników z Bombaju chorych na anemię, zalecano go także w leczeniu malarii...

Nie zaręczam, że państwo polubią tę brytyjską ciekawostkę, ale kto nie próbował, tego zachęcam. Choćby po to, żeby się przekonać, czy jesteście w partii „kocham" czy „nienawidzę". Poza tym marmite jest bardzo zdrowe, zwłaszcza w grupie 50+.

I podobno to nieprawda, że odstrasza komary. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

TEST „DO RZECZY": KAMERA SAMOCHODOWA MIO MIVUE 798

Świetna jakość nagrań w dobrym oświetleniu, dodatkowe funkcje zwiększające bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów oraz regularnie aktualizowana baza danych o fotoradarach – to najważniejsze zalety wideorejestratora z wyższej półki.

Mio MiVue 798 z obiektywem o przysłonie f/1.8 oraz rzeczywistym kącie widzenia 150 stopni nagrywa w wysokiej rozdzielczości 1600 p z szybkością 25 kl/s. Jakość nagrań w dobrym świetle jest rzeczywiście świetna. Obraz jest ostry i czytelny. Bez problemów można więc odczytać tablice rejestracyjne mijanych samochodów czy też wszelkiego rodzaju znaki drogowe.

Niestety, w nocy czy w deszczu jakość nagrań wyraźnie spada. Dużo trudniej jest bowiem wyraźnie zobaczyć szczegóły, a odczytanie oświetlonych reflektorami tablic mijanych samochodów jest czasem zupełnie niemożliwe.

Obraz wyświetlany jest na kolorowym wyświetlaczu LCD o przekątnej 2,7 cala. Ekran jest na tyle duży, że można podejrzeć na nim zarejestrowany materiał, a jednocześnie na tyle mały, że kamerka nie zwraca na siebie zbytniej uwagi i waży zaledwie 112 g (jej wymiary to zaś 90,2 x 48,8 x 37,05 mm).

Model wyposażony w czujnik przeciążeń G-Sensor oraz GPS. Wszystkie te dane wyświetlane są na zapisanym materiale wideo, co może pomóc w dochodzeniu swoich racji w sądzie. Domyślnie rejestrowana jest również prędkość samochodu, ale tę nie przez wszystkich lubianą funkcję można łatwo wyłączyć. Nagrania archiwizowane są na karcie microSD (trzeba ją kupić osobno) o pojemności do 128 GB.

Testowany wideorejestrator ma również dostęp do bazy fotoradarów. Dzięki temu z odpowiednim wyprzedzeniem przypomina kierowcy o konieczności jazdy zgodnie z przepisami.

Dodatkowymi zaletami testowanego fotoradaru są: automatyczna obsługa trybu parkingowego oraz system zwiększający bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów (ADAS). W skład tego ostatniego wchodzą elektroniczny asystent, który ostrzega kierowcę przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu (LWDS) oraz system zapobiegający skutkom kolizji z samochodem poprzedzającym (FCWS). Ten model wideorejestratora może też zachęcać kierowcę do zrobienia przerwy w jeździe (np. co dwie, trzy, cztery godziny).

Mio MiVue 798 współpracuje też z czujnikami TPMS, co umożliwia bieżącą kontrolę nad tym, czy ciśnienie w oponach jest prawidłowe.

Miłośników serwisów społecznościowych ucieszy z kolei możliwość szybkiego przesyłania filmików z wideorejestratora prosto na smartfona, a stamtąd wprost na Facebooka czy YouTube. Dzięki temu można błyskawicznie pochwalić się wideo z wyjazdu w egzotyczne rejony globu lub chociaż kraju.

Wady? Poza wciąż niezbyt dobrą jakością nagrań wykonanych nocą temu modelowi brakuje również wbudowanego akumulatora, który pozwoliłby kamerce działać bez podłączenia do zasilania. Minusem jest też cena. Testowany wideorejestrator kosztuje 819 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SPAL TŁUSZCZ?

Nie tylko Hollywood jest fabryką marzeń. Sprzedają je wszyscy producenci, którzy swoim klientom oferują cudowne „spalacze tłuszczu" albo urządzenia do walki z podskórną tkanką tłuszczową, przekonując, że można się go pozbyć bez ciężkiego treningu aerobowo-siłowego. Klituś-bajduś. Ale zawsze można połączyć łatwe z trudnym i liczyć na lepsze efekty. Przynajmniej w postaci jędrnej skóry. A pomóc w tym może np. Fat Iron, czyli „tłuszczowe żelazko" – przystosowane do użytkowania domowego urządzenie, które ma pomóc w walce z rozstępami i nadmiarem skóry pozostałej po gwałtownym schudnięciu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jak to w kampaniach reklamowych bywa, ściema przeplata się z prawdą: gadżet nie zlikwiduje, jak twierdzi producent, uporczywego tłuszczu, nie zbuduje mięśni, choć może pomoże w uzyskaniu efektu delikatnego ich napięcia, za to skórę ujędrni, lekko tonizując mięśnie. Wystarczy przyłożyć w problematycznych miejscach, nacisnąć przycisk i pozwolić, by promieniowanie wydzielane przez gadżet „topiło" tkankę tłuszczową i stymulowało kolagen w tkance skórnej. Jako że za złudzenia się płaci, Fat Iron kosztuje blisko tysiąc złotych. Zamawiać można na portalu Indiegogo, a dostawa w czerwcu.

PRZENOŚNA ELEKTROWNIA

Kto oglądał filmy o inwazji zombi albo innej pandemii, ten wie, jak ważna do przetrwania w warunkach domowych jest własna elektrownia. A jakby apokalipsa truposzy nie nadeszła, to przyda się choćby na kempingu. EcoFlow R600 – czyli przenośna elektrownia modułowa, a tak naprawdę zespół akumulatorów, z inteligentnym przetwornikiem 600 W – pozwala w godzinę uzyskać od 0 do 80 proc. naładowania energią. Kosztuje ok. 1,2 tys. zł, zamawiać można na portalu Indiegogo, a dostawa w sierpniu. ©℗

Wojciech Wybranowski

eprasa.pl a71f128f2c

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Adios, epidemio!

Zadzwonił do mnie znajomy. – Wiesz, skoro tak się sprawy mają, to może kawa na mieście? Co? – uśmiechnął się zachęcająco. Odruchowo chciałem odmówić i wymówić się kwarantanną. Ale niestety. Już tak się nie da.

Koronawirus, przy wszystkich oczywistych i straszliwych wadach, miał też kilka zalet. Przede wszystkim był doskonałym alibi. Ileż rzeczy można było zwalić na społeczną izolację! Na przykład od pewnego czasu nęka mnie pewien człowiek, którego znam, ale którego nie lubię. Ubzdurał on sobie, że spotkamy się na kolacji, napijemy wina i poważnie porozmawiamy. Jako osoba umiarkowanie asertywna nie zdobyłem się nigdy na dobitne stwierdzenie, że po prostu nie mam na to ochoty, a poza tym nie piję wina. W żałosny sposób wymyślałem rozmaite uniki, wśród których obowiązki związane z dzieckiem zdecydowanie wysuwały się na pierwszy plan (powinniśmy być dozgonnie wdzięczni naszym potomkom za to, ile rzeczy można na nie zwalić!), ale dochodziłem już do sytuacji, w której myślałem o kontrolowanym pożarze mieszkania lub symulowaniu zawału serca. Tak robiła w szkole mojego syna pewna nauczycielka, kiedy brała po kryjomu fuchę w innym miejscu. Potem jednak pojawiła się pandemia i problem zniknął na długie miesiące. Teraz niestety zapewne powróci. Cóż, nikt nie powiedział, że życie towarzyskie musi być wyłącznie przyjemnością.

Albo w pracy. Wstyd się przyznać, ale wielu obowiązków nie wypełniłem, bo mi się nie chciało, a tłumaczyłem się epidemią. – Wie pani, to musi poczekać, bo teraz jest koronawirus – przekonywałem. Najpierw dość nieśmiało, ale potem spostrzegłem, że jest wręcz pewne oczekiwanie, żeby z powodów epidemicznych nie robić rzeczy, które w gruncie rzeczy można było zrobić. Bezwstydnie to wykorzystywałem. A potem nawet nie musiałem wykorzystywać, bo świat sam mnie zachęcał, żebym nic nie robił. Ludzie sami dzwonili do mnie i mówili: „No dobra, jest epidemia, to niech się pan nie spieszy. W czerwcu zobaczymy, co dalej". Szczerze mówiąc, epidemia w niczym mi nie przeszkadzała, ale kiwałem poważnie głową i nie protestowałem.

No więc ja należę do tej nielicznej, a może po prostu cichej grupy, która społeczną izolację zniosła bardzo dobrze, co zapewne wynika z mojego zdziwaczenia, lenistwa i przeświadczenia, że rzadko który człowiek jest interesujący, więc spotkania z ludźmi są przereklamowane. Skłonność do chodzenia w dość wygodnych, a mało reprezentacyjnych ciuchach też może odgrywać pewną rolę. I w końcu tak między nami – ja po prostu lubię spędzać czas z rodziną.

Cóż, pandemia przemija. Nie mówię, że będę tęsknił. Ale powspominam z pewnym sentymentem. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Koronasceptycy

Dzieje ludzkiej głupoty i pseudowiedzy to być może jeden z najobszerniejszych rozdziałów naszej cywilizacji. O ile do tej pory mogliśmy się łudzić co do skali zjawiska, o tyle Internet wykrzyczał nam prosto w twarz, jak nieprzebrane są jego pokłady. Od Stowarzyszenia Płaskiej Ziemi przez grupy, które twierdzą, że lądowanie na Księżycu wyreżyserował w hollywoodzkim studiu Stanley Kubrick do antyszczepionkowców. Ostatnio z impetem do tego grona dołączyli koronasceptycy – ludzie, którzy uważają, że koronawirus nie istnieje, a pandemia stanowi eksperyment społeczny zmierzający do chipowania mieszkańców Ziemi oraz zachwiania globalną gospodarką.

Co być może ciekawe (choć po głębszym namyśle mało zaskakujące), awangarda koronasceptyków w Polsce składa się z całej gamy przebrzmiałych nieco celebrytów. Nagle okazuje się, że ludzie, których wkład w kulturę nigdy nie polegał na ekspertyzie polityczno-medycznej, prezentują szerokie spektrum hipotez, tłumaczących „ukrywaną prawdę". Dla przykładu; leczenie koronawirusa witaminą C zaleca strongman Mariusz Pudzianowski. O „fałszywej pandemii" na Instagramie pisze Dorota Rabczewska „Doda". Magdalena Gessler wyjaśnia z kolei w mediach społecznościowych, że wirusy przyklejają się do cebuli, dlatego dobrze jej trochę w domu porozkładać. A szczepionki? Od nich trzeba trzymać się z daleka, bo „nie wiadomo, do cholery, co w nich będzie". – Ci, którzy nie wezmą szczepionki, będą zamykani w kaftany i wywożeni z domu – twierdzi gwiazda TVN.

Podobny coming out zaliczyła również w ubiegłym tygodniu Edyta Górniak, która w telewizji wRealu24 wygłosiła prawdziwy manifest koronasceptyczki, zaangażowanej w „poszerzanie ludzkiej świadomości" oraz walkę z fałszywym strachem związanym z pandemią, którego konsekwencją będą „masowe szczepienia". – Muszę to powiedzieć: dopóki żyję, nie dam się zaszczepić. Wolę odejść z tego świata, niż pozwolić komukolwiek wstrzyknąć w mój organizm coś, czego nie znam. Mojemu dziecku też nie pozwolę się zaszczepić. Jeśli to będzie oznaczało zagładę dla nas, to trudno – stwierdziła z rozbrajającą szczerością.

W tej samej telewizji wcześniej wypowiedział się muzyk Iwan Komarenko, autor hitu „Czarne oczy". – Farmaceuci zorientowali się, że mogą na tym zyskać. Zaczęli tworzyć pandemię strachu. COVID-19 to globalne oszustwo. Nasz rząd świadomie uległ tym manipulacjom i próbuje odebrać nam wolność – grzmiał z zapałem proroka. Niestety, lista tego klubu z dnia na dzień się powiększa: od rapera Tede do pianisty jazzowego Leszka Możdżera. I to jest dzisiaj, już bez ironii, druga, może nawet gorsza pandemia. Atakująca nie ciało, ale umysł. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wielki remont: Magadan–Kalinin–Praga

W magadańskim województwie wyremontowano łagry i turmy. Wszyscy nawzajem przestraszyli się. Znowu dusze łamią się. Bez sensu wyprostowywał je »Archipelag GUŁag«…". Z Mickiewiczowego matecznika, między Nowogródkiem a Grodnem ukrytego, doszły do mnie te słowa. Piękna polszczyzna, przygnębiająca treść. List wysłany w maju tego roku. Nie umiem znaleźć aktualnych informacji o odnawianiu obozów Dalstroju w Kołymie, najniższego kręgu piekła Gułagu, gdzie od 1932 r. więźniowie (m.in. tysiące rodaków Mickiewicza) wydobywali złoto – i szybko umierali. Ostatni wyszli stamtąd na wolność podobno dopiero w czasach Jelcyna. Czy znowu zaczną tam wysyłać ludzi? Zaniepokojenie dociera aż nad Niemen, gdzie ludzie najwidoczniej czują się wciąż objęci tym wielkim imperium, którego widocznym biegunem (zła) jest – „magadańskie województwo" i jego „turmy".

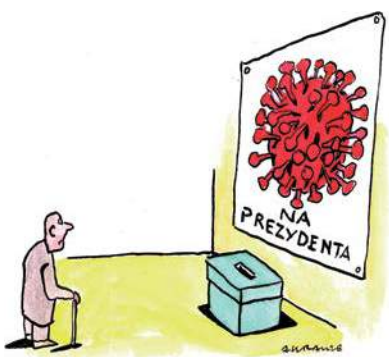

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

„Znowu dusze łamią się" – to prawda. Niedawny przykład, geograficznie bliższy. W Twerze 7 maja z publicznego budynku zdjęto dwie tablice, które zamontowano w 1991 r. Jedna, po rosyjsku, informowała, że tu, w wewnętrznym więzieniu NKWD, zabijano w latach 1930–1950 obywateli sowieckich. Na drugiej, polskiej, widniał napis: „Pamięci jeńców obozu w Ostaszkowie, zamordowanych przez NKWD w Kalininie. Światu ku przestrodze. Rodzina Katyńska". Tam odbyła się jedna z trzech najkrwawszych części operacji, którą znamy pod zbiorczą nazwą Katynia. Zastrzelono w tym budynku ponad 6 tys. polskich policjantów i funkcjonariuszy KOP. Tablica – nieduży znak pamięci. Ale przeszkadza. Telewizja Rossija 24 komentuje jej usunięcie tak: „Co roku pod tablice przychodziły polskie i rosyjskie delegacje. Prości ludzie, którzy uwierzyli w winę Związku Sowieckiego za katyńskie egzekucje. Jednak z oskarżeniami pod adresem naszego kraju nie pogodzili się społecznicy i historycy. Sprawiedliwość nareszcie się dokonała". Tak Federacja Rosyjska uczciła 80. rocznicę zbrodni katyńskiej.

Kiedy byłem w Kalininie, jeszcze tak się to miasto nazywało w roku 1989, inny zupełnie „lokalny społecznik i historyk" zaprowadził mnie pod ów budynek i powiedział: „Tu NKWD zabijało Polaków". Wtedy jeszcze nie wolno było głośno o tym mówić. Gorbaczow wyznał ćwierćprawdy o Katyniu, ale o Ostaszkowie i Kalininie było jeszcze cicho. Wspomniany historyk bizantynolog nazywał się Maren Freidenberg. Zrobił w następnych latach wszystko, żeby pamięć o ofiarach sowieckich zbrodni, także tych dokonanych na Polakach, przywrócić. Został działaczem Memoriału. W Rosji Putina nie mógł jednak żyć. Wyemigrował.

Ma jednak, choć nielicznych, następców. 13 maja ogłoszony został list 70 rosyjskich akademików i profesorów wyższych uczelni, wyrażający protest przeciwko demontażowi skromnych symboli tej pamięci w Twerze. Tym dzielnym ludziom należy się nasza wielka wdzięczność. Przeważają na tej liście matematycy, fizycy, biochemicy. Historyków, niestety, tyle co kot napłakał. Kilku mediewistów, afrykanista, teoretyczka historii. Żadnego specjalisty w dziedzinie studiów nad Polską. Z serca dziękuję tym, którzy podpisali ten list: Andriejowi Toporkowowi, Laurinie Riepinoj, Fiodorowi Uspienskiemu, Swietłanie Tołstoj, Dymitrowi Bondarence, Pawłowi Uwarowowi…

Oni próbują zatrzymać falę starego kłamstwa i odnowionego strachu. Ta fala nie zatrzymuje się na granicy ZSRS. Idzie dalej. Ostatnio dotarła do Pragi. W stolicy Czech mer przemianował nazwę placu, przy którym znajduje się poselstwo Federacji Rosyjskiej. Otrzymał imię Borysa Niemcowa, rosyjskiego opozycjonisty, zastrzelonego w 2015 r. przeciwnika reżimu Putina. Pojawiła się wtedy pogłoska, że Moskwa wysłała człowieka z misją, której celem stał się mer Pragi. Miał być usunięty, tak jak niegdyś Litwinienko, a potem Niemcow. Ale mer dostał w porę ochronę policyjną, na razie skuteczną. Rosyjska „Litieraturnaja Gazieta" skomentowała tę historię wymownie: „Bóg cierpi [znosi ból] długo, ale w końcu mocno bije". Bóg – to znaczy urażona w swojej dumie imperialnej Rosja.

Próba remontu Rosji „łagrów" trwa. Jak długo są Rosjanie, którzy się temu przeciwstawiają, tak długo jest nadzieja, że remont się nie uda. ©℗

eprasa.pl a71f128f2c

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

DO RZECZY **TYGODNIK „DO RZECZY"**

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

W PREZENCIE **KSIĄŻKA**

EWA ORNACKA

„WROBIONY W DOŻYWOCIE – SPRAWA ARKADIUSZA KRASKI"

~~619 zł~~ > **239,00 zł** < OSZCZĘDNOŚĆ 380 zł

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a71f128f2c

TANIE TANKOWANIE

Reszta należy do Ciebie